

Stanisława

# Rieszarowa- Muskat



POLNORD



*Coś mi warkocz*

Opowiadania.

Opracowanie graficzne Piotr PIÓRKO

YS^

Akc. W

KC. ^j U

ISBN 83-86181^2-7 Copyright by POLNORD - Wydawnictwo OSKAR, Gdańsk 1999

Przyszedł z morza

- Jeśli to jest moŚliwe - powiedział.

Przyszedł z morza, nie wiadomo skąd, przez tydzień patrzył na nią, wpierając w nią ciężkie uparte spojrzenie mężczyzny, który nagle nie chce nic, ani słońca, ani wody, ani wiatru na czole, chce kobiety i mówi o tym jego oczywarczej niż najprostsze słowa i ostrzej niż głos.

- Jeśli to jest moŚliwe - powtórzył.

- Nie, to nie jest moŚliwe - odpowiedziała.

Stał przy bucie, opierając się na nim, ale łokcie jego były gotowe do odlotu, jak skrzydła ptaka, który nie wie, czy zatrzyma się dłużej w miejscu, gdzie wypadło mu przystanąć.

Przez ramię miał przewieszoną torbę - taką, jaką noszą zwykle ci, których cały dobytek mieści się w torbie i wędruje z nimi przez morza i lądy lekkie, niemęczący towarzysz.

Więc przyszedł z morza, nie wiadomo skąd, i zadał jej pytanie.

Odpowiedziała: - Nie, to nie jest moŚliwe - bo wydało jej się zbyt wielkim, zbyt szalonym szczęściem, żeby on zwyciężył, żeby przyszedł sobie z morza, nie wiadomo skąd.

i dostał ją jak pierwszą lepszą z ulicy albo taką, której nikt jeszcze nie pragnął.

Niechby nie był taki pewny siebie, niechby w oczach miał trochę pokory, trochę szacunku i pamięci o tym, że po tej stronie nabrzeża nie było lepszego, bogatszego, czystszej, weselszego, pachnącego lepszym rumem i tytoniem baru jak ten, w którym ona stała za kontuarem.

Nie, nie myślała o tym, myślała tylko o niej, widziała tylko siebie w jego oczach, kiedy patrzył na nią z bliska - z czystą, nierozumną oderwaną odświata śmiałością człowieka, który nie mając nic, chce mieć nagle wszystko, i uważa, że ma do tego prawo, ofiarowując w zamian siebie.

Siebie!

Powinna była zrozumieć, co to znaczy, alenie rozumiała, wtedyjeszcze nie rozumiała.

Wydał jej się szalony - tak, szalony - i choć krew napływała do głowy od tego szaleństwa, postanowiła dać munauczkę.

Nie, to nie jest możliwe - odpowiedziała jeszcze raz, a on poprawił swoją lekką torbę na ramieniu, dotknął palcem kapelusza i przez chwilę jeszcze patrzył na nią, na nią całą, taką, jaka była i jakasobie wyobrażał, jakiej nie dostał i jaką chciał mieć - patrzył, a potem odwrócił się i nie zawołała go, pozwalając mu odejść.

Trzy, cztery, pięć kroków do drzwi - szerokie plecy podspłowiała kurtką, torba na ramieniu, brązowy, nisko zarośnięty kark własnie tak powinno się to skończyć, klamka pod mocną dłoń, cichy trzask zamka i uspokojenie, znowu w piwo w kufkach, znowu spokojny uśmiech i wzrok błędzący wśród zakurzonych stateczków pod sufitem.

I nagle życie zrobiło się zupełnie małe.

Otwierane i zamykane schodami i zachodami słońca, między którymi nie mogło zdarzyć, ponieważ wszystko, co mogło się zdarzyć, już się zdarzyło.

Przychodzili mężczyźni i opierali łokcie o bufet (ale łokcie Sadnego nie były skrzydłami ptaka), mówili: Mario!

Jesteś piękna!

Jesteś młoda!

Nie można przez całe życie patrzeć w drzwi.

Mam w domu trochę na dwoje, a pod łóżkiem skrzynkę z pieniędzmi, wyciągnij dłoń, zobacz, jak pełna jest moja sakiewka, - Przychodzili mężczyźni, opierali łokcie o bufet (to wciąż nie były skrzydła ptaka) i mówili: Mario!

Jesteś jeszcze piękna!

Jesteś jeszcze młoda.

Nie zwróciła oczu ku Sadnemu z nich, nie wyciągnęła ręki, żeby dotknąć ich sakiewek.

Zaduśko mieli ze sobą, za mało siebie - niezrozumieliby, gdyby im to powiedziała.

Było już o wiele za późno, kiedy przyszedł drugi raz.

Niedorobił się niczego przez te wszystkie lata.

Miał ten sam stary kapelusz, wypłowiła kurtkę i tę samą lekką torbę przewieszoną przezramię.

A może był tojuż inny stary kapelusz, inna wypłowiła kurtka i innalekka torba, kryjąca niezasobny dobytek.

Może ani razu nie zachodziłdo tego portu,a może tylko do tego baru - teraz był tu, ale to nie oznaczało powrotu.

Przyszedł się tylko napić i kiedy patrzyła na niego, zaczął ogarniać ją strach, może przedtem nigdy go tu nie było, może zamiast niego były setki tysięcy takich jak on -przychodzących z morza; niewiadomo skąd, w wypłowiłych kurtkach,z lekkimi torbami na ramieniu, może patrzyła na nich tak długo, aż przestała widzieć innych, tych,których łokcie oparte o bufet nie były gotowe do odlotu.

Powinna była może zapytać, czy był tu kiedyś, czy postawił jej to pytanie?

Nie zrobiła tego.

Nie zatrzymała go, nie zawołała, gdy pozwalając jej patrzeć na swoje szerokie plecy i na swój brązowy kark,zbliżyła się ku drzwiom.

1963

Małe, nagie piskłę

Juliuszowi zapisywał oprawny w czerwony safian tom // Canzoniere Petrarki.

Nieraz, podczas częstych wizyt przez wszystkie lata,Juliusz brał go w rękę i - nie otwierając-cieszył się samym dotykaniem cienkiej, miękkiej skóry; jego palce, zawsze zaświetlone spalanymi do końca papierosami, długie i nerwowe, w przedziwny jakiś sposób - kontrastując -

pasował do tej podniszczonej, zużytej, ale wciąż świetnej oprawy.

Tak, to był najlepszy zapis dla Juliusza.

Wyobrażał sobie, jak się zdziwi.

Pomyśli: aż tyle, czy - tak mało?

Kupili ten tom razem u ulicznego antykwariusza we Florencji.

Lato było tego roku upalne, już kiedy wyjeżdżali z Warszawy, lipcowy skwar wydawał się nie do zniesienia, w starych murach Florencji nie było czym oddychać,ale ich to upajało zamiast męczyć.

Mieli po dwadzieścia pięć lat i własna młodość była cudownym punktem odniesienia do wszystkich zachwyków, jakie budziło zapchane gromadzoną przez wieki pięknnością miasto.

Myśląc potem nieraz o tym młodym florenckim lecie z Juliuszem, zaczynało rozumieć, dlaczego podróże, które odbywał w późniejszym wieku, kończyły się zawsze znużeniem i smutkiem.

Całkiem niedawno uciekł prawie z hotelu w Grenadzie na widok wycieczki starych Amerykanek, wysypujących się z autokaru.

To wycieczka się wysypywała - gdyby był początkującym pisarzem, w wydawnictwie poprawiono by mu ten błąd, gwoli poprawności gwałcąc prawdę: bo to przecie!

Jednak one się wysypywały, stare, ale przerażająco swawe, w niegannych fryzurach i kostiumach, obwieszane aparatami fotograficznymi i kamerami - śmiałe turystki, pragnące na starość najść się świata, choć wiedziały, musiały wiedzieć, że za mało czasu pozostało im na to, żeby go dobrze przeżyć.

Stare miasta, stare kamienie, rzeźby i księżki piękniały w młodych oczach; nie przyćmiewało spojrzenia nanie śmiech zrodzony z myśli o tak szybkim, o wiele szybszym przemijaniu człowieka - młodzi ludzie o tym.

Ludziom wydaje się (i to jest najpiękniejszą młodości), że będą żyć wiecznie.

Im się właśnie tak wydawało, jemu i Juliuszowi, gdy przy Ponte Vecchio, w słońcu i średniowiecznym pyłku Florencji kupowali oprawny w czerwony safian tom Petrarcki.

Znad zielonej wstęgi Arnio wiał po raz pierwszy od wielu dni wiatr, orzeźwiający, pachnący urodzajnymi polami Toskanii.

- Weźmy ją - powiedział Juliusz.

Trzymał w uniesionej ręce księżkę, jego palce były smagłe, nie przyswędzone jeszcze ogniem papierosów, a on już wtedy wiedział, że nigdy nie dozna równego szczęścia z czyjeś obecności.

Juliusz resztą nigdy się o tym nie dowiedział, przemilczał to przed nim, a radość tego - jakby była ofiarnym wyrzeczeniem - stała się jeszcze pełniejsza.

Później miały inne, częściej niezbyt długotrwałe przyjaźnie, zawsze pełne namiętne pragnienia wyłączności, jakby chodziło o inny rodzaj uczucia, bardziej zaborczego niż przyjaźń.

Zerwania kończyły je równie gwałtownie, po jakichś - urojonych niekiedy - zaniedbaniach, nieusprawiedliwionych milczeniach, lub - czasem - dla równie porywczej świeżej przyjaźni.

Do Juliusza jednak zawsze wracał, do czynionych mu zwierzeń, do rozmów, które z kim innym nie byłyby w ogóle możliwe, do porozumień w pół słowa, w pół spojrzenia, w pół śmiechu, do niespokojnej, burzliwej radości, jaką sobą wnosił.

Tak mało -czy aŜ tyle?

pomyśli.

OdłóŜył pióro iprzeciagnałsię w fotelu.

Trzebabyło teraz zająćsię sprawami najwaŜniejszymi jakoŝ nie mógł się do tego zabrać.

Nie budziływspomnień, do których chciałby wracać - zilu ludźmimiałoby się piękne wspomnienia, gdyby rozstania następowały wcześniej: przed zniechęceniem i znuŜeniem, przed mordem, który w końcu zadaje sięmiłości.

W domku naprzeciwko, o którego budowę miał nawetpretensję dowładz miejskich, poniewaŜ zasłaniał mu widok - kobieta w fartuchubez rękawów myła okna.

Była to wdowa po kolejarzu, który odziedziczywszy jakiś skromny spadek, wybudował ten dom, a wkrótce potemzchorował i umarł, zostawiając goŜonie.

Zdaŝylispędzić wnim zaledwie pół roku wśród sycącego posiadaniem szczęścia, dla niegojuŜzapewne pełnego wysiłku.

- Teraz wdowa myła okna.

Stojąc na parapecie wychylała się na zewnątrz a wiatr rozwiewał poły jej nie dopiętego na kolanach fartucha.

Nogi miała gołe, tak samo jakramiona- dzieńbył ciepłyi słoneczny, przyjemniechyba byłostać tak w oknie, w łagodnym przewiewiechłodzącym ciało.

W

Tak myślał - tak myśląc, wypoczywał - ale trzeba było wreszcziezabrać się do tych spraw najwaŜniejszych, skoro chciał raz z tymskończyć, skoro chciał mieć to juŜ za sobą.

Dom i prawaautorskiezapisywał RóŜyi Dorocie, Ŝadna nie była juŜ jego Ŝoną,mógł

więuczynić to ze sprawiedliwego dystansu,oceniając bezŜalu rozczarowania, jakimi go obdarzyły i jakich on - zapewne - takŜe im nie poskapił.

ŝadnaz nich nie znaczyła więcej w jego Ŝyciui ten równypodział mógłby wreszcziedoprowadzić je sprowadzić je ze wzniesień zbyt wielkich wyobraŝeń o sobie -do kapitulacji wyrównującego wszystko pojednania.

Było to konieczne nie tyle dla zachowaniagodnej ispokojnej pamięci o nim, czego miał prawo się spodziewać,iledla prostego i złoŝliwego faktu: dom- nie przewidziany przezarchitekta do podziału między dwu uŜytkowników - miałjedną tylkołazienkę.

Musiał się jednakusmiechnąć namyśl o tym, jak się będąmijać na schodach, z jakim wyrazem twarzy spotkają się w drzwiach,jakwreszcie zaczną się kłócić,zapomniawszy o tym, kim są, araczej- kim nigdy nie były.

Zawstydził się, Œe była to jedyna uciecha.

Jakiejmógł jeszcze doznać, odwrócony juŜ od świata, zdumiony próŜnią,z której niczego nie moŜnajuŜ było zaczerpnąć.

Wszystko, co go takcudownie syciło wŜyciu, co karmiło jego myśli i uczucia, wydawałomu się teraz suche,budzące bezustanną czczość, przeraŜająco bezbarwne, bezwonne i łykowate.

- I w tejogromnej jałowościnagła, soczystauciecha z pospolitej myśli o kłótniach tych kobiet.

A tanaprzeciwno, wciążŜ stojąca na parapecie okna, upuściłaścierkę.

Krzyknęła cicho, moŜenawet zakłęła, to drugie wydało musię bardziej prawdopodobne, gdy na chwilęzobaczył jej twarz - odgarnąwszy zczoła spadające na nie włosy jęłazłazić z parapetu,w rozchyleniu fartucha zajaśniały nachwilę zdrową róŜowościąjejkrzepkie uda.

Ujrzałjapo chwili na dworze; jakaś jakby mniejsza niŜw oknie, zaczęła szukać swojej zgubyw krzakach bzu rosnących podoknem, a znalazłszy ją, zniknęła w drzwiach domu - dlaczego czekał,dlaczego tak bardzoczeekał, aŜ znowu pojawi sięna parapecie, jak nascenie tylko dla niego grającego teatru, całkowicie nieświadoma daru,jaki mu przekazywała w tej tak trudnej dla niego godzinie.

Ile razyw Œyciu otrzymywał coś bezinteresownie, ile razy nie musiał płacić -wcześniej czy później - za to, co otrzymywał, a czego czasem nawetnie pragnął?

A teraz czekał po raz pierwszyna coś, po czym na pewno nie będzie rachunku.

Była tamwreszcie!

Wlaziła na parapetoknatrzymając się silnymiramionami ram okiennych, wypłukała ścierkę w kubie, wyŜęła ją.

starannie, a potem roztrzepała kilkoma energicznymi wstrząśnięciami ręki.

Przypatrywał się temu z uwagąłakomą ijednak nie bolesną.

Na bosych stopach miaładomowe pantofle bez pięt, zupełniepłaskie -jego wszystkie kobiety nosiły wysokie obcasy, stawały sięprzez to jakby lŜejsze, taneczne w biodrach - ta miała Jakąś statyczność, przylegliwość do ziemi, do miejsca, w którym stała i w dziwnysposób nie odbierało jej to lekkości.

Powoli odwrócił głowę i skierował znów wzrok na leŜący przednim papier.

A więc RóŜy i Dorocie po połowiedom iprawa autorskie.

Och, pomyślał, prędzej!

Kończmy z tym!

Znowu poczuł jałowość, całą suchość, całą łykowatość Śycia.

To, co napisał, co pisał przez długie lata - jeśli nawet przydawało się na coś ludziom - wydało mu się kup papieru, która wchłonęła, która wyssała z niego wszystkie soki, aby stworzyć pozór prawdy w wytwarzanych przez niego istnieniach, dać im oddech, myśli i uczucia i tę okrutną samodzielność, przerażającą go, gdy nie mógł jej opanować.

Onemiały Śyc, przejęły z niego całą siłę na swoją długowieczność i trwałość, podczas gdy on.

gdy jemu.

gdy w nim wygasło.

W ogrodzie, tuś pod oknem pokoju, w którym siedział, odezwał się jakiś cichy głos.

Ptasie kwilenie, nawoływanie, ptasi płacz?

-Zaczął nasłuchiwać, ale dźwięk już się nie powtórzył.

Podczas gdy on.

Cóż on.

Kiedy człowiek dochodzi do punktu, w którym nudzi go myślenie o samym sobie, powinien wiedzieć, co ma uczynić i powinno mu się to wydać sprawą tak prostą, jak odwrócenie wzroku od obrazu, który przestał zdumiewać i cieszyć.

Słaby głosik pod oknem odezwał się znowu.

Wyraźnie wzywał ratunku przerażonym swoim dźwiękiem, wołał o pomoc w tej dziwnej, kwilącej mowie.

Kto miał ją zrozumieć?

Trawa wokół podokiennej grządki?

Liście dzikiego wina na murze?

Krzak jaśminu?

Człowiek?

Dźwignął się ciężko z fotela, podszedł do okna, przechylił się przez parapet.



Na grządce, w cieniu rozłożystej piwonii, leżało małe, nagie pisklę, nieopierzone jeszcze całkowicie dziecko szpaka czykosa, a może jaskółki - nie znał się na tym.

Patrzyło na niego przerażone, aż słotego, szeroko otwartego dziobawydobywał się ówdźwięk panicznego alarmu, wielki płacz nacałe ptasie gardło.

Skąd się tu wzięło?

Może matka przenosiła je z gniazda, które z jakichś powodów przestało być bezpieczne, w inne, bardziej pewniejsze i upuściła je w locie?

A może uczyło się już latać i zabrakło mu siły między rodzinną gałęzią a szczytem dachu, który przewidziany był jak meta dla latań ćwiczebnych tego dnia?

W końcu, nieważne

z jakiego powodu, leżało teraz pod piwonią i całe było przerażeniem, nagą bezsilnością, czekaniem na ratunek.

Ogarnęła go panika - trzeba było coś zrobić, ale co?

Każdej chwili mógł zjawić się ktoś z sąsiadów, zwabiony kwileniem.

Ci, którzy mogą być zjedzeni, powinni siedzieć cicho, ale pisklę o tym nie wiedziało.

- Otworzył drzwi do tarasu i wyszedł do ogrodu.

Dzień był cudowny, ale nie pozwolił sobie na łatwe zachwyty; na chwilę tylko opanowała nim myśl, że wiosna nie była najlepszą porą do rozliczeń z Syciem, krył w sobie tyle podstępów i gdyby się nie mieć na baczności, ustalone - trwałe, jakby się wydawało -

oceny, mogły ulec nagłemu zachwianiu za byle podmuchem pachnącego wiatru, za najłżejszym.

Pisklę odezwało się znowu.

Nie, nie mógł go zostawić na grządce, w otwartym polu wszelkich niebezpieczeństw, nawet słońce mogło zabić przypiekając zbyt silnie małą, łysą głowę.

Schylił się i wyciągnął rękę.

Sądził, że pisklę przestraszy się, cofnie, spróbuje ucieczki - ale ono patrzyło na niego ufnie i wyraźnie czekało, żeby Jewzią w dłonie unióś z ziemi.

Uczył to ze wzruszonym zdumieniem ostrożnie, uważnie patrząc pod nogi, ruszył powrotem do pokoju.

Tu rozejrzył się za miejscem dla ptaka: na biurku - do którego miał zamiar za chwilę

zasiąść do końca tego, co dokończyć postanowił - nie miałoby spokoju, opodał pod ścianą stała mały egipski stolik, kładł na nim pudełka z papierosami, gdy ktoś go odwiedzał, teraz mogło tam zamieszkać piskłę, gdyby na intarsjowanym blacie uwił mu ciepłe gniazdko.

Pobiegł do przedpokoju i ściągnął z wieszaka swoją włóczkową czapkę, którą nosił podczas spacerów po kolicznych polach.

Kiedy ją nieco pomniejszył, zawijając jej brzegi, była naprawdę jak przytulne gniazdko i piskłę od razu potrafiło to ocenić.

Rozgościło się w nim z jawną ulgą i przymknęło powieki, jakby zmorzył je nagły sen pozbyt gwałtownych prześwyciach. Na palcach wrócił do biurka, pochylił się nad papierem. Na czym to skończył.

Tom Petrarke dla Juliusza (a styl, czy, tak mało?)

) domi prawa autorskie po połowie dla Róży i Doroty.

Ale tego jeszcze nie napisał, uciecha z ich przyszłych babskich kłótni, na które Jeskazywał, odsunęła sformułowanie zapisu.

Właściwie.

dlaczego wyobrażał sobie, że będą się kłócić w tym domu?

Po prostu sprzedadzą go za dobre pieniądze jakiejś ambasadzie i śmiać się będą z złośliwości, z tej cennej, a nie udanej złośliwości, jaką pragnął im wyrządzić.

To one mieć będą uciechę.

Z miękkiego gniazdko włóczkowej czapki, którą od tylu lat nosiła swojej zmęczonej głowie, dobiegł cichutki, przeproszający jak.

by piśnienie - bardziej znak Śwycia, niż prośba - ale on zerwał się od biurka z dawno nie zaznaną radością natychmiastowego jej spełnienia.

Oczywiście, piskłę było głodne!

Jakże mógł o tym nie pomyśleć!

Pobiegł do kuchni, pokruszył kawałek bułki i białego sera, pomyśleć także plasterki kiełbasy.

Podał to wszystkim piskłęciu, jak właściciel restauracji, zabiegający o dobre samopoczucie klienta - piskłę jednak nie ruszyło jedzenia.

Podsunał mu talerzyk pod sam dziób, odwróciło głowę.

Skąd mógł wiedzieć, czy modły wiało się do tam?

Muszki!

przypomniawszy sobie we wszystkich okrutnych wierszykach dla dzieci, które czytano mu w dzieciństwie, ptaszki jadły muszki!

Stanął w oknie i zaczął czytać na te nieszczęsne stworzenia.

Nie odważył się jednak wyciągnąć ręki, gdy znalazł się w jej zasięgu, jakiś nagły szacunek dla najmniejszego nawet życia sparaliżował mu ruchy.

Alę piskłę odezwało się znów, tym razem śmiejąc, z pretensją, a gdy zbliżył się do niego, patrzyło mu w oczy z pełnym wyrzutem oczekiwaniem.

Ogarnął go popłoch.

Był głodny, bardzo głodny - może nie jadło od kilku godzin i teraz zemrztu z głodu na jego oczach, ale nie potrafi go nakarmić, nie potrafi uratować!

Powinien wrócić do biurka, zakończyć to, co pisał i to, co zamierzał potem - ale piskłę chciało jeść, piskłę chciało żyć i nie miało w tej chwili na świecie nikogo poza nim.

Otworzył gwałtownie drzwi od tarasu, podbiegł do ogrodzenia wzdłuż drogi.

Kobieta naprzeciwko kończyła właśnie mycie okna, wytarła szybę dosucha i przyglądała się jej pod światło.

- Proszę pani!

- zawołał, a zabrzmiało to, jakby ktoś teraz wzywał ratunku, nie małe, słabe piskłę, ale silny mężczyzna, szukający pomocy.

- Nie wie pani czym karmi się nie opierzone jeszcze ptaki?

Odwrócił ku niemu głowę zdziwiona.

Nie rozmawiali dotąd z sobą, nie wymieniali nawet sąsiedzkich pozdrowień.

- Cóż takiego?

- zawołała.

- Małe ptaki!

- powtórzył.

- Znalazłem piskłę w ogrodzie - Co ma dać jeść?

- Bo ja wiem?

- powiedziała.

Wrzuciła ścierkę dowiadra, zapięła fartuch na kolanach.

- MoŜe chleba?

- Dałem.

Nie chce jeść.

Zdechniez głodu.

- Małym kurczętom daje się posiekane jajko na twardo.

- Odgarnęła włosy z czoła i nie wiadomo dlaczego uśmiechała się przez chwilę.

- Chce pan?

Ugotuję i przyniosę.

- Och, proszę!

- zawołał Śarliwie.

- Bardzo proszę!

- Zaraz tam przyjdę do pana - krzyknęła.

Wrócił do domu i czekał z radosną niecierpliwością.

Siadał, wstawał, chodził od drzwi do okna i z powrotem, a pisklę wodziło za nim wzrokiem, kręcąc w obydwie strony małą, łysą głową.

Przyszła wreszcie.

Na szklanym spodku niosła posiekane jajko, dmuchając na nie po drodze.

- Jeszcze trochę gorące wytłumaczyła.

Pokazał jej pisklę.

Pochyliła się nad nim i od razu parsknęła śmiechem.

- Ojeju!

- zawołała.

- Takie gniazdko mu pan zrobił!

Z mojej czapki - zawstydził się.

-Z mojej starej czapki.

- Widzę.

Nosi ją pan, odkiedy tu mieszkam.

Zawsze pan chodzina spacer w tej czapce.

- ZauwaŜyła pani?

-- Jak się wygląda przez okno, to się niejedno zauwaŜy -Zamyśliła się.

-Zrobiłabym panu nową.

- Naprawdę?

- szepnął.

- Dlaczego nie?

No, jedz!

- pochyliła się znów nad pisklęciem.

-A wody mu pan nie dał?

- Nie - powiedział ze skruchą.

-Najpierw trzeba byłodać mu wody.

- Rozglądnęła się.

-Gdziejest kuchnia?

- Tam - wskazał i pobiegł za nią, gdy ruszyław tym kierunku.

-O! -zatrzymała się na progu kuchni.

Straszny bałaganu pana.

-Kobieta do sprzątania przychodzi razw tygodniu.

To widać -powiedziała.

Wzięła ze zlewu brudny talerzyk,umyla go i napełniła wodą.

- Szkoda, taki ładny dom!

Nieraz sobie myślałam, jak tu jest.

Ja to bym.

- urwała, ale nie ona zachłysnęła się tym niedokończonym zdaniem, to on poczuł je w gardle, jak nagły spazm - Poszedł za nią w milczeniu i w milczeniu patrzył, jak pochyla się nad pisklęciem, jak je karmi, wkładając mu jedzenie w otwarty, szeroko otwarty dziób.

-No, widzian - roześmiała się.

-Odemnie je!

- Jak ma pani na imię?

- zapytał cicho.

- Całkiem zwyczajnie: Maria.

-Marija.

- powtórzył z modlitewnym zaśpiewem.

Spojrzała zdziwiona.

Umoczyła palec w wodzie i spływającą z niego kroplą napoiła pisklę.

Patrzył na to z zapierającym dech zachwytem.

Miała na sobie ten sam fartuch bez rękawów, w którym myła okna.

Nigdy nie był tak blisko kobiety zmęczonej fizyczną pracą, pachnącej zdrowym potem - ostrą woń, która biła spod jej głęboko obnażonych pach, przyprawiła go o zawrót głowy.

Przysunął się bliżej, potrącony stolik zakółsał się, woda ze spodka spłynęła na intarsję blatu.

- Noga ma jedną krótszą, trzeba coś pod nią podłożyć - powiedziała.

- O, jest tu jakaś księżka!

- Chwyć dwa mokre palce i wcisną je pod nogę rozchybanego stołu oprawny w czerwony safian tom Petrarce, dar przeznaczony dla Juliusza.

- Jest tu jakaś księżka - powtórzył i przebaczył jej to.

Z radością.

Zpodniecającym uczuciem wyrzeczenia.

Patrzył, jak ptak pije krople wody, spływające z palców kobiety i nie obchodziło go nic poza tym; cudowna cisza rozścielała się w nim całym, łagodne godzenie się na chwilę, którą przeżywał, na jej proste piękno, na jej prostą mądrość.

Na biurku leżał papier nie zapisany do końca, bez podpisu, który powinien na nim być -  
jeszcze teraz, pomyślał leniwi Jeszcze teraz.

Kobieta wpychała znowu jedzenie w rozwarły szeroko dziób pisklęcia.

- Jak to Śre!

- śmiała się.

- Jak to Śre!

Była to kobiecość nie potrzebująca żadnego wsparcia - intelektu, piękności, wysokiego miejsca w świecie.

Miał blisko przed oczyma, silne ramię, powleczone już złotą opalenizną - pomyślał, jakimś szczęściem byłoby choć na krótko położyć na nim głowę.

- Panoszał! - szepnęła pobłażliwie.

A potem coraz szybciej, z zdumieniem, olśnieniem, z radością: Pan oszał! pan oszał! panoszał!

- Marija!

- modlił się, jak chłop klęczący przed balaskami nawytartych kolanami stopniach.

- Marija!

- Śarliwie i bluźnierczo, boleśnie i szczęśliwie.

- Marija!

Zaczęły w nim znów krążyć wszystkie soki życia.

Poczuł w ustach całym sobie świeżą, oświeczoną soczystość.

Powietrze wchodzące w płuca miało dawną aksamitną gładkość, świat odzyskał swoją barwę i woń.

- Marija!

powtórzył.

Pisklę patrzyło na niego jakby porozumiewawczo.

Okomiało okrągłe, za duże, jak na tę małą łysawą głowę, przykryte do połowy pomarszczonej powieką.

Właściwie oko starca wiele, bardzo wiele wiedzącego o Syciu.

976

Nic niezwykłego

Stamtąd nikt nie przyjdzie, ani z tej drugiej strony- nikt, komuchciałoby się otworzyć drzwi, do kogo biegłoby się przez pokój, potracając sprzęty.

Zamknęła okno, przestała patrzeć na drogę, rozwidlającą się przed pałacem.

A może to był zamek, otaczał go jeszcze, porosły teraz krzakami, wyschnięty rów dawnej fosy.

Zatrzymywały się przed nią uzbrojone oddziały wroga, nadciągające z ogromnej równiny.

-dyrektor instytutu, kiedy wprowadził ją do tego pokoju, opowiadał coś o tym, w ogóle mówił

dużo, zanim zdecydował się zamknąć zasobą drzwi, zanim zostawił ją tutaj samą.

Pytał, czy przypomina sobie słynne opowiadanie wielkiego pisarza, opowiadanie, którego akcja podobno działa się właśnie w tym zamku.

W lewym skrzydle - może właśnie w tym pokoju - mieszkała wdowa po jednym z braci, dziedziców tych włości, a drugi z prawego skrzydła patrzył co noc woświatłone okna jej pokoju.

Na cmentarzu, a właściwie między parkiem a cmentarzem jest jeszcze grobowiec, na którego kamiennej płycie leżała potęm krzyżem w zadanej sobie pokucie, waliła czołemo zimne sklepienie grobu.

- dyrektor instytutu miał na pewno zdolności narracyjne, ale nie zostały należycie ocenione tego dnia.

To bardzo piękny zakątek - dodał.

- Musi go pani zobaczyć.

Wokół starego drzewie i cisy.

Zresztą cała okolica.

Można się naprawdę zakochać w tych miejscach.

- urwał i nie wiadomo dlaczego zakłopotany patrzył na nią, a ona myślała: Nie męcz się, człowieku!

Daj spokój!



Każdego dnia masz ochotę stąd prysnąć, każdego ranka się o tomodlisz do swoich świętych, ale tu bądź co bądź kierujesz instytutem, a badań nad hodowlą ziemniaka niemożna przeprowadzać w Warszawie.

Niech no tylko jednak otworzy się w ministerstwie coś równorzędnego, może nawet bez kierowniczego dodatku, a odkochasz się w tych miejscach, modrzewie i cisy będziesz miał w Łazienkach, wystarczy ci, jeśli zobaczysz raz na tydzień, albo i na miesiąc, tym.

niakiem zacząłeś się zajmować przez przypadek -i tak, jak ja, nie dostałeś się na inny wydział, a teraz tofle to twoje powołanie i posłannictwo-.

Tak, naidziała -na pewno może zakochać się w tych miejscach, a on dopiero wtedy wyszedł, jeszcze jakby bardziej zmieszany, cicho zamykając drzwi za sobą.

Teraz był z Soną w teatrze, co sobota jeździli do teatru w wojewódzkim mieście, wsiadali w trabanta zaraz po południu i wracali dobrze po północy, a czasem dopiero w poniedziałek rano, jeśli w hotelu udało się dostać pokój.

Patrząc nagięta już w mroku drogę, pośmiewała, że nie pojechała razem z nimi, jak proponowali, że przestraszyła się prowincjonalnej obsady sztuki, którą widziała w Warszawie w najlepszym wykonaniu.

Teraz czekał ją potwornie długi wieczór w pustym skrzydle pałacu, nawet nie mogła zejść na dół do Cześniakowej, woźnej instytutu, gdy ta pojechała z mężem na drugą wieś dosiostry, po jabłka z rodzinnego sadu.

Inni pracownicy instytutu mieszkali na wsi, trzeba by było potem wracać w nocy drogą, którą zawsze szedł ktoś pijany z gospody, albo gdzie przy płotach gromadziły się grupki podochoconych wyrostków.

W piwnicy prawego skrzydła pałacu mieścił się, na wyrost chyba nazwany tym mianem, "dom kultury", a właściwie kawiarnia z telewizorem, zawsze pełna wiejskiej młodzieży, dziewcząt trzymających w sztywno odgiętych palcach papierosy, których dym napędzał im łzy do oczu, i chłopców spływających potem w nylonowych koszulach.

Mogła tam pójść, mogła przysiąc się do któregoś stolika, zamówić kawę, rozpocząć rozmowę z kimś z geesu, albo pegeeru, a może z gromadzkiej rady, była teraz członkiem tej społeczności -

czy wyobrażała sobie, że prędko się stąd wyrwie, napisze doktorat, do którego potrzebne jej było laboratorium i poletko świadczalne instytutu, napisze doktorat i któregoś dnia zwinie manatki, w Warszawie czeka Zygmunt i mieszkanie, jej albo jego, któregoś końca trzeba będzie zlikwidować, chyba jego, bo jednak mniejszei dalej od śródmieścia, tylko właściwie dlaczego nie przyjechał naniedziele.

Nie obiecywał tego, ile razy w miesiącu może wlecieć z Warszawy tutaj.

Jednego tygodnia ja, drugiego ty - powiedział, ale ona miała w próbkach, ona zawsze miała w próbce katechizmarną skrobienię to było gorsze niż niemożną przy piersi, tego nie może było ani

zostawić, ani zabrać ze sobą.

"Dom kultury" zamykano zresztą dziesiątej i copotem?

- kawanie pozwoliłaby jej zasnąć; i tak prawie co dnia zaśywała przed pójściem do łóŜka pastylkę phanodormu i jeszcze bardziej rozstrojona czekała, Őeby rozpoczął swe działanie.

Dziś postanowiła zaśyć wcześniej, rozgryzła pastylkę, obficie popiła wodą, rozebrała się z jakąś lekturą zawodową połoŜyła się do łóŜka.

Kiedy ucichły pod nią stare spręŜyny materaca, w ciszę, która przedtem szumiała w uszach, jak natrętny brzęczenie pszczoł, wdarł się teraz jakieś szelesty szmery, w długim korytarzu za drzwiami rozległy się jakby plaśnięcia bosych stóp o kamienne płyty posadzki.

Odwróciła głowę i wparła oczy w cięŜką zasuwę przy drzwiach, trzymała dobrze - ilekroć wchodziła do pokoju, podnosiła ku niej rękę, z całego otoczenia do niej jednej miała zaufanie, polubiła ją, jak jedynego sprzymierzeńca.

Ciche plaśnięcia bosych stóp o kamienne płyty posadzki przybliŜały się i oddalały, jakby ktoś chodził pałacowym ciemnym korytarzem, nie zatrzymując się przed Őadnymi drzwiami, ani przy Őadnym oknie.

Wstała i na palcach podeszła do progu, wstrzymała oddecha nasłuchując - na korytarzu trwała głucho cisza.

Wróciła do łóŜka i oparłszy o kolana ksiąŜkę starała się skupić całą uwagę na czytanej tekście, ale jeszcze trzy razy wstawiała i nasłuchiwała przy drzwiach, w końcu zaczęła czytać na głos, ośmieszona tym przed samą sobą - miała dwadzieścia sześć lat, dwadzieścia sześć lat trzy miesiące, jej koleŜanki, którym nie zachciewało się doktoratu, miały już dobrze podchowane dzieci i tłumaczyły im właśnie, Őe nie naleŜy się bać ciemnych pokoi i korytarzy, Őe naprawdę tam nie ma.

Rzuciła ksiąŜkę na ziemię, zgasiła światło.

Zaczęła liczyć, najpierw owce skaczące przez płot, potem te plaśnięcia bosych stóp, które wciąż

dochodziły z korytarza, choć nic się tam nie działo, nic się tam nie działo, napewno nic się tam nie działo.

Zbudził ją ostry krzyk pod oknem.

Uderzona jakby jego dźwiękiem usiadła na łóŜku i długo niemogła pojąć, co się stało, dopóki nie powtórzył się, wysoki alarmujący.

Ktoś wzywał ratunku.

Skoczyła do okna i otworzyła je cicho.

Na dole, pod ścianą parteru, toczyła się bójka.

Słyszała uderzenia i jęki - ten, który zrozumiał, że w tej walce nie ma szans, nie przestawał wzywać pomocy.

Noc była ciemna, jarzeniówki przed wejściem do "domu kultury" nie paliły się już, biegnąc ku oknu nie spojrzała na zegarek, ale musiałoby być późno.

W popłochu zaczęła zastanawiać się nad sytuacją.

Co mogła zrobić?

Krzyknąć na nich z góry?

Zacząć wzywać pomocy?

Ale kto by ten krzyk usłyszał?

Przetrzebione drzewa starego parku i pustą drogą po zanim - do wsibyło co najmniej pół kilometra.

I czy krzycząc nie zwróciłyby na siebie uwagi napastnika, może przestałby się, który miał już chyba dosyć, może.

Dotknęła dłonią

gładkiego muru pod oknem, na pierwszym piętrze powinna się czuć bezpieczna, a jednak nie mogła wydobyć głosu z gardła, a tamten człowiek na dole wciąż krzyczał, słabiej teraz niż przedtem, zapewniając siły i nadzieję.

Ach, czemu nie pojechała do teatru, wszystko jedno kto grał w tej sztuce, chociażby się pozabijali przez ten czas - bez niej, bez tego bezczynnego stania przy oknie, bez jej uczestnictwa w tym, co dokonywało się tam na dole.

- Ratunku!

- usłyszała jeszcze raz, potem nastąpiło głucho uderzenie, a potem cisza, długa cisza i nie działało się już nic, wypełnić, a ona stała wciąż przy oknie, bezczynnie stała przy oknie, z gardłem zaciśniętym boleśnie, ze sparaliżowanymi rękami, spętana swoim głupim podłym strachem, gdy tymczasem ten człowiek nadole.

Skoczyła do wiadra z wodą, które obok miednicy na wiklinowym stojaku przygotowała jej Cześniakowa, dźwignęła je z trudem i przechyliwszy przez parapet chlusnęła wodą w dół.

Posypały się zaraz przekleństwa, grube słowa, miotane z wściekłością - ale tylko przez Jeden głos,

silny i mocny, tamten milczał, zamilkł i milczał, może każda chwilabyła droga, może liczyły się już sekundy, a ona stała wciąż przy oknie, zamiast biec w dół po schodach, zamiast.

Ale czy ten człowiek, strzepujący tam w dole wodę z ubrania i włosów, ten człowiek, miotający wciąż grube, najgrubsze przekleństwa - pozwoliłby jej pójść do wsi po pomoc, a tym samym po świadków.

Usłyszała nagle jakby kroki, oddalające się kroki, i przekleństwa stawały się coraz cichsze, milkły, gubiły się w oddaleniu - tak, ten człowiek odchodził, zaczynał nawet biec, tak szybko, jak na to pozwalała ciemność.

Odczekała długą chwilę, dopóki zupełnie nie ucichł odgłos jego kroków.

Ubrała się pośpiesznie, otworzyła drzwi na korytarz.

Nie było na nim światła, posuwała się wzdłuż ściany, opierając się o nią rękami.

Miała nikłą nadzieję, że Cześniakowa nie zamknie drzwi do sekretariatu instytutu, gdzie był telefon.

Mogłaby zadzwonić na milicję, albo do pegeeru.

Ale Cześniakowa nie zaniedbywała swoich obowiązków, drzwi były zamknięte i trzeba by było z łaznego łomu, żeby

je otworzyć.

Stała przy nich długą chwilę, ogłuszona waleniem serca, strachnie opuszczała jej anina chwilę, obrzydliwy i upokarzający, myślała, żeby jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, ale szła w przeciwną stronę, żeby jak najszybciej zamknąć za sobą drzwi i zasunąć zasuwę, posuwała się coraz bardziej kuszodom, ku ciemnym, krętym schodom starego pałacu, a potem nimi w dół, wzdłuż poręczy w dół i po przedudniącą echem jej kroków sień ku ciemnym odrzwiom, które otworzyły się zaraz, gdy pchnęła je dłonią.

Uderzyło ją w twarz chłodne, ostre powietrze - w nocy będzie przymrozek - pomyślała jakimś nawykim dawnym skojarzeniem, dobrze było w tej chwili myśleć o przymrozku, o jabłkach, po które pojechała Cześniakowa, niezmarzną pozostawione na drzewie, dobrze było myśleć o czymkolwiek, tylko nie o tym, że oto szła tam, gdzie mógł leżeć ten człowiek.

gdzie na pewno leżał ten człowiek, uciszony, zamilkł po swoim ostatnim krzyku.

Ciemność nie była teraz już tak nieprzenikniona, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzała w nią przez okno.

Posuwała się wzdłuż skrzydła pałacu i na tle jego jasnej ściany zobaczyła wreszcie ten kształt -

wsparty barkami o mur leżał człowiek, rzucony bezwładnie na ziemię, pozbawiony ostatnim uderzeniem siły i głosu.

Pochyliła się nad nim, potrzęsła za ramiona.

Powinna była położyć dłoń na piersi, sprawdzić czy żyje, ale wołała niewiedzieć, wołała tego nie wiedzieć - odskoczyła od niego i potykając się o nierówności ścieżki pobiegła ku drodze.

Nie myślała już, że może kogoś na niej spotkać, przede wszystkim tego, który oddalił się stąd przed chwilą i mógł teraz przycisnąć gdzieś za drzewem, nie bała się go, nikogo się już nie bała - wpadłszy do wsi, skierowała się od razu do środka zdrowia i załomotała pięściami w zamknięte drzwi.

Lekarz mieszkał w tym samym budynku, kiedy nie otwierał, podeszła do okna i zadzwoniła palcami o szybę.

Może go nie było?

Może tak może pojechał na niedzielę do miasta?

Stąd każdy, kto mógł, jechał na niedzielę do miasta - dyrektor pegeeru, agronom i zootechnik, nauczycielki z szkoły.

Uderzyła mocniej w szybę i teraz w mieszkaniu coś się poruszyło, a po chwili skrzypnęło okno.

- Coś, u diabła?

- odezwał się zachrypnięty nieco głos, owionął ją dymem alkoholu.

- Nawet w nocy nie można mieć spokoju?

- Ja z instytutu - zawołała, starając się opanować.

- Podpalacem była bójka.

Jakiś człowiek leży tam ranny.

Może.

może nie żyje.

- No to już mu wszystko jedno, kiedy się nim zajmę.

- Panie doktorze!

- krzyknęła.

- Ach, to pani!

- Dopiero teraz ją poznał, to on właśnie zaaplikował jej morfinę, kiedy zgłosiła się do środka, udręczona bezsennością.

To pani!

powtórzył.

Proszę zaczekać, zaraz paniąwpuszczę.

Trwało to dosyć długo, musiał się ubierać, bo kiedy jejtworzył, miał nasobie kurtkę, palcami przeczesywał włosy.

- Przepraszam, trochę wypilem - dzisiaj Jadwigi.

sona ode mnieuciekła, ale naimieniny zawsze zaprasza.

Dopiero co wróciłem izdaŚyłem się połoŚyć.

- On tamleŚy - zaczęła bez tchu.

- Bili się, ale drugi uciekł, uciekł kiedy.

kiedy wylałam na nich wiadro wody.

- Co pani zrobiła?

- zapytał tłumiąc uśmiech.

- Wylałam wiadro wody.

Co mogłam innego zrobić?

Chciałamdzwonić na milicję, ale sekretariat, gdzie jest telefon, zamknięty.

- Nasz posterunek otej porzei tak nieczynny.

Więc co to było?

Bójka?

Weszła za nim aŚ do gabinetu w ośrodku i patrzyła, jak wpośpiechuwrzuca do torby jakieś narzędzia, buteleczki, fiołki i bandaŚe, w końcu strzykawkę - nie mógł mieć więcej niŚ

trzydzieści pięć lat, czy takŚe bal się tu na początku?

Nie byłotu za drzwiami pałacowegokorytarza, gromadzącego wszystkie echa, no i był

męŚczyzną, silnym, młodym męŚczyzną, który uśmiechnąłsię do niejwreszcie, wciążŚodgarniając opadające naczółowłosy.

- Jestem gotów!

Miałem szczęście, że nie poczęstowałem pani jakimś mocniejszym słowem.

Nie lubię, jak mnie budzą w nocy.

Niech pani poczeka, wyprowadzę wóz z garażu,

- Nie, nie- zaprotestowała.

- To przecież nie tak daleko.

Zrozumiał, czego się bała.

Roześmiewszy się cicho, skierował ją dotknięciem ramienia ku wyjściu.

- Dziewczyno!

- mruknął.

- Niech się pani nie boi.

Wypiłem wprawdzie trochę, ale skoro przejechałem jakoś osiemdziesiąt kilometrów, to i temu kawałkowi przez wieś podołam.

- Zostawił ją w ciemności, usłyszała, jak otwiera garaż, jak uruchamia motor, w chwilę potem zablęskły światła i wóz wytoczył się na podwórze.

Posłusznie usiadła na wskazanym jej przednim miejscu.

żeby niewydać się śmieszna, zaniechała protestów, nie chciała go zresztą urazić, potrzebowała go, nie tylko ten człowiek, leżący bezwładnie pod ścianą pałacu, ona także.

- No, jak?

- zapytał, wyjechawszy na drogę.

- Już się pani tu przyzwyczaiła?

- Tak- powiedziała.

- Sypia pani dobrze?

Phanodormjuś niepotrzebny?

- Niepotrzebny.

- Byłem tego pewien.

Początki są trudne, ale to na szczęście szybko mija.

Ostatecznie wszędzie można być.

Jak się ma trochę silnej woli.

20

- Tak - powtórzyła.

- Jak się ma trochę silnej woli.

- Panipewnie myśli, że zapijam się tu wieczorami.

że może nawet wypijam spirytus z apteczki - Nie.

Niech pani zagłębiono mnie odczasu do czasu, przekonaj się pani, że taknie jest.

Lekarz na wsi musi być trzeźwy, jak święty Piotr, nigdy nie wiadomo, kiedy jakiejś babiezechcesię rodzić, albo miłe chłopaczki porzną się nożami.

Dziś naprawdę wyjątkowy dzień.

Powiedziałem pani - imię niny Sony, w dodatku takiej, co od męża ucieka.

- Nie ma tej silnej woli, o której pan mówił?

Milczał przez długi czas.

- Ano nie ma.

Kiedy zajechali przed pałac, leżący pod ścianą człowiek powoli podnosił się na nogi.

Zobaczyli go w świetle reflektorów, jak dźwigał się, oparłszy dłoń o mur.

- syje szepnęła.

Wyskoczyła z wozu i podbiegła do niego.

- Nic się panu nie stało?

Odwróci!

ku niej głowę wreszcie zobaczyła jego twarz, posiniaczoną i pokrwawioną twarz młodego człowieka, wykrzywioną wściekłością.

- Sprowadziła pani milicję!

- To nie milicja.



Tolekarz.

Doktor.

- Doktor?

- szepnął z niedowierzaniem i zaraz dodał.

-Po co doktor?

Nicmi nie jest.

Nic.

Zupełnie nic.

- To się zaraz okaże.

- Lekarz zatrzasnął drzwiczkiwozu, zbliżył się latarką.

- Nic!

Zupełnienie!

- powtarzał chłopak.

-Pobiliśmy się trochę.

- Ale przecież leżał tu pod ścianą-zawołała, przerażona tym, że słyszy jej głos, że sama teraz w to nie wierzy.

- Leżał tu pod ścianą zupełnie nieruchomy!

- Tak mnie tylko trochę zemgliło - powiedział chłopak.

-Zaraz zobaczymy, co cię zemgliło.

- Lekarz popychał go przed sobą w stronę wejścia, oświetlając drogę latarką.

-No że mieliście?

- Nie.

Co pan doktor?

- Będę musiał go upani obejrzyć.

Chyba, że jest tu jakieś inne pomieszczenie.

- Wszystkopoamykane.

Proszę do mnie.

Na górę.

-Niech pani prowadzi.

Weszła do pokoju pierwsza, zapaliła światło.

Chłopak zatrzymał się przy drzwiach.

- Nic mi nie jest - powtórzył.

Otarł dłonią rozkrwawioną wargę, dotknął głowy.

- Cholera!

-jęknął.

Lekarz otwierał już torbę.

-- Rozbieraj się!

Odwróciła się do okna, zamknęła je, zasłoniła firankę, jakby mógł ktoś z tej bezkresnej pustki poza nią dojrzeć w jej pokoju rozebranego mężczyznę.

Chłopak syczał i piszczał podczas badania i opatrunku, wrzasnął na całego przy zastrzyku, ale stawał się coraz pokorniejszy i już ani razu nie powiedział, że nic mu nie jest.

- Urządził ci!^!

- Lekarz skończył opatrunek, zaczął wrzucać do torby wszystko, co przedtem z niej wyjął.

-Jutro z samego rana, a właściwie to już dzisiaj - zerknął na zegarek - masz pokazać się ośrodku, Muszę cię jeszcze raz zbadać.

Nigdy nie wiadomo, co takiej bijatyki może wyniknąć, wstrząs mózgu, albo.

Chłopak patrzył w ziemię.

- Ja nie mogę przyjść jutro do ośrodka - szepnął.

-Niemożesz?

Dlaczego?

A zerwałeś się tak swawo, kiedy myślałeś, że to milicja.

- Nie, to nie oto, panie doktorze.

Tylko.

ja jutrowyjeŜdŜam.

-Pracę w mieście dostałem.

Na budowie.

I mieszkanie w hotelu robotniczym.

Właśnie poŜegnanie wyprawiłem.

Odwróciła się powoli, ale nie ku niemu - ku lekarzowi, który nadaremnie rozglądając się za wodą doumyciarąk, znieruchomiał teraz i zapomniało tym.

- Pracę w mieście dostałeś.

- powtórzył.

- Tak, od jutra-Jak się jutro niestawię, to by mnie moŜe z listy skreślili i mieszkania by mnie dostał.

Niech tylko pan doktor na milicję nie daje znać.

Ja się z tym łobuzem sam porachuję, Jak na urlopprzyjadę.

A te bandaŜe.

te bandaŜe, panie doktorze, to chyba jutro będę mógł zdjąć.

?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Czekała na nią i ona, panicznie trzymając się tej ciekawości, jakby zależało od niej wiele, bardzo wiele - ale lekarz wciąż nie odpowiadał.

A dlaczegoŜ ty stał wyjeŜdŜasz?

-zapytał wreszcie.

Wsadził brudne ręce w kieszenie kitla i patrzył na swego pacjenta tępym, nieruchomym wzrokiem.

Chłopak zbierał się już do odejścia.

Posunął się krok ku drzwiom, ale przedtem wznosił rękę do góry i czynił nią nieokreślony gest, zamykający swoim zaokrągleniem nie tylko pokój, ale i noc poza nim, drzewa w przetrzebionym

parku, ciemną drogę i wieś.

- A co ja bym tu robił, panie doktorze?

- parsknął krótkim, cichym śmiechem.

-To nie dla mnie.

Świata muszę trochę zobaczyć.

- No to idź!

Śpiesz się!

- Lekarz ruszył się z miejsca, ręce wyciągnął z kieszeni.

-Spiesz się! Napewno nie masz tu zrobić.

Prędzej!

Na co jeszcze czekasz?

- Panie doktorze!

- krzyknęła.

Przestraszyła się jego głosu, ale odwrócił ku niej nagle uśmiechniętą twarzą wypchnął chłopaka zadrzewi.

- On naprawdę nie może się spóźnić!

- Wziął jej rękę, ścisnął ją szabolą.

-I nie ma w tym nic niezwykłego, nic niezwykłego, że on potrzebny jest tam, a my tu.

On tam, a my tu.

Wziął swoją torbę, powoli zbliżył się do progu.

- Dobranoc!

Niech się pani kładzie spać-!

trzeba zaraz zasnąć.

- Tak -powiedziała.

- Napewno zaraz zasnę.

W tym naprawdzenie ma nic niezwykłego.

Od początku tak myślałam.

Gospoda nad Sutjeską

Milko, młody, rosły Jugosłowianin, rozpalał w piecu ogień.

Przysiadłszy na piętach, układał w paleniskach potężne szczapy dębiny; gdy pochylał się, między szarym swetrem z owczej wełny a wyswiechtanymi portkami ukazywał się pasek opalonej skóry, gładko napiętej na młodym grzbiecie.

Pracował powoli, bez pośpiechu, choć z głębi gospody krzyczał ktoś na niego, że powinien był napalić wcześniej, zanim Amerykanin wrócił ze zdjęć nad Sutjeską, zanim Amerykanin udał się na odpoczynek do swego pokoju.

Ken, leżąc w ubraniu wyboistym łóŝku, domyślał się treści tej nagany; uważano go tu za Amerykanina, był mężem najstłynniejszej amerykańskiej aktorki, to wiedzano o nim przede wszystkim w małym miasteczku w górach Hercegowiny; podejrzewał, że i w ekipie zdjęciowej tak się.

Sława Viv była już od dawna ugruntowana, kiedy on wciąż jeszcze chciał zdradzić swego Szekspira wangielskim teatrze dla celuloidowych obrazków, pokazywanych w kinach całego świata.

Teraz przybył tu, żeby zagrać bohatera narodowego Jugosławii, był już godny tej roli, więcej - wiązano nadzieje z tym, że to właśnie on ją zagra, choć nazwisko Viv przyćmiewało go wciąż swoim blaskiem.

Nauczył się tym wzruszać, a nie złościć, lecz przyszło mu to nie bez trudu.

Byłoby głupstwem odzwyczaić się od tego właśnie tutaj, w jugosłowiańskiej miejscinie między Dubrownikiem a Sarajewem z dwiema przesiadkami, gdyby ktoś uparł się, żeby dotrzeć tu pociągiem z Belgradu.

Myśl o połączeniach kolejowych nasunęła mi inną, trapiącą go od przedwczoraj, od nieudanej rozmowy telefonicznej z Viv.

Chciała usłyszeć jego głos, za godzinę odlatywała z Kalifornii do Moskwy i chciała przedtem usłyszeć jego głos - tylko tyle zdołał zrozumieć, rozmowa zaraz się urwała, nastąpiły nawoływania w eterze między

Belgradem, Los Angeles i tą miejsciną w górach, gdzie zakopał się nadługie tygodnie.

Goran Petranović, szef produkcji filmu, obiecał mu załatwić w odpowiednim ministerstwie poprawę

linii telefonicznej;

w umowie zastrzeżone były również dobre warunki pracy.

Dobre warunki!

Ken miał ochotę roześmiać się na głos, patrząc zakopcony sufit nad głową, czując pod grzbietem nierówną twardość materaca, oczadziały woniami dochodzącymi z kuchni przez nieszczelne drzwi, przez szpary w podłodze i ścianach, przez otwarte okno nawet - zapach oliwy czosnku otaczał gospodę jak zapała - Dobre warunki!

Kiedy indziej zrobiłby napewno awanturę, ale teraz wszystkie te niedogodności były jakby nieodłączną częścią roli; grat partyzanta, pierwszego rangą w tym kraju - to go zobowiązywało do surowości wobec siebie, do utrzymywania się w filmowej postaci tak poza planem.

Może to był aktorski kabotynizm, a może hołd dla bohatera, dla prawdziwych dni, które przeżyła w tym kwadracie ziemi między trzema górskimi rzekami - nie chciał zastanawiać się nad tym, praca nad rolą sprawiała mu satysfakcję, to było najważniejsze.

Początkowo bał się, że nie zdoła wcielić się w postać człowieka śyjącego, powszechnie znanego, stworzy to szczególny rodzaj bezsilności wyobraźni, że sparaliżuje w nim wszystkie mechanizmy aktorskich predyspozycji.

Potem to minęło.

Wypracował w sobie dystans do rzeczywistości; czasem filmu była przeszłość oddalona o lat trzydzieści usiłował się w niej utrzymać; kiedy patrzył w postarzałe twarze licznych konsultantów filmu, starał się nie widzieć w nich dzisiejszych dostojnych marszalczyków, ale tamtą młodą zaciętość sprzed lat, tamtą rozpacz i wściekłość, szaleństwo i ból.

Byli otoczeni ze wszystkich stron przez przeważającą wroga - cztery dywizje i dwa pułki niemieckie, trzy dywizje włoskie, dwa pułki bułgarskie, brygadę domobranów i oddziały четників.

Ich zgrupowanie liczyło ogółem dwadzieścia tysięcy żołnierzy i partyzantów.

Sztab główny z naczelnym dowódcą był wśród nich.

I szpital centralny, i komitet wykonawczy.

Musieli się więc przedrzeć, za wszelką cenę musieli się przedrzeć do Bośni, żeby połączyć się tam z pozostałymi wojskami narodowymi zwolennymi.

Co wieczora przepowiadał to sobie jak lekcję.

Irfan Koprović, student anglistyki z Belgradu, którego mu przydzielono w charakterze tłumacza, opracował dla niego całą dokumentację walk na tym terenie, ze szczególną dokładnością naświetlając majowe i czerwcowe dni trzeciego roku między Driną a Sutjeską.

Wieczorami.

czytał mu i tłumaczył odezwy i przemówienia partyzanckiego wodza z tamtych dni.

Nie chciałgo więc grać, chciał być nim przedziewięćdziesiąt minut trwania obrazu.

Ale oznaczało to tygodniowy siłku, którego ogromu nie wyobrażał sobie, gdy postanowił się go podjąć,

Przed gospodą zatrzymał się samochód, nadole rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych, a po nim kroki i męskie głosy zadudniły w sieni - domyślił się, że to Goran Petranović wrócił do kwatery kierownictwa ekipy.

- Milko!

- powiedziało chłopaka.

Milko odwrócił głowę, ale wyraz twarzy miał roztargniony.

Sięgnął więc do kieszeni i wyjął dolara, co natychmiast ruszył chłopacz miejsca.

Dziwne, pomyślał, patrząc w rozjaśniające się oczy Jugosłowianina - oni lubią dolary jeszcze bardziej niż my.

- Milko!

- powtórzył wciskając banknot w zwinną dłoń chłopaka.

- Goran Petranović!

Porozumiewali się tylko nazwiskami lub nazwami rzeczy, opatrzonymi gestem na tyle wymownym, by mógł zastąpić brakujące słowa.

Teraz gest nakazywał, by Milko spiesznie zszedł na dół i równie spiesznie sprowadził na górę szefa.

Polecenie zostało zrozumiane, schody zagrały pod podkutymi obcasami chłopaka.

Petranović zjawił się przelżykając ostatni kęs, widocznie zdążył złapać po drodze kanapkę z bufetu.

- Wszystko załatwione!

- zawoła!

od progu.

Znał angielski na tyle, żeby móc się nim posługiwać w najprostszyc sprawach.

- Dziękuję.

- Ken podniósł się z postania nie kryjąc zdumienia.

-

Tak prędko?

- Interwencje były dwie.

Prawdę mówiąc - Petranović przesunął dłonią po łysinie - ta pierwsza, wcześniejsza od mojej, więc moja.

okazała się niepotrzebna.

- O czym pan mówi?

- Poprawę linii telefonicznej rozpoczęto po interwencji ambasady.

- Angielskiej?

- zapytał bez nadziei w głosie.

- Amerykańskiej - podkreślił z naciskiem Petranović, jakby mu to sprawiało szczególną satysfakcję.

Ken uznał, że w tej sytuacji najlepiej będzie się roześmiać.

Pokazał zęby w szerokim uśmiechu i stęsał w nim na długi moment, dopiero po chwili klepnął

Jugosłowianina w plecy, a ten przysiadł:

26

- Dobrze jest, jak jest.

- Też tak myślę - odpowiedział Goran.

Rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero wyobrażenie Viv Clivley, składającej skargę na stan linii telefonicznej gdzieś tak wysoko, że wyszej był już chyba sam Pan Bóg, ukazywało mu całe ubóstwo tego pomieszczenia.

- Wstaw tu chociaż dwa fotele.

- Nie pozwolę tu nic zmienić - warknął.

- Jest panu niewygodnie.

- Chcę, żeby mi było niewygodnie!

- Co też pan mówi?



Po tylugodzinach na planie?

Gdyby Zoran zgodził się na dalsze dojazdy, mielibyśmy pierwszorzędne kwatery w którejś z miejscowości letniskowych.

Ale uparł się przytej dziurze.

- Dobrze, że się uparł- wziął w obronę reżysera Ken.

-Nie wiem, czy dobrze.

Ludzie w tej miejsciniewkrótce z nami zwariują.

Władowaliśmy wojsko do szkół, aktorów i obsługę techniczną do domów prywatnych.

- Zarobią.

-Tak, zarobią Ale poza filmem nie ma tu życia.

Chyba nawet nie śpią ze sobą nocami.

- Możliwość z kim innym - bąknął Ken, lecz Sart nie został przez Petranovicia dobrze przyjęty.

Nawet w ten sposób podkreślał, że jest to film szczególny i że wszyscy tu traktują swoją pracę jak nobilitujący ich zaszczyt.

- Zapomina pan.

- zaczął.

- Nie zapominam!

- Ken podniósł ręce gestem poddania.

Nie powstrzymał się jednak od uwagi: - Właściwie nie można nawet powiedzieć, że śpią z kim innym.

Przynajmniej mężczyźni.

Nasza ekipa jest tak pozbawiona płci pięknej.

- A Dara?

- zapytał z cicha Petranović.

Roześmieli się obydwaj hałaśliwie i to męskie porozumienie poprawiło im nagle humor.

Dara Sulajić, sekretarka planu, miała dobrą czterdziestkę i czarny puch nad górną wargą, nosiła

zawszespodnie, paliła najmocniejszepakierosy i nie odwracała głowy odkieliszka,

- A ty się z czego śmiejesz?

- spytał Petranović Milka, bo chłopak, zaniechawszy dokładaniadrew do ognia, uczestniczył

takŜe w wesołości; nierozumiał ani słowa z ich rozmowy, ale imię sekretarkiplanu naprowadziło gona jej treść.

- Śmiać się nie wolno?

- burknął chłopak.

Wolno, wolno.

- Szefekipy złagodniał.

Potargał goza włosy.

-W przyszłym tygodniu dam ci zarobić, będziemy potrzebować statystów.

Chłopak pokraśniai.

- Mam jeszcze młodszego brata.

-O hoho!

Całej rodziny nie zatrudnię.

Ale zobaczymy, moŜe dasię coś zrobić.

Niech ten bratjutrosię pokaŜe.

- Przyjdzie od samego rana.

-Raczej wieczorem- Będę wolniejszy.

- Dziękuję panu - szepnął Milko.

- Dziękuję.

MoŜe pan chce rakiji?

Przyniosę od dziadka.

- Ani się waŜ- powiedziałze śmiechem Petranović.

-- AJemusmakuje, - Milko wskazał oczyma Kena.

- Przynosiłeś mu?

-Tak.

I bardzo chwalił.

- Nie róbtęgo więcej.

- PetranovićspowaŚniał.

-- Przyjechaliśmytu pracować.

Obiecałem mu statystowanie - zwrócił się do Kena.

-I od razu zaproponował mitakŚe usługi młodszego brata.

Ten filmprzejdzie do historii tak samo, jak prawdziwa bitwa pod Sutjeską.

Milko przymknął piec,zabrał kosz zdębowymi polanami i wycofał się na korytarz.

- Palwcześniej!

- krzyknął za nim Petranović.

-Nie wtedy, kiedyAmerykanin jest w pokoju.

- W ogóle nie trzeba palić -przerwał mu Ken, zrozumiawszy,o co chodzi.

- PrzecieŚ Jest maj.

- Ale w górach nocami zimno.

A nie chcielibyśmy, Śeby się panzaziębił.

- Nie zaziębiam się tak łatwo.

MoŚebyśmy pojechali w sobotępopływać w Adriatyku?

Nie ma pan ochoty?

- Mam.

- Petranović w umiarkowany sposób wyraził entuzjazmdla tejpropozycji.

-Alejeśli Zoran się nie zgodzi,.

- W końcu nie jestemwłasnością pana ZoranaPasojevicia.

-Maprawo bać się, Œeby się panu nicnie stało.

- MoŒe będziecie zamykać mnie tu wieczorami?

-Tego nie powiedziałem.

- Alepomyślał pan, Œe tak by było najlepiej.

Ken uśmiechnął sięcierpko.

Wszyscy producenci na świecie bylitacy sami.

Obchodziło ich tylko jedno: Œeby bez zakłóceń i przerwdobrać z filmem do końca.

Potem aktor mógł sobie nawet dla rozrywki skakaćw przepaść ze skały - nie ich sprawa.

Ale dopóki trwałyzdjęcia!

BoŒe drogi!

pomyślał.

Potrafił jednak nieraz umknąć ichczujności.

Te wieczory z Viv w Rzymie, kiedy nie rozpoznani przez nikogo włóczyli się po wąskich uliczkach, przesiadywali w tanich

knajpkach.

A przecieŒ strzeŒono ich z podwójną zawziętością, bow podwójny sposób mogło im sięcoś stać.

I stało się, tak nagle i tak cudownie, Œe starczy tego wspomnienia na całe Œycie.

Miał nadzieję, pragnął mieć nadzieję, Œe na całe Œycie wystarczy.

Po cóŒ denerwował Petranovicia planami kąpieli w Adriatyku, gdzie byle zabłąkany rekin mógł przerwać zdjęcia do filmu, na którym tak tu wszystkim zaleŒało?

Wiedział, Œe nie ruszy się stąd, Œe będzie warował tu wieczoramiczekając na telefon z Moskwy, gdzie przebywała Viv, zgodziwszy się - nie bez satysfakcji - wziąć udział w koprodukcji radziecko-amerykańskiej.

Zawsze bowiem pragnęła, Œeby podziwiano ją na całym świecie, i Œadne podziały nie miały tu znaczenia. Więc co wieczór będzie czekał na telefon od niej - nie po to zadbał o poprawę linii do tej dziury w górach, Œeby z tego nie korzystać.

Pozawszyscy innym - hm, tego mógł się spodziewać - będzie chciał wiedzieć, czy gdzieś się nie zawieruszył, czy jest na miejscu, choć film wojenny, prawie bez kobiet w obsadzie,

powinien odsunąć od niej wszelkie niepokoje.

Rozczulenie, które ogarnęło go na chwilę, zaczęło ustępować rozdrażnieniu. Jeszcze nigdy nie należał do kogoś tak bez reszty, to było cudowne, ale chwilami traciło się oddech.

Gdyby jeszcze mógł mieć pewność, że i jemu przypadła w udziale taka samowładza, że to on, a nie Patrycja Roth, decyduje o Syciu Viv Clivley.

– Nie zjedź pan na dół?

– spytał Petranović.

– Zaraz będzie kolacja.

– Zoran jeszcze nie wrócił?

– Powinien niedługo się zjawić.

Pojechaj zobaczyć, jak przygotowane jest wojsko do jutrzejszego planu.

– Ma przecież asystentów i konsultantów.

– No, wie pan, wojsko wszystkiego dojrzeć sam.

Zeszli do pustawej jeszcze salki gospody, tylko pod oknem siedziała grupa jugosłowiańskich aktorów, a wśród nich Dara Sulajć nad swoją potrójną kawą.

– Dla mnie to samo!

– zawołał Petranović w kierunku bufetu, aromat kawy rozchodził się po całym wnętrzu – Pan się także napije?

zwrócił się do Kena.

– Ja bym się napił – odpowiedział powoli.

– Ale kawy?

O tej porze nie piję kawy.

– Ken!

– zaczął Petranović najuprzejmiejszą perswazją.

– Ken, jutro będzie naplanienie cięski dzień.

– Wiem.

- MoŜe nie powinien pan.

-Wiem,co powinienem, a czego nie.

-Przepraszam.

Ale czuję się w obowiązku.

- ZaduŜo bierze pan tych obowiązków na siebie.

-A poza tym.

-Petranović postanowił uciec się do ostatniegoargumentu.

- KaŜdej chwili moŜe być telefonz Moskwy.

- Do diabła!

- Ken usiadł juŜ przy stoliku i uderzył pięścią w jegoblat, nie za mocno i nie za słabo, tylko Ŝeby trochę przestraszyć Petranovicia.

Co więc mamtu robić wieczorami?

-Zaraz przyjdzie Irfan.

- podsunął nieśmiało Petranović.

- Aha!

I będziemysobie czytać aŜ do nocy przemówienia i rozkazy.

Myśli pan, Ŝe moŜe mi to wystarczyć w taki wieczór majowy?

- Takie same wieczory majowe były tuwtedy, kiedy toczyła siębitwa -odparłz surową powagą Petranović,

Ken skapitulował.

Pokonywały go zawszeprawdy i uczucia najprostsze.

Wprawdzie odchodził od nich równie łatwo -- dla innychprawd i uczuć najprostszych -jak łatwo im się poddawał, ale w danejchwili nie miało to Ŝadnego znaczenia.

Uśmiechnął się do szefa produkcji prawiez tkliwością.

-Jedna whisky?

- Niech będzie - zgodziłsię Petranović.

- Ale bez wody sodowej.

- I tak jej tu pewnie nie mają, choć ciągle o to proszę.

- I bez lodu!

- I lodu chyba już niema.

Przy stoliku zjawiała się przywołana z bufetu Sona właściciela gospody, mama Bujanić. Jak ją wszyscy nazywali, choćbyła bezdzietna.

Poprawiała kosmyki czarnych włosów, spadające na czoło, wygładziła fartuch.

Oczekiwała zamówienia od Petranovicia, ale patrzyła na Kena.

- Jedna whisky dla pana Salta, a dla mnie kawa, ale taka, jaką pijepani Sulajić.

- Już zaparzyłam.

- Potrójna?

- Potrójna

- Co będzie na kolację?

- Mackalica.

- Mackalica - wyjaśnił Kenowi szef produkcji - to jugosłowiańska potrawa narodowa.

- Z czego?

- spytał Anglik.

- Z czego robicie tę mackalicę?

- Petranović spieszył się swojaniemiedzą.

30

-- Jak to z czego?

- prawie się obraziłam mama Bujanić.

- Tylko z wieprzowiny.

I z wszystkich jarzyn: z pomidorów, fasoli, marchewki.

- No już dobrze - przerwał jej Petranović.

- Zwieprzowinyi tutejszych jarzyn-przetłumaczył Saltowi.

Mackalica rzeczywiście okazała się świetna.

Ken zamówił drugą porcję, ale Œe była napapryczona ostro, a wina, którym spłukiwał paprykę Jugosłowianie, nie pijał - konieczne okazało się zamówienie drugiej whisky, za co otrzymał już rozgrzeszenie od samego Zorana Pasojevicia, reŒysera filmu.

Wrócił zdenerwowany, coś tam nie szłotak, jak sobie wyobraŒa), stara broń, sprowadzona z Bliskiego Wschodu, niezupełnie zadowalała ekspertów, muzea wojskowe już ogołoconej można było liczyć tylko na zbiory prywatne, lecz dotarcie do nich, nawet za pośrednictwem telewizji, wymagało czasu, którego było mało - choćby ze względu na kontrakt Kena Salta.

- Sam się napiję - powiedział.

- I bez wody sodowej!

- Na szczęście już jej nie ma - bąknął Ken zerkając na Petranowicią, ale ten go nie słuchał.

Zajęty był układaniem komunikatu do telewizji, który miał po raz drugi powołać pod broń wszystkich uczestników walk partyzanckich ostatniej wojny.

Przeczytał go Pasojevicowi, co stamtąd jeszcze kreślili i zmieniali.

Do Kena przysiadł się Irfan.

Od kiedy wrócił - a przepadł tajemniczo zaraz po zdjęciach - widać było, Œe chce mu coś powiedzieć.

Zdarzyła się wreszcie odpowiednia chwila.

Przysunął do ucha Kena swoje dyszące od poŒpiechu usta.

- Wie pan, gdzie byłem?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Szukałem pokoju w miasteczku.

- Masz kwaterę w gospodzie.

Przestała ci odpowiadać?

- Nie.

Zresztą i tak nie mógłbym się stąd ruszyć.

- Więc dla kogo ten pokój?



Irfan przysunął się jeszcze bliżej.

Na szczęście oddech miał czysty, jak u dziecka - nie pił, nie palił, w ekipie nazywano gopanienką, boi twarz miał ładną niczym dziewczyna.

I to on właśnie wyjął z dumą:

- Dla mojej dziewczyny.

Przyjeżdża w sobotę.

Tylko niech pannikomuto tym nie mówi.

- Nie ukryjesz jej przed nami.

- Alena razie niech nie wiedzą, Jak już przyjedzie, to trudno, powiem, nie odeślę jej przecież z powrotem.

Petranović zastrzegł się przed wszelkimi wizytami.

Damskimizwłaszcza.

- No, no - zanucił Ken.

- Jest z tego samego roku.

Ma mi przywieźć skrypty i notatki.

Nie chciałbym, żeby mi przepadł semestr.

- Skrypty i notatki.

- powtórzył Ken.

Inagle zdał sobie sprawę, że przez cały czas siedząc tu, jedząc i pijąc, prowadząc rozmowę z Irfanem, uczestnicząc w dyskusji na temat komunikatu do telewizji - że przez cały ten czas w napięciu i bolesnej niecierpliwościczeka na telefon od Viv, na dźwięk dzwonka przy wiszącym naścianie aparacie, na gest tłustego ramienia mamy Bujanić, którądejmie słuchawkę z widełek, a potem przywoła go nagle z radosnym, trochę poufałym, rozjaśnionym zaszczycem uśmiechem.

Nic takiego jednak się nie działo.

Mama Bujanić królowała zabufetem, Dragan -daleki krewnyBujanlciów, przygarbiony starykawaler z wiecznie przyklejonym papierosem w kąciku ust - krążyłpo saliroznosząc posiłki, gwar sięwzmagął proporcjonalnie doosuszanych dzbanków z winem, a to stare, uparte pudło, przyklejonedo ściany, milczało wciąż jakzakłete.

Nie tylko nie nasłuchiwał, czy niezaczyna dzwonić, ale i wpatrywał się w nie uporczywie, jakby je chciał zahipnotyzować.

Co ona teraz robi w tej Moskwie?

myślał, choć Irfan wciąż mówił do niego, chuchając mu w ucho gorącym szeptem.

Eileen, garderobiana, którą Viv wozila zawsze ze sobą, rozpakowała jej wszystkie kufry, rozwiesiła w szafach suknie, płaszcze i futra, poukładała na półkach bieliznę, szale, obuwie, rękawiczki i torebki - królestwo rzeczy niezbędnych przy wyjeździe, ale zwykle potem nieużywanych.

Viv lubiła błyszczeć podczas wszystkich oficjalnych występów, aktorki, które wydawały się piękne i świetnie ubrane, zanim ona się pojawiła, gasły przy niej jak wyłączane po kolei neony - na użytek prywatny ubierała się jednak skromnie, lubiła swetry i spodnie, chustka na głowę, wygodne półbuty, pakowne torebki.

Uwielbiał rzeczy z zachowanym kształtem jej ciała, jej zapachem, nieznosił tych, które wkładała raz jeden, choć kosztowały setki dolarów.

Nie mógł pokazać się dwa razy w tej samej sukni, fotoreporterzy roznieśli by to po całym świecie, a szef reklamy być może zerwałby kontrakt.

Pękały więc szafy od tych kreacji raz po raz.

Ellen przewietrzała je co miesiąc, pokazując córkom Viv suknie od Diora i kostiumy od Coco Chanel; kiedyś przeniesione zostaną zapewne do Muzeum Kina, ale na razie było z nimi tylko mnóstwo kłopotu.

A więc Ellen rozwiesiła suknie, doktor Brandfoster zapytał Viv o jej samopoczucie i, jeśli było dobre, udał się na samotny spacer po Moskwie, masażyści i fryzjerzy równie śmieli już

wolne, tylko opiekunów, Bob Hyhup, musiał wciąż tkwić przy nich, żeby je wyprowadzić przed siebie.

Ale z tego tytułu miał pensję niewiele niżej niż pensja doktora.

A więc Bob Hyhup, no i Patrycja, ona nigdy nie miała żadnych własnych projektów na którąkolwiek godzinę dnia, to dzięki niej Viv nigdy nie czuła się samotna, lecz była to bardziej władza niż obecność.

Patrycja traciła grunt pod nogami, kiedy Viv zaczynała czuć się samotna równie śmię przy niej.

Może dlatego nie lubiła go, odkąd się pojawił.

Chyba odpłacała jej tym samym.

Ale teraz był jej jednak wdzięczny, że jest z Viv w tym obcym mieście, w obcym hotelu, wśród obcych ludzi - choć dla Viv nigdzie nie było obcych ludzi.

- Naimię ma Milena- powiedział Irfan.

-Kto?

- zdumiał się, bo od dawna nie słuchał, o czym chłopakmówi.

- Moja dziewczyna.

-Milena - poartorzył Ken.

- Ładne imię.

- U nas całkiem zwyczajne -powiedział student.

- Ale teŜ myślę,Ŝe ładne.

- A ona?

-Ona?

- Ona czy ładna?

Bo juŜ uzgodniliśmy, Ŝe imię tak.

- Mnie się podoba - wyznał Irfan cicho.

To przekłete pudło na ścianie wciąż milczało!

MoŜe linia do miasteczka nie została jeszcze naprawiona?

Irfan alboGoran Petranovićmogliby złatwością uzyskać informację na ten temat,ale nie chciał się przed nimi ośmieszać.

- Nie pójdzie pan się przejść?

- spytał Irfan.

- Nie.

Nie mam ochoty.

- Pięknywieczór.

Powietrze ostre,jak to w górach, musiałyby pannarzucić kurtkę.

- Powiedziałem, Ŝe nie pójdę.

I przestańcie cackać się ze mnąjakz noworodkiem.

- Mam zostać zpanem?

-Jak chcesz-Właściwie.

z mamą Bujanić porozumiewam się już bez tłumacza.

Wiedział, że funkcja Irfana polega również na tym, aby nie był zbyt łatwo rozumiany przez mamę Bujanić, hojnie szafując czasami.

swojej piwnicy.

Ale przed tą hojnością strzegło go w wystarczający sposób milczące wciąż pudło na ścianie, nie trzeba było do tego ludzi.

Nie odezwało się jednak tego wieczoru.

Podaremny oczekiwaniu przeszli na górę, gdzie przy buchającym gorącym piecu Ken wysłuchał kolejnego fragmentu wspomnień człowieka, którego grał w filmie.

Udało mu się na jakiś czas skupić myśli wyłącznie wokół tej postaci i scen przewidzianych na jutro do kręcenia.

Doświadczał zawsze radości wchodzenia w kreowaną rzeczywistość, gdy stawała się wyraźniejsza, bardziej odczuwalna, ważniejsza niż to, co naprawdę istniało w danej chwili.

Miał dotąd angielskie, wyspiarskie wyobrażenie o wojnie i była to największa trudność, jaką musiał przezwyciężyć.

W tej części Europy wróg nie atakował tylko z morza i powietrza - był wszędzie, nawet wyraźnej linii frontu nie można było wyznaczyć wśród zagmatwanych zmieniających się z dnia na dzień pozycji.

Aż do tej chwili nigdy nie myślał, że było to możliwe: nagle otwierają się drzwi i wchodzi Niemcy.

Przeszli przez próg i są w domu!

Dopiero to było wojną, prawdziwie groźną, budzącą strach i nienawiść.

Jeszcze dziś widziało się ją tutaj w oczach ludzi.

Myślał o tym długo w noc, gdy Irfan już odszedł, a w całej gospodarce zapanowała cisza.

Był w niej sen zmęczonych ludzi - po pracowitym dniu, przed pracowitym dniem i szemranie wezbranych potoków w górach, bardziej wyobrażone niż słyszalne.

Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy rżenie koni, zgromadzonych na pobliskiej polanie przed jutrzejszymi zdjęciami, ale było to na pewno złudzenie.

Albo wspomnienie jakichś odległych wakacji.

Musiał jednak w końcu zasnąć, i to głęboko, bokiem zobaczył nad sobą schyloną postać mamy Bujanić, długo nie mógł sobie przypomnieć, co się dzieje, gdzie jest i dlaczego szarpie go ktoś z ramienia w środku nocy.

Mama Bujanić stała przy łóżku pochylona, w nocnej koszuli, i przytrzymywała dłonią rozchybotane podniecie piersi.

To przypomniał sobie najpierw i sennym ruchem skłonił głowę ku miękkiej ich ruchliwości pod napiętym płótnem.

- Mister Salt!

- jęknęła kobieta.

- Telefon!

Telefon z Moskwy!

Jednym susem wyskoczył z łóżka, zgarnął dłonią przerzucony przez poręcz krzesła szlafrok i dopiero na schodach usiłował się nim owinać, co było konieczne nie tylko z względu na mamę Bujanić, ale i chłód panujący na dole - nie zwykł był sypiać w bieliźnie.

34

Słuchawka wisiała przy aparacie, lekko się kołysząc.

Nie dosięgnął jej jeszcze dłonią, a już wydawało mu się, że bije z niej głos Viv, wołający go przez te wszystkie przestrzenie, które ich dzieliły, kiedy jednak podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha, zmroziła go szumiąca w niecisza - Halo?

- krzyknął z niedowierzaniem.

Viv odezwała się natychmiast niewiarygodnie blisko i wyraźnie, jej głos brzmiał świeżo i pogodnie, jakby dopiero co wstała po dobrze przespanej nocy, wzięła kąpiel i wypita szklaneczkę pomarańczowego soku.

- Jak się masz, kochanie!

- Czekałam przez cały wieczór na twój telefon.

Która to godzina?

- Tutaj w Moskwie pierwsza w nocy.

Właśnie wróciłam z przyjęcia.

- Teraz?

O tej porze?

- Och, było cudownie!

- Wyobraś sobie - bąknął.

Nie wiadomo dlaczego zaczynał być zły.

Na tych jakichś nie znanych ludzi, którzy oblegali Viv podczas przyjęcia, na jej skowronkowy szczebiot w słuchawce, na siebie stojącego boso na kamiennej posadzce gospody; nie musiał

się aż tak spieszyć, żeby zapomnieć o pantoflach- Halo!

- zawołała Viv.

- Mówiłam, że było cudownie Nie wyobraś sobie, ile dostałam kwiatów.

- Od kogo?

- Od wszystkich.

- Cieszę się - powiedział, sam zaskoczony obojętnością zawartą w tym słowie.

Oparł zziębniętą stopę prawej nogi o ciepłą Jeszczełydkę lewej, złościło go, że musiał w tej pozycji wydawać się śmiesznym mamie Bujanic, która z niewiadomego powodu tkwiła w drzwiach, wciąż przytrzymując ręką wyzwolone ze stanika piersi.

- Kiedy zaczynają się zdjęcia?

- krzyknął.

- Za kilka dni.

Zapoznaję się teraz z scenariuszem.

- Dopiero teraz?

- Z ostatnią wersją.

Wciąż zachodzą jakieś zmiany.

A co u ciebie?

- Kręcisz się - odpowiedział krótko.

Dlaczego właściwie czekał tak na tę rozmowę?

Podniósł teraz lewą stopę i oparł ją o łydkę prawej nogi.

Co mieli sobie do powiedzenia poza stwierdzeniem, że kręci się lub będzie się kręciło?

- Zdrowajecie?

- zapytał.

- Tak.

A ty?

- Też.

Nie zapytał o to, ale powiedziała:.

- Ot i Des tak też dobrze się czują.

- Cieszę się.

Pogłaszczcie odemnie.

- Chcesz, żeby Ot zaszczekał do słuchawki?

- Jeśli uda ci się nakłonić go do tego.

Przez chwilę trwały w słuchawce szepty, cmokania i pieszczotliwie perswazyjne, najwidoczniej bezskuteczne, bo odezwał się po nich zniechęcony głos Viv:

- Chyba jest śpiący.

- Ja myślę - bąknął.

- Budź biednego psa o tej godzinie!

- Otello i Desdemona były parą pudli, zawsze towarzyszącą Viv we wszystkich podróżach, ponieważ pozostawione w domu odmawiały przyjmowania pokarmu.

- Niepotrzebnie to zrobiłam.

- Viv zmartwiła się.

- Ostatnio jest bardzo nerwowy.

- Patrycja już śpi?

- zapytał,

- Tak- Chyba tak.

- Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

-Ale kochanie'- zawołała Viv.

- Jej naprawdę tu nie ma nie rozumiem dlaczego.

-urwała.

Dobrze rozumiała,dlaczegoo topytał.

Ich rozmowa brzmiała od początku tak, jakby Patrycja przysłuchiwała się jej z sobie tylko właściwym chłodnym zniecierpliwieniem.

- JakŜe moŜesz przypuszczać, ŐtrzymałabymPatrycję przy sobie do tej pory.

To ona ciebie trzyma, chciał powiedzieć, zdołał sięjednak pohamować, Viv nie lubiła, kiedy jej udowadniał, Ő boi się swej sekretarki.

- A więc Patrycja Őpi- powiedział tylko.

- No, no!

Rzadko się jej

to zdarza.

- Nie bądź złośliwy.

Nie dałabym sobie tutaj rady bezniej.

- Myślałem.

- zaczął powoli -Ŝe chciałaŐpowiedzieć mi coś innego.

Ő nie moŜesz dać sobie rady.

beze mnie.

- A po co dzwonię?

- spytała Viv cicho, podługiej chwili milczenia.

Słyszał tuŜ przy uchujej przyŐpieszonyoddech.

Chłopcy z telefonów musieli napracować się rzetelnie przy poprawie linii, postanowiłodnaleźćich nazajutrz i wynagrodzić im te starania.



- Po co dzwonicz?

- powtórzył.

Umiał nadać ciepło wzruszenia swemu głosowi.

No! Ona tak! She była aktorką.

- Ken!

- szepnęła.

- Naprawdę niemożę dać sobie rady bez ciebie.

Powiedz, She ju! nigdy nie będziemy kręcić osobno.

- Nie! Nigdy!

- zawołał! She! i były to pierwsze słowa, jak naprawdę powiedział do niej podczas tej rozmowy.

- Viv, kochanie!

Słyszysz mnie?

Nigdy!

Niech ta stara sroka, niech Patrycja zawiadomi Falstona, Sheby nie przyjmował bez mnie! Sadnych zobowiązań dla ciebie.

Powiesz jej to?

- Powiem.

- Musimy przecie! znowu zrobić coś razem.

Choćby nowego Szekspira.

- Wszystko, co zechcesz.

- Nowego Szekspira!

- zapalał się.

- Ju! od jutra zaczynam o tym myśleć.

Dobrze?

-Dobrze, kochanie.

- Bardzo źle bez ciebie.

-I bez ciebie tutaj.

- Tyle ludzi, aŜ ciasno.

A jednak zupełnie pusto.

- Powtórzto!

-Zupełnie pusto.

- To samopomyślałam podczas przyjęcia, choć wszyscy byli dla mnie tacy mili.

Ken!

Nie boisz się tego?

- Czego?

-śe nie możemy być bez siebie?

-AleŜ to jest miłość, kochanie.

To jest miłość!

Mama Bujanić wciąż stała w drzwiach.

Nierozumiała ani słów z tej rozmowy, a jednak brała w niej udział i zupełnie jasno była dla niej jej treść.

Nie czuła już przeciągu, który przewiewał ją w otwartych drzwiach, jakby płomień ogamąjąca ją, pełzał od dołu ku udom i biodrom, przesłaniał oczy krwawym migotaniem.

Oto prześłała ty i lat u boku człowieka, który nigdy nie mówił do niej takim głosem, który nigdy nie pieścił jej słowami.

Ken Salt, po aktorsku zaważeniu się podziwu, zdumiałby się jego blaskiem w szeroko rozwartych zrenicach mamy Bujanić.

Ale nie pamiętał o jej obecności.

- Skarbie!

- mówił do Viv.

-Spij dobrze!

Położ się zaraz i śpij dobrze.

Myślę o tobie!

Jestem przy tobie!

I nie pozwolę ci już nigdy być tak daleko!

-Zadzwoń jutro-powiedziała Viv.

- Tak.

Będę czekał.

Odwiesił słuchawkę i przez chwilę stał nieruchomo, jakby brał jeszcze w siebie każde słowo nadpływające z daleka.

Dopiero szelest poza nim zmusił go do odwrócenia głowy.

Mama Bujanić patrzyła przepraszająco.

Rozumiała, że chciałby być teraz sam i że przeszkadza mu swoją obecnością.

Przywarła do framugi drzwi, gdy ją mijał, w nadziei, że może jej nie zauważy.

Ale on zatrzymał się przy niej.

położył obydwie swoje silne dłonie na jej ramionach, na krótki moment przyciągnął ją do siebie i pocałował w obydwa policzki.

- Dobranoc, mama!

-Dobranoc!

- odparła, że ona tą bliskością jak piorunem.

-I dziękuję za przebudzenie.

- Niech pan zaraz zaśnie!

-Na pewno.

Mówili dwoma niepodobnymi do siebie językami, a jednak rozumieli się doskonale.

W końcu pobiegł do siebie na górę, przeskakując po trzy stopnie.

W pokoju zalanym księżycowym światłem czerniła się na poduszceduśa okrągła plama.

Zwykle płoszył kotkę płasnięciem dłoni wstawała wtedy niespiesznie i przeciągając się odchodziła, tak jak tuprzyszła, przez dachówkowy parapet ku któremuś z sąsiednich pokoi.

Dzisiaj nie zrobił tego.

Ostrośnie, żeby nie zbudzić małego gościa, ułożył się na brzegu łóżka i patrzył, jak czarny kłębuszek porusza się łagodnym rytmem oddechu.

Spod białej łapy, przykrywającej trójkątny pyszczek, dochodziło ciche posapywanie.

Po raz drugiej nocy nawiedziło go wspomnienie odległych wakacji.

Lubił zasypiać razem z końmi i psami.

Spokojny sen zwierzęta ściskały jemu swojej głębokiej ciszy.

A następnego dnia pojawia się nad Sutjeską Milena, Milena Suljan, dziewczyna irfana Koprovia.

Idzie przez miasteczko zatłoczone mężczyznami w zamszowych marynarkach, mężczyznami w partyzanckich kurtkach z ostatniej, nieznanej jej wojny, mężczyznami w kombinezonach filmowej ekipy technicznej, w to sobotnie południe wszyscy ścignęli ją tu na weekend: aktorzy i statyści, setki pracowników tej ogromnej maszyny, jaką jest film wojenny.

Ale Milena nie jeszcze o tym nie wie, idzie dumiona przydworcową ulicą górzystego miasteczka, trochę przestraszona tym, że Irfan nie czekał na nią na peronie i że będzie musiała szukać go w tym tłumie.

Walizka jej nie ciężka, nie miała mniejszej, więc musiała wziąć tęduś, a przecież w niej niewiele, trochę drobiazgów toaletowych najkonieczniejszych podczas krótkiego wyjazdu.

Och, i koszula nocna!

O niej Milena stara się nie myśleć.

Kupiona za połowę studenckiego stypendium może w ogóle okazać się jej niepotrzebna, może prześpi tę noc

w podkoszulku, który zwykle nosiła pod swetrem, i w rajstopach.

Ta koszula jest bardzo piękna, z francuskiego importu, ma cały przód czarnej koronki, prześwieca przez nią ciało, biel ciała, biel piersi i różowość ich wierzchołków - ale nie pokaże mu jej, nie pokaże mu ich, nie po to tu przyjechała, co za głupota wydać tyle dinarów na coś, czego nie można pokazać, ta walizka jest jednak ciężka i jakoś dziwnie - choć w pociągu było tak zimno - robi się gorąco.

Milena mija tyle ludzi nie zaczepia nikogo, żeby zapytać o Irfana, nie chce teraz pytać o Irfana, nie chce o nim myśleć, nie chce go widzieć, może zaraz pobiegnie powrotem na dworzec, wykupi bilet do Belgradu i wróci tam najbliższym pociągiem.

Tylko.

czy wtedy będzie mogła powiedzieć koleśankom, że widziała Sywego Kena Salta?

że rozmawiała z nim?

że powiedział jej, jak świetnie brzmi jej angielski?

A autograf Kena, który polecił jej przywieźć Gordana?

Tonie Irfan przecież kazał jej kupić tę koszulę, która teraz wydal się jej śmieszna, i okropna, gdyby nie ręcznik, mydło, szczotki i pasta do zębów, stanowiące również

zawartość walizki, chętnie by ją zostawiła na środku ulicy.

żeby chociaż można było tę koszulkę komuś bez straty odsprzedać.

Bo do domu, kiedy pojedzie na ferie, nie będzie mogła jej zabrać.

Gdyby mama albo któraś z młodszych sióstr.

- Przepraszam, nie wie pani, gdzie tu jest ulica Ivo Andrića?

- Jakiś młody człowiek, wyraźnie nietutejszy, patrzy na nią z nadzieją.

- Nie mogę się rozeznać w tej plątanie uliczek.

- Ani ja.

- Milena uśmiecha się przepaszająco.

Unosi nieco walizkę.

- Dopiero co tu przyjechałam.

I po raz pierwszy.

- Do filmu?

- Nie - zaprzecza z zawstydzającym ją samą Salem.

Chociaż.

właściwie.

Szukam Irfana Koprovia.

- Statysta?

-Nie.

Student anglistyki.

- Student anglistyki?

-Tak.

Jest tłumaczem Kena Salta.

Nie zna go pan?

- Myszyci - teraz głos młodego człowieka ma to samo brzmienie, co jej głos przed chwilą - niemy dostęp a tak wysoko.

Uwylotu uliczki ukazuje się biegnący Irfan.

Dostrzegł ją, pozdrawia gwałtownymi ramionami, które opuszczają zaraz, zorientowawszy się, że Milena z kimś rozmawia, że pozwoliła się komuś zaczepić w tym zatłoczonym miejscem miasteczka.

# 39.

- Właśnie pytałam pana o ciebie - wyjaśnia mu od razu, zna ten wyraz na dziewczęcej twarzy Irfana, to bolesne napięcie, które przeważnie nie ma podstaw, jak teraz.

- Bo nieczekałaś na peronie i nie wiedziałam, dokąd iść.

- Dziękuję!

- Irfan prawie niegrzecznie zwraca się do młodego człowieka, który kłania się i odchodzi, trochę wyrozumiale, trochę ironicznie uśmiechnięty.

A Irfan wybucha od razu:

- Jak mogłaś?

Ledwie wysiadłaś z pociągu, a już jakieś rozmowy.

- Miałaś na mnie czekać na peronie.

- Mogłaś się domyślić, że coś mi wypadło i że zrobię wszystko, żeby wyjść ci jednak naprzeciw.

A ty od razu zaczepiasz obcych męszczyzn.

- To on mnie zaczepił!

Irfan milknie, drżą mu wargi i cały podbródek, jest wzruszający chciałoby mu się to powiedzieć, ale nie może, bo rozłościłby się jeszcze bardziej.

- Coraz lepiej!

- jęczy.

- Coraz lepiej!

- Co w tym złego?

Pytało ulicę Ivo Andricia.

- Akurat ciebie?

- Bo mnie właśnie spotkał.

- Inie zauważył, że masz walizkę w ręku, nie domyślił się, że najprawdopodobniej dopiero co wyszłaś z dworca?

- Mógł pomyśleć, że staletu mieszkam i właśnie wracam z wyprawy po wiosenne zakupy do

Belgradu.

Och, Irfan!

Nie kłóćmy się.

Tak bardzo chciałam tu przyjechać Irfan rozpogadza się łatwo.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Czy to.

Ken Salt zatrzymał cię dlatego nie mogłeś zdążyć na mój pociąg?

- Właśnie!

Zachciało mu się nagłe tłumaczenia artykułów o nim ze wszystkich gazet.

Ale mu powiedziałem, że przyjeżdżasz i będę musiał lecieć na dworzec.

- I zwolnił cię?

- Przecież widzisz - Tomiło z jego strony.

- W końcu nie muszę tkwić przy nim przez cały dzień,

- Nie?

- Oczywiście, że nie.

W niektórych sprawach daje sobie doskonałą radę bez mnie.

- W jakich sprawach?

- Na przykład z mamą Bujanić dogaduje się bezbłędnie.

- Z mamą Bujanić?

- Z właścicielką gospody, w której śpimy, jemy i która chlubi się tak że nieźle zaopatrzonym barkiem.

Ken Salt.

Co nas obchodzi Ken Salt?

- Oczywiście, że nic - mówisz leciutkim Salem Milena.



Pozwala odebrać sobie walizkę i idzie pochyliwszy nieco głowę, aby Irfan nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Podróż miała dobrą?

- Tak.

- Musiałaś się przesiadać w Visegradzie i w Foča?

- Tak, wiesz przecie, że nie ma innego połączenia.

- Wiem, ale myślałem.

- Co myślałeś?

- że może.

podwiózł cię ktoś autostopem.

- Irfan?

- No już dobrze.

Przepraszam.

Milczą przez długą chwilę, w czasie której Irfan ściska palce Mileny w swojej dłoni, prawie je miażdży.

- To boli!

- Co?

- Puść moją rękę!

Oszalałeś?

Milena wrywa się i idzie przodem w milczeniu, nie odwracając głowy.

Właściwie lubi te wybuchy zazdrości u Irfana, pochlebiają jej, ale teraz przebrał chyba miarę.

On sam to wie, bo doganiają zaraz, znów łapie ją za rękę i całuje biedne, zaczerwienione palce.

- To się już nigdy nie powtórzy.

Wierzysz mi?

- Wierzę - szepcze Milena bez przekonania.

Ale nie jest już nadąsana.

Niechciałaby, żeby Irfan przestał być o nią zazdrosny, to dodaje jej pewności siebie, więc nie martwi się, że chłopak nie dotrzyma obietnicy.

- Zobaczysz, jaki wynająłem ci pokój!

Byłem już wroźpaczy, wszystkiemu udało się. W kwaterach pozajmowanych przez ekipę, pozostały jeszcze tylko dwa, trzy domy, których gospodarze odmówili wynajmu.

- Dlaczego?

- Zaraz zrozumiesz, dlaczego.

Jeden z tych domów to plebania, a drugi należał do starej panny, najbogatszej w miasteczku - u kogoś w końcu wynająłem mi pokój?

- U niej właśnie.

- Jak ją do tego nakłoniłeś?

- Powiedziałem jej, że przyjeżdżasz pomóc mi w tłumaczeniu bardzo trudnego tekstu dla Kena Salta.

Śe musimy to zrobić w ciągu nocy.

- Irfan!

- Musiałem przecieś coś wymyślić.

- Ojej, nie o to mi chodzi.

Milena znów idzie przodem, ale Irfan nie stara się już jej dogonić, czuje rumieniec na twarzy i nie chce, żeby go z nim widziała, ona właśnie nigdy nie powinna go nazwać panienką.

Dom panny Vragi Slimac - jedynej córki dawno zmarłego Duszana Slimaca, właściciela okolicznych wsi, nie istniejącego już pałacu w jednej z nich i tego właśnie miejskiego domu, którego nie zdążył przegrać w karty - stoi na małym wzgórzu w otoczeniu kwitnących drzew i krzewów.

Idzie się do niego starannie utrzymaną alejką, na której wygrzewają się w słońcu zielone jaszczurki.

Nie przyzwyczajono do tego, żeby je tu płoszono, pierzchają między kamienie i niską roślinność.

- Boję się - szepcze cicho Milena.

- Dlaczego?

To takie mile stworzenia.

-Nie boję się jaszczurek-mówi Milenajeszcze ciszej.

- Nie bądź głupia!

- Irfan jest wyraźnie zniecierpliwiony.

Uderza duŜą, mosięŜną kołatką w wysokie, piękne drzwi domu.

Otwierają się natychmiast, jakby ktoś czekał z nimi, śledząc przez małe okienko wspinanie się gości pod górę.

Dziewczyna, która stoi w progu, ma koronkowy fartuszek i takiŜ stroik na głowie, ale od razu widać, Ŝe są to tylko korekwizyty, wyciągnięte z kufru na strychu na ten wyjątkowy dzień, kiedy do domu zawitają obcy.

- Proszę - mówi dziewczyna cofając się w głąb duŜego hallu, zapchanego po sufit szafami, szafkami, szafeczkami z pałacu i wszystkich dworów, które kolejno i niezmienną bez troską przegrywał karty Duszan Slimac.

- Pani wnet będzie.

-Dziewczynachichocze, poprawia przekrzywiającą się wciąż koronkę na potarganych włosach, potyka się o zbędną mnogość przedmiotów.

- Od rana się przystraja.

A kiedy przynieśli te kwiaty.

- Jakie kwiaty?

- Irfan zna juŜ rozkład tego domu i popychając przed sobą pokojówkę, idzie do pokoju, który wynajął dla Mileny, dla siebie i Mileny na noc i dzień po niej.

- To niepan je przysłał?

-Ja?- zdumiewa się Irfan zbyt głośno.

Przy kwiatkach, przy tych pięćdziesięciu chyba róŜach, które nie mogły się zmieścić w Ŝadnym wazonie i umieszczono je w srebrnym kubku - Duszan Slimac mroził w nim zapewne szampana- przy tych czerwonych, zaledwierz kwitły chróŜach niema wizytówki, i z łatwością mógłby się donich przyznać.

Ale domyśla się, wie, kto je przysłał kłamstwo niemoŜe przejść mu przez gardło.

Kiedy on mógł to zrobić?

zastanawia się.

Przecież powiedział, że idzie się położyć, więc żeby tekst - gdyby go skończył - zostawił mu u Petranovicia.

To wtedy, tak, na pewno wtedy.

- Jakie piękne róże!

- zachwyca się Milena i dodaje z rozczarowaniem, lecz i zdumieniem zarazem: -1 naprawdę nieodciebie?

- Nie!

- mówi Irfan podniesionym głosem.

Brzmi to prawie piskliwie, a najgorsze, że sam słyszy ten wysoki ton, wibrujący we własnym gardle.

- Więcko?

Nie odpowiada, bo na szczęście zjawia się pani domu, cała w jasnościach szelestach letniej sukni, na której tak łatwo zagniecenia powstałe w kufrze lub w zbyt ciasno zapchanej rzeczy zamieszają.

- Witam!

- woła od progu, wyciągając obie ręce do młodych, bardzo już postarzała i najoczywiście]

niedzisiejsza panna Vraga Slimac.

- Jaką miała pani podróż?

- zwraca się do Mileny.

- Dziękuję, Bardzo dobrą.

- Mam nadzieję, że nikt nie palił przedziałem fajki?

- Nie.

Wybieram zawsze przedział dla niepalących.

- Na szczęście są już takie.

Dawniej można było wykupić sobie salonkę.

Mój Boże, wszystko minęło.

- Tak - szepcze Milena, nie wiedząc, jak najtaktowniej powinna się przyłączyć do Salu gospodyni.

Ale ona oświa się od razu;

-Prawdajakie piękne róSe?

I znów, na szczęście, nie czeka, Őeby któreś z nich podzieliło jej odczucia, bierze Milenę za rękę, przyciąga do siebie.

-To bardzo trudny tekst?

- Tak - pośpiesza na ratunek Irfan.

- Ken Salt wymaga niesłychanej staranności w tłumaczeniu.

Przyzwyczajony do wysokiej wartości tekstów literackich, z którymi miał do czynienia w angielskich teatrach, wychowany na Szekspirze.

- Na Szekspirze.

- powtarza z mglistą znajomością rzeczy, alez odpowiednim uznaniem panna Vraga Slimac.

- Tak, wychowany na Szekspirze nie znosi, nie toleruje uchybień w stylistyce, w doborze słów.

-A więc pracujcie, moje dzieci!

-woła panna Vragaz entuzjazmem, z którego raz uwaŜa słuszniesię wytłumaczyć.

Przyciąga teraz do siebie takŜe i Irfana i rzucając ukośne spojrzenia swojej pomocy domowej, tak paradnie przystrojonej na dzisiejszą okoliczność, wyznaje zdyszczanym szeptem: -

Kłamałabym, gdybym mówiła, Őe kocham komunistów.

Ale ON walczył z Niemcami, a to zmienia postać rzeczy.

No i Ken Salt gra go w filmie, i jestem przekonana, Őe królowa angielska obdarzy go wreszcie tytułem lorda, jak Oliviera.

Mój świętej pamięci ojciec takŜe by walczył z Niemcami, gdyby Őył.

Bo wszystkim oŜna o nim powiedzieć, tylko nie to, Őe nie był patriotą.

Kiedy król.

- Opowiadałem juŜo tym Milenie - wtrąca pośpiesznie Irfan, przerywając opowieść, którą panna Slimac uraczyła go poprzedniego dnia, gdy przyszedł wynająć pokój,

-No to pracujcie, mojej dzieci!

Vlad przyniesie wam zaraz kawy.

- Dziękuję.

Ale obiecałem Kenowi Saltowi, że przedstawię mu Milenę zaraz po przyjeździe.

- Nie przyjdzie.

tutaj?

- pyta panna Slimac ze źle skrywanymrozczarowaniem.

- MoŜe.

- Irfan robi zadziwiające postępy w komponowaniu kłamstw, do których zmuszają go okoliczności moŜe później.

Właśnie wrócił ze zdjęć.

- Wrócił ze zdjęć.

- powtarza naboŜnie panna Vraga,

- Tak.

Droga niedobra, dzień był w ogóle męczący.

- Rozumiem.

rozumiem.

Proszę.

pozdrowić pana Salta odemnie.

I proszę mu powiedzieć, że jestem pewna.

absolutnie pewna, iŜ królowa angielska, tak jak Olivierowi, który nie jest przecieŜ lepszym od niego aktorem, nada mu tytuł lorda.

- Czy mogłabym się trochę odświeżyć po podróŜy?

- pyta najmniej stosownie w tym momencie Milena, podnosząc z podłogi swoją walizkę.

- AleŜ proszę!

Łazienka jest wkońcu korytarza.

Włada panią zaprowadzi.

- Wyglądasz zupełnie dobrze - protestuje Irfan.

-Ach - panna Slimac uśmiecha się leciutko i z zadumą, jakby przywoływała z najodleglejszych dali swoją młodość - cóż wspaniale w dziewczęcych.

Łazienka, doktor zaprowadziła Milenę wciąż z cicha chichoczącą Viadą, marzmiary dużego pokoju.

W akademiku mieszkałyby

w nim czterystudentki.

Tu schroniła się epoka, której Duszan Slimac nie zdążył przegrać w karty.

Prawie całą przestrzeń zajmuje wpuszczony w marmurową podłogę basen, wyłożony także marmurem, alabastrem, jak podłoga, lecz różowym, podświetlonym jakby od wewnątrz swoim własnym blaskiem.

- Kanaryjski!

- obwieszcza z dumą Włada, dostrzegając podziw w oczach gościa.

- Kanaryjski?

- powtarza nierozumiejąc Milena.

- No.

ten marmur.

Tak mówi zawsze pani, kiedy pokazuje komuś łazienkę.

Dziadek pani sprowadzał go z Włoch, kiedy budował ten dom.

- Carraryjski - Milena uśmiecha się, choć onieśmiela ją to wnętrze, połyskujące odbijającymi się w marmurze weneckimi lustrami;

na półkach pod nimi stoją srebrne przybory toaletowe, po które nieśmiałyby sięgnąć ręką.

- Ale myjemy się tam.

- Włada wskazuje kąt łazienki, w którym nadrewnianym krześle stoi emaliowana miednica, a przy niej na ziemtaku sam dzbanek.

- Zaraz przyniosę pani wody.

Ma pani ręcznik?

- Mam.

Milena otwiera walizkę, a gdy Włada znika z dzbankiem za drzwiami, śmieje się długo i szczęśliwie, i tylko mała cząstka tego śmiechu jest niepohamowaną uciechą z blaszanej miednicy i dzbanka, całą resztę stanowi radość, że Ken Salt.

Ken Salt chciał ją zobaczyć i poznać, zaraz pójdzie do niego z Irfanem i ona powie mu to, co kłamała sobie podczas podróży, starając się, żeby bezbłędnie zabrzmiało po angielsku: cały czas żeński akademik marzy, żeby ją zobaczyć, ale tylko mnie spotkało to szczęście.

Oczywiście Irfan nie może tego wiedzieć i kiedy wychodzi wreszcie z domu panny Slimac, Milena długo opowiada mu o marmurowej łazience, przepowiadając sobie równocześnie w duchu to zdanie, po którym Ken Salt powinien wykrzyknąć: pani angielski jest wspaniały!

Ale tymczasem Irfan mówi:

- Może wstąpilibyśmy gdzieś na kawę?

- Jak to.

- Milena a nie przystaje.

- Przecież mieliśmy.

mieliśmy iść do Kena Salta!

- Wymyśliłem to dla panny Slimac.

Zagnałaby nas od razu do śledzenia nad tekstem, a ja nawet nie wziąłem nic w tym rodzaju.

- Powiedziałaś.

- Milena potrząsa głową, jakby chciała się wyzwolić ze złego snu i powiedziałaś.

- Dziewczyno!

- wzdycha Irfan.

- I nie obiecałaś Kenowi, że mu mnie przedstawi?

- Ken teraz na pewno śpi.

Zważywszy, że nie położył się wtedy, kiedy miał się położyć.

Więc śpi, a po szklance whisky, którą niechybnie wychylił, sen ma głęboki i chrapie.

- Irfan!

- No co?



Najwięksibohaterowie chrapią, siusiają.

-Przestań!

Milena opuszcza powieki, Œeby ukryć pod nimi gwałtownie gromadząc się Izy, nie zwraca uwagi, dokąd Ją Irfan prowadzi, machinalnie zajmuje miejsce przy jakimś stoliku w jakiejś kawiarni.

- Czego się napijesz?

- pyta Irfan.

- PrzecieŜ mówiłaś, Œebyśmy wstąpili nakawę!

Przepraszam -szepcze po chwili i przykrywa dłońmi wspartą o stół rękę chłopca.

- Przepraszam.

Zamów, co chcesz.

Wszystko mi jedno.

A potemobejrzymy miasteczko, kościół i stary klasztor, który widziałamz pociągu, kupimy sobie chleba i serana wypadek, gdybyśmy byli głodni, zejdziemy nad rzekę i będziemy wygrzewać się na słońcu.

- Kocham!

Kocham cię!

powtarza Irfan, znów tak łatwo i ufni rozpogodzony, jakby nie groziła mu już Œadna pomyłka ani zasadzka.

- I nie będziemy się już nigdy kłócić, przyrzekam ci.

Nie będziemy się kłócić o Kena Salta, ani o nikogo innego.

- A kłóciliśmy się?

-Nie.

Skoro już tego nie pamiętasz.

Zamawiają kawę i po ogromnym kawałku tortu z kremem, który oczywiście nie jest tak dobry jak w małej akademickiej dziurce naprzeciwko uniwersytetu w Belgradzie, ale Irfan promienieje, to jest najwłaŒniejsze, to powinno być najwłaŒniejsze już na zawsze.

Tak są zapatrzeni w siebie, Œe gdy Ken Salt wchodzi do kawiarni, dowiadują się o tym z nagłego

zamilknięcia wszystkich głosów, wygaśnięcia gwaru.

Kiedy oboje zwracają głowy kudrzwiom, stoi w nich jeszcze, bardzo zwyczajny, wkoszuli nie dopiętej na piersiach i pomiętych spodniach - pierwszy mężczyzna w tym mieście, pierwszy niejako podwójnie, własnością własną i tą drugą, uszczynioną przez człowieka, którego odtwarza w filmie.

Stoi, rozgląda się niezdecydowany, Irfan chciałby się w tym momencie zapaść pod ziemię, ale on już go dostrzega, podnosi do góry rękę, woła donośnie:

- Hej!

- Hej!

- odpowiada słabo Irfan.

Podnosi się, nie tak szybko, jakby należało, i prowadzi aktora do stolika.

- To Milena.

Mówił panu.

46

- Domyśliłem się.

- Wyciąga ku Milenie swoją dłoń, w której ginie jej zziębnięta nagle i spoconaw jednej chwili łapka.

- Bardzo się cieszę, że pani przyjechała do Irfana.

- Ja tak - szepcze Milena po angielsku, zupełnie zapomniała, jak brzmią po angielsku te dwa najprostsze słowa.

- Ja tak - powtarza.

On jest piękny, nie - ma niebieskie, zupełnie pospolite oczy pod niskimi brwiami, usta koloru skóry i dwie bruzdy po obydwu stronach - na pewno nie jest to więc twarz piękna, ale jest to twarz mężczyzny, za którym poszłoby się bosą pośniguną koniec świata.

Milena to poznaje pogwałtownym uderzeniu krwi do głowy.

- Jaką miała pani podróż?

Po raz trzeci, od kiedy wysiadł z pociągu, pada to pytanie i po raz trzeci odpowiada bardzo uprzejmie, tym razem już po angielsku:

- Dziękuję.

Bardzo dobrą.

- Przesiadała się pani w Yisegradzie i w Foća?

- Tak - szepcze Milena.

- W Yisegradzie i w Foća.

I zaraz potem wstaje i nie patrząc na Sadnego z mężczyzną mówi:

- Przepraszam.

- Co jej się stało?

- pyta Ken zdumiony, gdy Milena znika za kotarą, w której nie od razu zresztą odnalazła przejście.

- Nie wiem.

- Irfan jest równie zdumiony, ale jest to już zdumienie bolesne, rodzące się uczucie przykrości.

- Dlaczego pan to zrobił?

-- mówi nagle bardzo cicho.

- Co?

- Salt nie rozumie.

Rozgląda się leniwie po kawiarni, kobiety wpatrują się w niego, młodziejają pięknieją z pragnienia, żeby zwrócił na nie uwagę.

- Dlaczego pan przysłał te kwiaty?

- wybuchają Irfan.

- I skąd pan wiedział, gdzie wynająłem pokój dla Mileny?

- Nietrudno było się domyślić, pomogła mi w tym zresztą mama Bujanić.

A róże - zawiesił głos - róże posłałem dlatego, że dziewczęta kochające chłopców nie mają na ogół zbyt wiele przyjemności.

Czy się mylę?

- Myli się pan!

- krzyczy niemal Irfan.

-I nic pan nie wie.

nicpannie wie o.

świeŃościuczuć.

- Mój drogi!

- Ken patrzy na Irfana zprawdziwą ŃyczliwoŃcią--ŃwieŃoŃć uczuć ceni się dopiero na stare lata.

- Pan jest.

pan jest.

- krztusi się chłopak.

- Mądry.

A moŃe takŃe trochę smutny.

Wraca Milena, znowu z trudem wyplątując się z aksamitnej kotary.

Przypudrowała nos,ale wcalenie wyglądaprzez to doroŃlej.

Nadworze maj,kwitną krzewy i drzewa, a ona chyba naprawdę jestzżębnięta.

ZauwaŃa to i Ken.

Rozgrzałbym cię, myŃli przypatrująŃieszarej twarzy dziewczyny.

MiałabyŃ cowspominać do końca Ńycia.

Przygodaz Kenem Saltem!

A moŃe dostałbyw pysk?

To takŃebyłaby nie najgorsza przygoda, tym razem dla niego.

- Kawa ci wystygła - mówi Irfan ŃwiszczącymŃzeptem.

-Lubięzimną.

- Dlaczego wychodziłaŃ?

Ńle się czujesz?

- Nie.

Uzmysłowiłam sobie, że zupełnie nie umiem po angielsku.

- Co za głupstwo!

-Tak.

Nie mogę skleić najprostszego zdania.

- Może jednak źlesię czujesz?

-Nie wiem.

Nicnie wiem.

Słuchaj, Irfan, kupiłam sobie wspaniałą nocną koszulę-.

- Co takiego?

Nocną koszulę.

Nie możesz wciąż widzieć mnietylko w dżinsach.

Więc pomyślałam sobie.

Strasznie drogata koszula, bo cały przód ma z czarnej koronki.

sam zobaczysz.

Splaw tego całego Kena Salta, nie będziemy przez niego marnować czasu.

-- Oszalałaś!

-szepcze Irfan, zdumiony i zachwycony zarazem.

Nie rozmawiają po angielsku, co jest niegrzeczne wobec Kena, który wie, że oboje znają ten język, ale nie myślą się tym kłopotać, naglearogancy i arogancko młodzi.

- Chyba poślemy pana - mówi Irfan niedbale do Salta, przyzywając gestem kelnera.

-Tak, chyba już pana pošlemy.

- Milenie wraca znajomość angielskiego, gramatyka, słówka.

Obciąga sweter na bardzo skromnym biuście, co wzrusza Kena tak dalece, że wcale nie czuje się dotknięty.

- Ale janiestety będę cię jeszcze potrzebował - zwraca się do Irfana nie patrząc na niego, bo zaczyna go nagle denerwować ta jego śliczna, dziewczęca twarz i histeryczne stany, które raz po raz zmieniają

jej wyraz.

- Będę cię jeszcze potrzebował - powtarza wolno zdaje sobie sprawę, że chłopak chciałby go teraz zabić.

- Nie mogę się jakoś porozumieć z Pasojevicem, nie wiem, czego chce odemnie.

- A..

- Irfanowi drżą wargi, czuje to i przeraża go, że Salti Milena mogą to dostrzec.

- A nie może tego odłożyć do Jutra?

- Nie.

Zoran prosił o rozmowę dzisiaj.

- Jak długo.

potrwa?

48

Ken rozkłada ramiona teatralnym gestem.

- Tego nikt nie wie.

- I nikt tu prócz Irfana nie zna angielskiego?

- pyta Milena ostrym głosem.

Ken, przychyliwszy na ramię głowę, przygląda się dziewczynie.

- Nikt - prócz pani!

- Odprowadzę Milenę i zaraz do pana wracam.

- Irfan zagarniając przed sobą prawie wypycha z kawiarni.

Kenowi, gdy spogląda z nimi, wydaje się, że oboje płaczą.

Ale kiedy Irfan wreszcie wraca, mówi do niego, znowu nie patrząc mu w twarz:

- Powinieneś być mi wdzięczny.

- Pozwoli pan - świszczę Irfan przez zęby - że nie będę.

- Przecież to jeszcze dziecko!

-Ma dwadzieścia lat.

Madwadzieścia.

i kochamy się.

- Niedojrzałość nie jest sprawą wieku.

Znałem dziewczyny piekielnie dojrzałe w wieku lat piętnastu.

Ale one wiedziały, że mówienie o miłości niema żadnego znaczenia.

- Czego pan chce ode mnie?

- Nic poza tym, żebyś pozwolił się jej przespać. Zorana Pasojevicia oczywiście nie ma w "dowództwie" filmu.

Petranović, kierownik produkcji, dziwi się, że Ken o tym zapomniał, że zapomniał o wielkiej próbie, jaką reżyser miał dzisiaj z wojskowymi statystami.

- Umówił się ze mną - Ken nawet nie unika spojrzenia irfana, jakby najzwyklejszą sprawą w tych okolicznościach było to, że będą czekać na Pasojevicia choćby do rana.

- Napijmy się czegoś - proponuje.

- Ja dziękuję sztywno odpowiada Irfan.

Czy chce pan, żeby teraz skończył tłumaczenie tych artykułów?

- Oczywiście.

Ale nie przepadaj w swoim pokoju.

Zrób to tutaj.

Poprosimy Dragana, żeby wytarł stół, i będziesz mógł się tu rozłożyć ze swoją pracą.

Siedzą w gospodzie przy ulubionym stoliku Kena pod oknem, skąd widać zalany słońcem południowy stok wzgórza, które od północnej strony tworzy zaczynający się podal kanion Sutjeski.

i barek mamy Bujanić widać od tego stolika dobrze, Ken ceni sobie obydwie widoki na równi, a kiedy Dragan z nieodłącznym papierosem w kąciku ust zjawia się, żeby zetrzeć ze stołu mokre plamy po winie, Ken przyciąga go do siebie i prosi prawie czule:

- Szklaneczkę!

- Tego co zawsze?

- Tego co zawsze.

MoŜesz od razu przynieść dwie.

- Ta drugato dla niego?

- Dragan patrzyna Irfana.

-Nie, równieŜ dtamnie.

Młody człowiek jest abstynentem.

- Przynajmniej wtedy, kiedy pracuje - odcina się student.

Idzie dopokoju, przynosi gazety, zeszyt i długopis.

- Och - mówi Ken- nie potrzebuję tego napiśmie.

-Przedtem chciał pan,Ŝeby to napisał.

- Musiałem cię czymś zająć.

ŝeby Milko zdąŜył kupić i zanieść

kwiaty.

Milko wyczekuje przy bufecie na rozkazy, i na dźwięk swegoimienia ukazuje w uśmiechu wszystkie zęby.

- JuŜraz powiedziałem panu -syczy Irfan znad gazety Ŝe niepotrzebnie je panposyłał.

-Nie ucieszyła się?

- Zdziwiła.

A ucieszyła się panna Slimac!

ŝałuję, Ŝe nie wmówiłem w nią, Ŝe to dla niej.

Onajestjeszczez epoki królestwa Jugosławii, a te gesty, te pana gesty.

- Nie powiesz mi, Ŝe nie cenią ich takŜe młodekomunistki.

I nieusiłuj mnieobrazić.

Po pierwsze: to ci się nie uda, jestem dziś w wyjątkowo dobrym nastroju, a po drugie: nie zasługuję na to.



Tenmiły rodzaj rozmowy utrzymujecie aŚ do późnego wieczorapoprzez obiad, naktóry mama Bujanić osobiścieprzygotowała i podała Kenowi znakomite jagnię z rusztu i kilka szklaneczek uiubionego trunku nie liczonych dziś przez nikogo.

Gdy nie wiadomo było,kiedy wróci Zoran Pasojević, kiedy nawet naleŚało przypuszczać,Śenieprędko - Petranović tracił nad Kenem całąwładzę.

Te szklaneczki whisky nie mają zresztą Śadnego znaczenia.

Umysłma wciążŚprzenikliwie jasny, o wiele za jasny jak na ten zasmarkanydzień, w którym -  
nie, to nie do wiary!

- do tego róŚowiutkiego imieniaącego się na twarzygówniarza przyjechała dziewczyna, podczasgdyon,Ken Salt, wpatruje się wciążŚ na próŚno w milczące pudłotelefonu na ścianie.

Przez cały czas wydawało mu się, Śenie myśli oViv, Śe zajmują go sprawy tego smarkacza i dziewczyny, którą sobiesprowadził -on jeden zcałej ekipy!

- na dzisiejszydzień i całąnoc,całą noc do rana, tak,nie myślał o niej,ale była jego podświadomością, wewnętrznym dyktatemwszystkiego, co czynił lub nie czynił.

- Irfan - mówi nagle Ken miękko.

- Idź doniej.

Chłopak nie rozumie,mruŚy oczy, jestjuŚ zmęczony i senny,niemoŚsie doczekać, kiedy Anglik zaleje się do końca i uczeponyramienia zawsze gotowego douślug Milka, powędruje na górę do

50

łóŚka.

Wtedy on- wtedy on.

wtedyi on.

mógłbyzamknąć drzwiswegopokoiku na poddaszu gospody i przespać wszystko, co się niedokonało, niezisćiło.

- Dokąd mam iść?

- pytasennie.

- Do niej.

PrzecieŚ czeka na ciebie.

Przepraszam, Œe cię tak długozatrzymałem.

- To nic - szepcze chłopak.

- Głupstwo.

- Idź do niej!

- Ken podnosi glos.

Hałaśliwa grupa jugosłowiańskich aktorów milknie, wszyscy zwracają głowyku stolikowi podoknem, nawet Dara Sulajić, sekretarka planu, ta z wąsem, caław oparach kawy i dymu; okazuje zainteresowanie tym, co się tamdzieje, choć na ogół - co nie jest miłe u kobiety -

interesuje się wyłącznie sobą.

-Idź do niej!

-powtarza Ken juŜ nieco ciszej.

-Niech panda spokój!

-Czy chcesz,Ŝeby ja poszedł?

- O,BoŜe!

Czego pan chce ode mnie?

- Kupię następne pięćdziesiąt róŜ, wykupię wszystkie kwiatyw miasteczku i pójdę tam, jeśli zaraz nie ruszysz się z krzesła.

-Nie mówi pan tego powaŜnie.

- Mówię bardzo powaŜnie.

- Ken zniŜa glos, kaŜde jegosłowo,wypowiadane terazteatralnym szeptem,jest ciche i donośne zarazem,w teatrze dostałby za to brawa, atu ten gówniarz nie potrafi tegoocenić.

-Mówię bardzo powaŜnie.

Liczę do trzech.

- Chcemi się spać -Jęczy chłopak.

-Liczę do trzech:raz.

dwa.

Irfan podnosi się krzesła, przeciąga się, cięską dłonią poprawia zmierzwię włosy.

- ...

trzy!

Poradzę ci coś: biegnij przez całą drogę!

Otrzeźwi cię to i wróci formę.

Duśo biegałem, kiedy byłem w twoim wieku, nawet nieżyłem na pięćset metrów.

Przydaje mi się to od czasu do czasu na planie.

- Niech pan wreszcie zamilknie!

- mówi Irfan przez zaciśnięte zęby.

Jest przekonany, że następnego dnia Anglik poprosi o innego tłumacza, ale jest mu wszystko jedno.

Ken Salt wciąż jednak nie daje się obrazić, uśmiecha się, wykonuje piękny, naprawdę bardzo piękny gest.

- śyczę duśo szczęścia!

Aby cię wszyscy diabli!

klonie Irfan, ale już nie na głos, zapina kurtkę i wypada z zadymionej gospody w czyste, pachnące niedalekim lasem powietrze.

Nie biegnie, jak radził mu Anglik, wystarcza.

kilka głębokich oddechów, aby poczuł się raźniej i aby powrócił do pragnienia całego długiego dnia.

Postanawia przynieść Mi i niekwiaty, jest pewien, że zrozumie to w właściwy sposób, wybierze róże ładniejsze od róży Kena, nie tak prowokacyjne, białe i różowe wszystkie jeszcze w pączkach.

Niestety, kwaciarnia jest już zamknięta i nie zdaje się na nic długie pukanie do drzwi i okien, ekspedientka łączy się zapewne z jakimś aktorem gdzieś w parku, ludziana ogólnie starają się nie marnować majowych wieczorów.

Teraz biegnie.

Serce wali jak odbijana o blaszane ściany piłka, wszystkie ulice miasteczka prowadzą pod górę, no i w końcu ta ścieżka do domu panny Vragi Slimac, na niej serce sięga gardła i chce wyskoczyć przez zdyszane usta.

Biegnie.

Stracił już tyle czasu, ale ma jeszcze trochę przed sobą nie pozwoli.

już nie pozwoli.

Włada, przebrana za fertyczną pokojówkę pomoc domowa panny Slimac, otwiera drzwi, gdy Irfan jest na ostatnim stopniu schodów. Wygląda na to, że czyhała tu przez cały czas, zdumiona tak samo jak panna Slimac tym, że się nie zjawił.

- Ona śpi - obwieszcza z triumfem.

- Pracowała przez cały dzień,

a teraz śpi.

- Pracowała.

przez cały dzień?

- Tak.

Wciąż jej było mało papieru.

Zapisała cały papier listowy, jaki był w domu.

I musiałam jej wciąż przynosić nowe gazety -

- Wychodziła na obiad?

- Nie.

Zjadła z nami.

Pani ją zaprosiła.

Miałyśmy dziś.

- A pani.

już tak śpi?

- Nie.

Poszła na nieszpory, zwykle potem wstępując na plebanię grają z księdzem proboszczem w karty.

- No to my.

jeszcze.

popracujemy.

-jąka się Irfan i czuje, Śecerwienieje na twarzy.

Na szczęście w zapchanym sprzętami hallu jest ciemno i Vladanie moŚe tego dostrzec.

- Proszę namnie przeszkadzać.

Akawy nie przynieść?

Dziękuję.

Dopiero co piłem.

- Ale ona.

ona moŚe by się napiła?

- Narazie nie będzie jej budził.

Sam dokończę tłumaczenia.

Milena rzeczywiście śpi, albo spała, zanim przyszedł.

Teraz tak Śe, nie rusza się, przykryta turecką kapą, którą zasłane było łóŚko, mała pod nią, zwinięta w okrągły kłębek, przyczajona w udawanym śnie.

Irfan ściąga kurtkę i uniósłszy kapę kładzie się obok, przytula się do pleców Mileny, całuje jej kark.

Kiedy usiłuje dłonią odwrócić do

siebie jej twarz, poznaje, Śe płakała.

Poduszką jest jeszcze mokra, a policzki tak Śe zachowały wilgoć.

- Kocham cię !

- szepcze Irfan w podkoszulek na jej plecach.

- Kocham cię, słyszysz?

i nic poza tym nie jest waŚne.

Spędzimy tę noc razem i nie tak, jak wyobraŚają sobie ludzie.

Milena milczy, ale teraz nie udaje już, Śe śpi, jej ciało się oŚywi i otwiera na każde jego słowo, dziewczyna odwraca się powoli i przytula do Irfana całą swoją szczupłość i śliskość, prócz podkoszulki ma na sobie rajstopy, i Irfan dotyka ich wreszcie dłonią, palcem drŚą.

- Nie musi być tak, jak wyobrażają sobie ludzie -szepcze.

Ustama wilgotne i nabrzmiące, boi się dotknięciami twarzy Mileny, alew końcu dotyka, jej usta są też nabrzmiące i wilgotne, ustępują pod jej wargami, łączy je z nimi wspólny jęk, głębokie westchnienie.

- Tak.

- Milena rozpiną koszulę na jego piersiach, odrywa odporne guziki - wcale nie musi być tak, jak wyobrażają sobie ludzie.

Zamknąłeś drzwi na klucz?

-Nie.

-Zamknij!

-Ale.

gdyby.

-Zamknij!

Irfan biegnie do drzwi, przekręca klucz w zamku, nie troszcząc się o to, że może to usłyszeć Włada, w drodze powrotnej do łóżka zrzuci na siebie koszulę i spodnie, zsuwa z nóg obuwy.

- Kocham cię - powtarza wciąż.

- Kocham.

- Daj mi z walizki koszulę!

- woła Milena.

Zdała ją już ścignąć podkoszulek, okrywa teraz nim swoje drobne piersi.

- Koszulę?

-Tak, przecież mówiłam ci.

Wydałam na nią połowę stypendium!

Irfan chwyciwszy dłoń miękki kłębuszek jedwabiu, chce spojrzeć, jak wygląda na ciele Mileny, ale onanie daje mu na to czasu,

wciąga go w łóżko, obejmuje udami.

- Zabiję jutro Kena Salta -szepcze dziewczyna -jeśli odważy się wezwać cię dziś do siebie.

-Nie!

- Irfan śmiejesię szczęśliwie.

Nie robi tego.

Na pewnotego nie robi.

- Skąd wiesz?

Do niego wszystko podobne.

- Wiem, że tego nie robi.

- Irfan kładzie dłoń na małej piersi, której wierzchołek twardnieje pod tym uciskiem i zamienia się w ciepły, zaczepek nystoś.

- Już nie.

Kazał mi iść do ciebie!

- Kazał ci?

Tak.

Powiedział; idź do niej.

w nim mogło się obudzić.

Jak powiedział?

- Idź do niej - powtarza Irfan, nie rozumiejąc, dlaczego to takie ważne.

-- Wynoś się!

- krzyczy Milena.

Odrzuciła go jednym ruchem nóg,

wyrzuciła z łóżka.

- Wynoś się, ty gówniarzu!

Irfan nic nie rozumie, najpierw przeraża go własna nagość w łóżku, ale na zimnej podłodze usiłuje zebrać swoje rzeczy, zgarnąć je, wciągnąć na siebie.

- Dlaczego?

Dlaczego?

- szepcze przerażony.

- Wynoś się!

- piszczy Milena.

Wcisnęła w kąt podciągnęła, swoją piękną koszulę, żeby okryć nią przeświecające przez koronkę piersi.

- Wynoś się!

Prędzej!

Bo narobię takiego wrzasku, że nie tylko Włada, ale i panna Slimac usłyszy mnie na plebanii.

Pozwolił ci,

tak? Kazał ci iść do mnie!

- Mileno!

- Irfan jeszcze ma nadzieję, że zdoła wszystko jej wytłumaczyć, naprawić, zawrócić czas do poprzednich chwil.

Wkońcuncie już nie chce poza możliwością zostania w pokoju; wyobrażenie oczu Włady, czyhającej zapewne w przedpokoju, pęta mu ręce i nogi, paraliżuje ruchy.

Ale Milena nie boi się spojrzenia pomocy domowej panny Slimac.

Zrywa się z łóżka, podbiega do drzwi, zhałasem przekręca klucz w zamku.

- Zjeżdżaj!

woła na cały dom.

- I w Belgradzie nie pokazuj mi

się na oczy!

Ludzie szczęśliwi mają bardzo dużo czasu, tak myśli Irfan, kiedy nie wie, co ze sobą zrobić, kiedy przez długie godziny błąka się po miasteczku, bojąc się wrócić do gospody

- może by zabił Kena Salta, albo mu przynajmniej naubliżał, żadnego znaczenia nie miał

fakt, jakie naprawdę przyświecały Anglikowi intencje.



A na ten wieczór majowy nawet zgór zeszy do miasteczkadziewczyny i teraz wodzą za sobą męŜczyzn w zamszowych marynarkach, męŜczyznw partyzanckich kurtkachz ostatniej, nie znanejwojny, męŜczyzn w kombinezonach filmowej ekipy technicznej.

Irfan wędruje za nimi, pijewino w jakiejś gastinnicy, mówi juŜ komuś ty, juŜ kogoś całuje i śpiewa zachrypniętym głosem wojskowe

piosenki.

Kiedy wraca do gospody, jest juŜ późna noc,w sali na dole przygaszono światła,więc Irfan, Œeby nie zbudzić Kena Salta, gdy będzie

54

przechodzićobok jego pokoju,zdejmuje buty i trzymając je w ręce,posuwa się po ścianie w głąb korytarza.

I nagle słyszy, jakKen krzyczy do telefonu, jak biedny Ken wyobraŜa sobie, krzycząc tesłowa, Œe Viv CHvley naprawdę zjawisję nad Sutjeską:

- ...

Przesiądziesz się w ViŒegradzie iw Foća.

Zapamiętaj!

Zapisz sobie: w ViŒegradzie i w Poća.

A tutaj będęczekał na ciebie!

Przezwszystkie następane dni będę czekał na ciebie!

Irfan powinien był to widzieć.

Tak, powinien być przy tym i widzieć, jak na jedenastypiętrze luksusowego hotelu w Moskwie, które wynajęła i całkowicie wypełniała swoją niezwykłością, a takŜe mnogością przywiezionychprzedmiotówi liczbą towarzyszących jej osób wielka amerykańskagwiazda -

jakna tym jedenastym piętrze Viv CHvley usiłowała kupićlub bodaj wypoŜyczyć za dwieście dolarów znoszony koŜuszek odzdumionej panienki z recepcji.

Daria Dmitrjewna,której rodzice, a przynajmniej jedno z nich,musieli pochodzić zKaukazu, zwróciła uwagę Vívłaśnie swojąpołudniową urodą,czarnymi włosami,które czesała tak jak ona właśnie, w puszystą czuprynkę, nastroszoną nad czołem.

Te włosy, krucze brwi i rzęsy, mały nosek i.

koSuszek biała barania bekieszka, mocno podniszczona - były powodem zaproszenia jej na górę, w największej tajemnicy przed Patrycją Roth, którą chyba raz w Śyciu w najmniej odpowiednim momencie zawiodła intuicja.

Pośredniczył w całej sprawie, na ten jeden jedyny raz dopuszczony do takiej poufałości, Bob Hyhup, opiekun Ota i Des.

On to sprowadził do apartamentów na jedenastym piętrze Darię Dmitrjewną, już w windzie uwagami o ekscentryczności amerykańskich gwiazd starając się przygotować ją do niezwyklej propozycji, jaką miała otrzymać.

Viv przyjęła ją w swojej sypialni - tu Patrycja zaglądała najrzadziej i zawsze musiała było zatrzymać ją za drzwiami, tłumacząc się bólem głowy - miała na sobie peniar obszuty polarnymi lisami, przygotowany chyba specjalnie na Moskwę, i tym dziwniej zabrzmiała prośba, której Viv nie wyjawiała szczęście Darii od razu.

Posadziła ją w fotelu, którego istnienia Daria, pracująca tu już od dwóch lat, nawet nie podejrzewała, choć zdarzało jej się wchodzić do apartamentów położonych na niższych piętrach.

Był to kołyszący się.

obłok, w który zapadało się ze zgoła nie marksistowskim uczuciem wniebowzięcia.

- Kochanie!

- powiedziała Viv swoim najklimszyrgłosem, Tak ładnie pani w tym fotelu.

- Kaśdemu,.

- szepnęła Darta- kaśdemu jest chyba w nim ładnie, Rozmawiały po angielsku, Daria skończyła instytut języków zachodnioeuropejskich, z równą swobodą używała niemieckiego i francuskiego, w tym hotelu stawiano personelowi wysokie wymagania.

- Napije się pani czegoś?

-Dziękuję.

Mam dyśur w recepcji.

Muszę tam wrócić.

- Ale mogę mieć przecieś jakieś kłopoty - Viv udawała bezradną, zmartwioną- mogę mieć jakieś sprawy, w których potrzebna jest mi

pomoc.

Daria Dmitrjewna zsunęła się na sam brześek fotela.

- Jesteśmy zawsze gotowi do usług i wszelkiej pomocy!

Mam nadzieję, że nic złego się pani nie przydarzyło?

- Och, nie.

Skądś znowu.

- Temperatura w hotelu jest właściwa?

- Chyba tak - uśmiechnęła się Viv - bo Niemcy chodzą w samych koszulach.

Daria roześmiała się i było jej z tym bardzo do twarzy.

Viv obserwowała ją, przechyliwszy nieco głowę.

- Jesteś chyba trochę do mnie podobna.

Daria stanęła w łunierumieńca.

- Ależ, proszę pani!

- Mów do mnie: Viv Michajłowna, mój ojciec miał na imię Michel, po waszemu Micha-ił.

Tak to u was jest zwyczaj, używasz imienia ojca zamiast nazwiska, prawda?

- "No, niezupełnie, nazwiska używa się tak.

- Oficjalnie.

Ale w stosunkach towarzyskich.

takich jak między

nami.

- Między nami.

- powtórzyła Daria z najwyższym zdumieniem.

- Nie myśl bez przerwy o tym, kim jestem.

To właśnie mężczyźni najbardziej poza domem.

Nikom przez myśl nie przejdzie, że jestem zwykłą kobietą, że mam zwykłe potrzeby i pragnienia, że chciałabym może przejść się po Moskwie bez żadnej asysty, w takim kołuszku jak twój.

- Och - Daria Dmitrjewna zarumieniła się jeszcze mocniej - jest już taki zniszczony

- Jest świetny!

- zawołała Viv.

-Na pewno znakomicie bym się w nim czuła.

- Czy.

- recepcjonistka zsunęła się tak dalece z fotela, że siedziała właściwie na własnych piętach --  
czy pani.

Życzy sobie.

- Mów mi: Viv Michajłowna!

-Czy pani.

Viv Michajłowna.

- Daria zmieszała się jeszcze bardziej - Życzy sobie.

Żeby jej pożyła mój kołuszek?

- Pożyła?

Można to i tak nazwać.

W każdym razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś kupiła sobie nowy w shopie na dole.

- Nic nie stoi na przeszkodzie?

- wykrztusiła Daria.

Viv wstała ze swego miejsca i przysiadła na oparciu fotela, otoczyła ją ramieniem w białym pachnącym futrze.

- Głupiątko!

- powiedziała czule.

-Nie chcę cię razić, ale właśnie dlatego, że cenię sobie twoją bezinteresowną życzliwość i że, hm, mam trochę pieniędzy, a ty jesteś tak młoda, że ich jeszcze mieć nie możesz.

- Viv Michajłowna!

krzyknęła Daria.

- O, Boże!

- zniecierpliwiała się wreszcie Viv, nie przewidywała aśtakichceregeli przy tak prostej zdaniem transakcji.

-Dam ci dwieście dolarów i kupisz sobie nowy kośuch, a ten stary odeślesz mnie.

To chyba proste?

- Proste?

- Czarne oczy Darii Dmitrjewny zaokrągliły się w bolesnej rozterce, bo już być może widziała siebie w nowym kośusku, a równocześnie widziała zdumione spojrzenia personelu recepcji.

-To wcale nie jest proste.

- Dlaczego?

- zapytała Viv z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Och - zakłopotana się Daria Dmitrjewna - paninie będzie mogła tego zrozumieć.

Ale oczywiście moją bekieszkę poślę ci z największą.

naprawdę największą radością.

- A w czym sama będziesz chodzić?

Zimny maj w tej waszej Moskwie.

- Nie zawsze jest tak.

Ten rok zupełnie wyjątkowy.

- Daria Dmitrjewna zaczęła gorliwie bronić moskiewskiego maja, jakby jego niska temperatura była skutkiem jakichś błędów i poważnych niedopatrzeń.

Na ogół o tej porze chodzimy już w samych sukienkach.

-Widocznie mam pecha - mruknęła Viv i dodała głośniejszym głosem: - Wyjątkowy czyni wyjątkowy, ale kośuszek jest ci potrzebny.

-Nie wtedy, kiedy siedzę w recepcji.

W tym czasie.

w tym czasie pani.

-Viv Michajłowna.

57.

- „w tym czasie pani, Viv Michajłowna, mogłaby spacerować w moim kołuszku po Moskwie.

-Świetnie!

- Viv roześmiała się.

-Jednak załatwimy to inaczej.

Bo nie znoszę sytuacji, kiedy nie rozporządzam w pełni swoim czasem.

Dość mam ograniczeń naplanie.

Więcnie dziw się, gdy ktoś przyniesie ci do recepcji prezent.

- Prezent?

-Tak.

Ty przedtem dostarczysz mi na górę bekieszkę, dyskretnie, rozumiesz, nie musio tym wiedzieć cały hotel, a przede wszystkim mój personel, a potem ktoś przyniesie ci prezent ode mnie.

Dużapaczkę, pięknie zapakowaną!

Prezenty wolno ci chyba przyjmować?

- Nie wiem, czy.

takie - zaszepiała Dariusza w śmiertelnej męce.

- Nie bądź dzieckiem.

- Viv znowu objęła ją swoim białym i puszystym ramieniem, polarne lisy pachniały odurzająco.

-Zobaczysz, Œe to nawet zrobi dobre wrażenie Wkońcu mogę mieć taki kaprys.

Wciąż wszystkie gazety piszą o moich kaprysach, a kiedy wreszcie jemam, tak trudno je zrealizować.

Tam wiszą róŒne kołuchy w tymshopiena dole.

Chcesz mieć biały czy brązowy?

- Biały- szepnęła Daria.

Czy byłakiedyś sama na lotnisku?

Bez babci, bez rodziców, bezkolejnychmęŒów, którzy - jeśli tylko mogli- towarzyszylijej w

podróżach, bezłemu płatnych opiekunów wreszcie, koniecznych i corazliczniejszych wmiarę wzrostu jej sławy.

Nigdy nie troszczyła się to, w jakie wejść drzwi, naktóre wstąpić schody, któredy trafić dowyjścia, jak zdobyć taksówkę.

Nigdysamianie dźwigała bagażu.

Teraz to wszystko wydaje się jej koszmarne, trudne, budzące strach -zwłaszcza że wciąż stara się, żeby jej nierozpoznano.

W samolocie się chyba powiodło, Stewardesy, zawiadomione przez obsługę odprawy dokumentów, kogo mają na pokładzie, przyjrzawszy się wszystkim pasażerom musiały rzecz całą uznać za pomyłkę.

Może przez sekundę dłużej zatrzymały na niej wzrok, ale kołuszek Darli Dmitrjewny miał działanie magiczne; Viv Clivley nie mogła być tak ubrana.

Przez całą podróż nie zdjęła okularów, nie rozwiązała zruskazamotanej wokół głowy chustki.

Ale w Belgradzie jest upał!

Zanim podstawiono schodki i otworzono drzwi, samolot przy wyłączonej klimatyzacji zamienił się w podgrzewane pudełko sardynek.

Koło

Darii Dmitrjewny staje się ciężki, ogromny, oblepiający ciało.

Viv sięga go z siebie, przerzuca przez ramię, lecz kiedy ukazuje się na schodkach tylko w swetrze i spodniach, które tak kocha Ken, ponieważ spodnie mają wypcnięty kształt jej kolan, a sweter - łokci, wiatr hulający na wszystkich lotniskach świata przewiewa ją na wylot.

A ubiegłego roku miała w Paryżu zapalenie płuc, ciężko to przeszła i doktor Brandfoster zalecił jej.

Nie może zwracać sobie teraz głowy zaleceniom doktora Brandfostera, lepiej w ogóle o nim nie myśleć, o nim ani o Patrycji, o awanturze, którą zapewne sobie teraz robią, najważniejszą sprawą jest przedostanie się bezwzbudzenia sensacji przez kontrolę paszportową - potem jest już Jugosławia, jest Ken, który czeka na nią, jest kilka wspólnych godzin, zanim Patrycja, mimo listu, jaki jej zostawiła, zacznie działać.

Kolejka do kontroli paszportów posuwa się szybko, zresztą nie jest zbyt duża, w samolocie pozostało sporo wolnych miejsc, maj nie był szczytem sezonu nad Adriatykiem.

Na szczęście w okienku siedzinie rozczytująca się od dziecka w pismach filmowych panienska, leczbarczysty Jugosłowianin.



Stojąc przed jego obliczem Viv odkrywaw sobie zdolności do ról charakterystycznych, przygarbia się, zaczynanawet seplenić -zapalone na chwilę w oczachJugosłowianina światelko gaśnie,dziewczyno, myśli, ale cię podszykowali dotego zdjęciaw paszporcie!

Teraz trzeba odebrać багаŜ.

Viv przypomina sobie o nim, gdyŜ juŜ- szczęśliwa z pomyślnegoprzebiegu odprawy paszportowej - zmierza ku wyjściuz lotniska.

Właściwie nie wie, jaksię to odbywa idokąd powinnasię zwrócić.

Przypomina sobie takie sytuacje niez własnych doświadczeń, ale chyba zoglądanych kiedyś filmów.

Oczekiwanie na багаŜ!

Dostrzega grupę pasaŜerów ze swego samolotu, są wniej dwieRosjanki, które siedziały przed nią- najwyraźniej czekająna walizki, mają przy sobietylko torebki i przerzucone przez ramiępłaszcz.

Viv znów się garbi, wsuwapodzęby dolną wargę, co czynią gotową do natychmiastowegoseplenienia.

Zaczyna jej się to naglepodoobać,ledwiepowstrzymuje uśmiech, bo juŜgo ktoś podchwycił,juŜ

się uśmiecha do niej jakaś kobieta o szerokich,aksamitnychbrwiach.

Walizki ukazują sięw końcu na taśmociągu, odbiera swoją, i choćwybrała najmniejszą z moskiewskich багаŜy,wydaje jej się bardzocięŜka, z niewiadomego powodu o wiele cięŜsza niŜ w Moskwie -rozgląda się za багаŜowym, ale wszyscy sąjuŜ zajęci, objuczeni walizami ogromnej wielkościprzepychają się brutalnie przez tłum.

Od.

trącona pod ścianę przez taką kanciastą postać, ledwie powstrzymujesię od głośnego oburzenia; oto samo Ŝycie zagarnia ją swoją falą,Ken tego chciał, a ona zgodziła się ponieść wszelkie trudy, Ŝeby gozobaczyć, Ŝeby być z nim przez kilka godzin.

Przez kilka ukradzionych Ŝwiatu godzin.

Kiedy Patrycja zjawi się w wytwórni zjeJ listem, wybuchnie niewątpliwie wielka awantura.

Ale David Jonathan Path, stary Nat, którynakręcił jej pierwszy film, kiedy miała dwanaście lat - bardzo bałasię wtedykonia, choć miała go kochać na ekranie - staryNat potrafiłwieiej wybaczyć.

ByćmoŜe kręci teraz swójostatni film, w dodatku wkoprodukcji ztak potęŜnympartnerem, zapewniającym projekcję we wszystkichkinach ogromnego kraju, zaleŜy mu więc nadewszystko, Ŝeby tamiała dziewczynka, która stała się wielkągwiazdą,uŜyczyła mu swego blasku.

Ale nie tylko dlatego był zdolny jej wiele wybaczyć.

Łączyły ich tysiące godzin wspólnej pracy i wspólnego poniewypoczynku, kiedy to wiedział, że bardziej był jej potrzebny niż ona planie.

Na początku nie miała jeszcze swego sztabu, czuła się zagubiona, wessanaprzez mechanizm, którego była tylko jednym, wymiennym kółkiem.

Wtedy lubiła, żeby był przy niej.

Potem wiesz zmieniło, ogromny mechanizm zaczął się kręcić wokół niej, stała się niewymienialnym jego kółkiem, otaczała się mnóstwem płatnych osób, kolejni mężczyźni starali się rozpraszać jej lęki, nigdy - za dnia ani w nocy - nie była sama, a jednak czasem mówiła: zostań ze mną, Nat!

I znaczyło to bardzo wiele, znaczyło, że był jej potrzebny.

Zataki darmo ona zapłacić tylko wzajemnością.

Gdyby zdołała złapać bagażowego, on postarałby się o taksówkę, bez bagażowego sytuacja wydaje się beznadziejna, łańcuszek trudności wydłuża się o wszystkie życiowe nieprzystosowania; powinny właściwie dla treningu co najmniej raz na tydzień urządzać sobie taką samotną eskapadę, nabrałyby wtedy wielu umiejętności, w jej życiu niepotrzebnych, ale niezbędnych tym, którzy z radością posługują się własnym ciałem, nie strzegąc go tak usilnie przed każdym wysiłkiem.

Viv zacisnąwszy zęby podnosi walizkę, kościuch Darii Dmitrjewny przerzuca sobie przez ramię; przepychając się wśród tłumu, wychodzi przed gmach lotniska.

Słońce praży tu jak w lipcu, przez odór benzyny przebija woń świeżo strzyżonych trawników, zapach lata i wakacji z dala od miast, wytwórni i hal zdjęciowych.

Kościuch Darii Dmitrjewny ciągnie coraz bardziej, ponadto zwraca powszechną uwagę.

W grupie pasażerów moskiewskiego samolotu, równie objuczonych ciepłymi okryciami, wcale nie raził - tu, na zalanych słońcem schodach,

60

pośród fali wiosennie ubranych ludzi staje się sensacją, Chyba go tu gdzie zostawię, myśli Viv w popłochu, ale od razu przypomina sobie, jak mroźne po upalnych dniach były noce w Afryce, może tu jest podobny klimat, trudno spamiętać klimaty na całej kuli ziemskiej.

I po co się właściwie tyle podróżuje?

Dlaczego człowiek niesyty jest wciąż nowych miejsc i nowych ludzi, dlaczego sam nie może uwierzyć, że najszczęśliwszy jest w domu, z tymi samymi obrazami naścianie i tym samym widokiem za oknem.

Ta malownicza wstęga ludzipo prawej stronie, to kolejka do postojutaksówek.

Viv ma ochotę zawrócić do hali lotniczego dworcai sprawdzić na tablicy, o której odlatuje samolotdo Moskwy.

Powstrzymuje ją tylko myśl o tym, że Ken czeka, że będzie wychodziła wszystkie pociągi, którymi mogłaby przyjechać.

Jednak widok kolejki do postoju taksówek obezwładnia ją.

Czydoktor Brandfoster nie przestrzegał wielokrotnie, że nie wolno jejdlugo stać?

Stare dolegliwości kręgosłupa, nabyte podczas upadkuz konia, mogłyby się znów odnowić.

W dodatku ta walizka!

Czyw ogóle była jej potrzebna,czy koszuli nocnej i szczoteczki do zębów nie mogła wsadzić do torebki?

Gdyby byłaz niąPatrycja.

Dopiero ta myśl przeraża ją naprawdę.

Oznaczabowiem kapitulację,ostateczne załamanie, przyznanie siędo porażki.

Więc co by było,gdyby tu była z nią Patrycja?

myśli zwiściekłością, skierowanaprzedewszystkim przeciwko sobie.

Co byzrobiła Patrycja?

Wyjęłaby stodolarów i w tej samej chwili miałaby i bagażowego, itaksówkę.

Aleco byzrobiła Patrycja bez stu dolaróww ręce?

Stałaby tu równiebezradna jak ona i chybajeszczebardziej wściekła, bo nikt.

na nią bynie czekał na jakiejś małej stacyjce wśród gór.

Ta myśljest pocrzepiająca, dodaje sił, każe wziąć się w garści trzeźworozejrzyć dokoła.

Viv kopie nogą walizkę i rzuca na niąkośuch.

Do diabła, niebędzie tu przecieże stała do południa!

Przez tenczas wszystkiepociągi odejdą w stronę Visegradu.

Dostrzega naglesamochód, zielone volvo,przesuwające się wolnowzdłuż schodów, aw nim -

za opuszczoną szybą- samotnego mężczyznę.

Ile razy widziała takie sceny naekranie!

Podnosi rękę, przegina się zalotnie, niechowa dolnej wargi pod górnymi zębami, teraz na pewno nie będzie' seplenić.

-Hej!

- Hej!

- odpowiada wcale nie zdziwiony mężczyzna Zatrzymujesamochód, otwiera drzwiczki - umie patrzeć nakobiety i nie jest toprzykre aniprowokujące, jest przyjemne, Viv wie, że odniosła swoje.

małe, najzupełniej prywatne zwycięstwo: nie jest Vivien CHvley, jest zwykłą niebrzydka dziewczyną bez stu dolarów w ręce, którą ktoś ma

ochotę podwieźć.

- Przepraszam - mówi po francusku, wolijednak nie posługiwaśięangielskim - muszę jaknajprędzej dostać się na dworzec, akolejka do taksówek taka długa.

-Niech pani wsiada- mówi mężczyzna.

Zna francuski, aleakcentmógłby sobie poprawić.

Kimjest?

Inżynierem, lekarzem, naukowcem?

Brodę ma ciemną od przebijającego spod skóry czarnego zarostu, pewnie musię golić dwa razy dziennie, myśliViv, rano, i wieczorem przed pójściem do łóŜka, kobiety nie lubią, kiedy kłują jeszczeciniaste brody, choć właściwie.

.. Vivpłoszy siętą myślą, leczon -zajęty prowadzeniem wozu - naszczęście tego nie widzi,włącza od razu drugi biegi pyta: Skąd pani przyleciała?

--Z Moskwy -odpowiada z lekkim zająknięciem.

Jak to wszystkorazempowiązać,jeśli będzie dalej pytać, Francuzka, z Moskwy, doViegradu?

Aleprzecież w tym koŜuchu nie mogła przyleciećzParyŜa.

-I tak tam zimno?

- Mróz.

i śnieg!

- No!

U nas siępani rozgrzeje.

- Już się rozgrzałam.

-Może chcesz pani czegoś napić?

Wstąpimy gdzieś na chwilę.

- Nie, nie!

- zbyt gwałtownie protestuje Viv.

Jej najzupełniej prywatne zwycięstwo zaczyna się stawać niebezpieczne.

Droga lotniska do miasta prowadzi wśród zielonych ogrodów, między nich nieliczne domostwa, oplecione kwitnącymi pnączami.

- Dlaczego?

Znam tu taką zaciszną kawiarenkę.

- Śpieszę się.

bardzo się śpieszę -jaka się Viv, znowu ma ochotę zacząć seplenić.

- Muszę zdążyć na pociąg.

- Dokąd?

-Do Yisegradu.

- Do Yisegradu?

-Tak.

- brnie dalej Viv- moja firma.

francuska firma Laurenta.

- zapomina, jak ma na imię wielki krawiec, którego tylekroć była klientką, i powtarza: -- Firma Laurenta organizuje razem z Rosyjską Modą pokaz modeli skomponowanych na motywach ludowych-  
Właśnie dowiedziałam się, że macie jakieś słynne hafty w okolicach Viegradu.

62

- Popatrz, popatrz- mrużymy oczy.

- Mieszkasie tu i nic sieo tym nie wie.

- Bo nie interesuje sieo pantymisprawami.

Alekiedy pracuje sieo modzie.

- Viv urywa, bo spostrzega, Se meScyzna zerka najejportkii sweter.

-jestem projektantka- wyjaśniaz naciskiem.

- Ale mogłaby pani bycmodełką.

-Co teS pan.

- Albo aktorką!

Naprawdę.

Nie mówię tego kaSdej ładnej kobiecie.

- Wierzę.

Ale tyłkote ładne kobiety, które nie mają nic do powiedzenia w Śadnym innym zawodzie, zostajamodelkami.

I aktorkami-dodaje Viv, coraz bardziej wściekła na siebie.

-Głupie gęsi, myślą,Se uroda to wszystko.

- Jednak, co tu duSo gadać - meScyzna zwalnia nieco, wjeSdSajaw miasto, ruch sieo zwiększa - jak człowiek wydaje te dwadzieściadinarów na bilet do kina, to chce sobiepopatrzeć na ładneciało.

Czyto cozłogo?

- No nie.

tego nie powiedziałam.

- Więc niech sieo pani nie obraza, kiedy mówię,Se panitakSe mogliby za toplacić- Nie tylko zarysowanie sukienek iwynajdywaniehartów aS.

w Viśgradzie.

Ostatnie słowa zabrzmiałynieco dziwnie i Viv postanawia miećsieo nabaczności.

Garbi sieo, odwraca twarz ku bocznej szybie.

- I nadługopani do tego Yiśgradu?

- Tobędzie zaleŜało.

od kilku spraw.

- AmoŜe.

- meŜczyzna poprawia się na siedzeniu, przez chwilę rozwaŜa propozycję, zanim ją wyjawia -  
moŜe.

podwieźć panią?

Byłaby pani o wiele wcześniej niŜ pociągiem.

- Och nie?

- Viv jest tak przeraŜona, Ŝej jej towarzysz zaczyna mówić o Francuzkach zupełnie inne wyobraŜenie niŜ  
miał dotąd.

- Chciałem pani oddać przysługę - mówi nieco obraŜonym tonem.

- Oczywiście - Viv usiłuje naprawić sytuację - to było bardzo miłe z pana strony, ale widzi pan.

ktoś będzie czekał na mnie nadворcu.

- Tego mogłem się domyślić.

Wie pani przynajmniej, o której ma pani pociąg?

- Zapół godziny - mówi Viv.

- Ledwie zdąŜę kupić bilet.

- Oczywiście kłamie, nie ma pojęcia, o której godzinie odchodzi pociąg do Yisegradu.

- Czy aby na pewno zdąŜę?

- pyta nerwowo.

MeŜczyzna naciska pedał.

- Postaramy się oto.

Choć.

nie bez Ŝalu.

Nie rozmawiają juŜ aŜ do samego dworca, a kiedy samochód zatrzymuje się przed nim i Viv -

wciąż udając pośpiech - chwytając walizkę i zgarniając kołosa Darii Dmitrjewny, mężczyzna przytrzymuje na

chwilę jej dłoń.

- Wie pani, dlaczego zatrzymałem się, kiedy pani podniosła rękę?

- Nie - szepce Viv czując, że się rumieni.

- Bo jest pani podobna do Viv Clivley.

- Naprawdę?

- Nikt pani o tym nie mówił?

- Nie.

Pan pierwszy.

- Ale podobieństwo jest wprost łudzące!

Oczy, usta, sylwetka!

A wie pani, że ona już się rozeszła z Kenem Saltem?

Zwykle plotki o tematyce małżeństwa doprowadzają ją do szału, teraz jednak uśmiecha się swoim najpiękniejszym uśmiechem i mówi

zalotnie:

- No widzi pan.

Jest do wzięcia.

W oczach mężczyzny zapala się nagłe olśnienie, ale Viv jest już w tłumie przed dworcem, już wtapia się w prawy nurt przepływający przez wiejskie, skracające kukasom.

W zielonym kanionie Sutjeskinie ustawała praca nad filmem.

Scenariuszowa sytuacja była następująca: główna grupa operacyjna, a nie naczelne dowództwo irańskie, przedzierali się do Bośni przez silne okrążenie wojsk niemieckich (dywizja SS "Prinz Eugen"), włoskich i bułgarskich.

Jugosłowianie, podzieleni na dwie grupy, liczyli dwadzieścia tysięcy żołnierzy, Niemcy wraz ze sprzymierzeńcami o sto tysięcy więcej.

Nocami słychać było ujadanie niemieckich psów, zdradzało to pozycje esesmanów; ich obecność (z którą górą, tą najbliższą czy tą dalszą?)



) stawała się nieomal fizycznie odczuwalna.

Jugosłowianie już doniej przywykli, ale Anglicy z misjiwojskowej mieli strach w oczach, z trudem koncentrowali się w rozmowie, przewiewny namiotjugosłowiańskiego wodza nie wyciszał tych odgłosów wojny.

Szczekanie psów, zgromadzonych dla potrzeb filmu, męczyło takżeaktorów i ekipętechniczną.

W nocy słyszało się ten psi jazgotw całymmiasteczku, w dzień - na planienad Sutjeską- spotęgowanybył jeszcze ujadaniem wszystkich kundli 2okolicznych wsi.

Rwały się na łań64

cuchach, czując w pobliŜu sforę milicyjnych owczarków,które GoranPetranovićsprowadziłwraz z ich opiekunami aŜ z Zagrzebia.

- Zapytaj pirotechników -mówi Ken Salt do swego tłumacza -czy nie mają waty do uszu.

Irfan od dwóch dni boczy się na Salta,wykonuje wszystkiejegopolecenia, ale sam nie odzywasię doniego, unika jego spojrzeń i niepatrzy muw oczy.

Teraz stara się zdobyć dla Anglika tę wyciszającąhałasy watę do uszu,leczbez gorliwości; otrzymawszyprzeczącąodpowieź od jednego z pirotechników, nie pyta dalej, wraca i obwieszcza prawie z satysfakcją:

-Nikt nie ma.

- Przyjdzie oszaleć z tymi psami, Nie wiesz, kiedy je odeślą doZagrzebia?

-Dopiero wtedy, gdyzostanąnakręcone wszystkie sceny esesmańskiego pościgu.

- Długo to potrwa?

-Nie wiem.

- A ty co?

Wciążsię dąsas?

Irfan milczy, tylko twarz pokrywa mu się ciemnym rumieńcem.

- No,odezwij się.

Zaklnij chociaŜ!

-- Ken skończył właśnie scen?

z angielskimi aktorami, grającymi oficerów misji wojskowej, machwilę wytchnienia i chciałby spędzić ją przyjemnie.

Naprawdę wierzy, że Viv jedzie do niego, może wylądowała już w Belgradzie i teraz jedzie pociągiem, radość rozsadza mu piersi, mógłby wszystkich wokół całować i ścisnąć, reżyser zwrócił mu nawet uwagę, że bynie był tak promienny, żeby nie zapomniał, jaka jest sytuacja "Operation Schwarz", mówił, na rozkaz samego Hitlera ma zlikwidować front bałkański, nie ma jeszcze frontu we Francji i tylko Bałkany są drugim frontem w Europie, odciągającym siły niemieckie od frontu wschodniego, niechże pan o tym wszystkim myśli, mister Salt.

I mister Salt skupiasię z trudem, ma w wyrazie twarzy prawdziwą animozję do Anglików.

Nigdy nie byli w stanie zrozumieć uczuć innego narodu, dopóki sami.

No tak.

Koniec z tym, teraz jest przerwa, Viv jedzie do niego, tyle szczęścia, wielki Boże!

Nie chce widzieć śladnych dąsów, o co ten smarkacz może mieć Salt do niego, czy nie zwolnił go w końcu, żeby mógł się przespać z tą swoją zieloną dziewczyną?

- Odezwij się!

- powtarza - - Straciłeś mowę czy zapomniałeś angielskiego.

- Ani jedno, ani drugie - odpowiada Irfan sztywno.

- Tylko nie mam nic do powiedzenia.

**65.**

- Nie masz nic do powiedzenia?

A moŜe dowiem się wreszcie, o co chodzi?

Spała juŜ, kiedy do niej poszedłeś?

Irfan milczy zacisnąwszy usta.

- A moŜe niewpuściła cię panna.

no, jak Ŝe się nazywa właścicielka domu naprzeciwko plebanii?

- Slimac, Vraga Slimac.

- MoŜe niewpuściła cię panna Slimac, zgorszona tak późną wizytą?

- Była na brydŜu u proboszcza.

- Mowa ci pomalu wraca, ale wciąż nie mogę się dowiedzieć najwaŜniejszego; dlaczego jesteś taki wściekły?

Nie przydarzyło ci się chyba coś najpaskudniejszego, co moŜe spotkać chłopaka?

Czasem, kiedy czekasz za długo.

- Nie!

- krzyczy Irfan.

- Niech Ŝe pan juŜ przestanie!

- Wiem.

Ken obejmuje chłopaka ramieniem.

- Wyrzuciła cię

z łóŜka!

- Pan jest.

pan jest.

- krtusi się Irfan.

- Wyrzuciła cię z łóŜka, tak?

-Tak - kapituluje Irfan.

Dowiedziawszy się prawdy, Ken wygląda na szczerze zmartwionego.

- Przepraszam- mówi cicho.

-DuŜo mi przyjdzie z pana przeprosin.

Co mogę zrobić więcej?

Przepraszam.

Mieszając się cudze uczucia, jesteś myśloniem w składzie porcelany.

- Za późno pan to spostrzegł.

-- Irfan! Bardzo mi przykro.

- O BoŜe!

I będzie pan teraz wciąż powtarzał, jak bardzo panu przykro i Őe pan przeprosza.

...

- Wiesz, pociesza mnie jednak myśl, Őe wpadłbyś, mój chłopcze, gdyby się to stało.

- O czym pan mówi?

-Wpadłbyś, nie ma dwóch zdań.

Takie dziewczyny, jak to twoje kurczę, nie dają się zbyć byle czym.

Musiałbyś się z nią oŐenić i niewybaczyłbyś jej przez całe Őycie, Őe cię do tego zmusiła.

- Powinien pan ksiąŜki pisać, ma pan tyle wyobraźni.

-Nie wybaczyłbyś jej tego.

MęŐczyzna wielorzeczy moŜe wybaczyć kobiecie, ale niemo, Őe go zmusiła do małŐeństwa.

- Ja bym Milenie to wybaczył - mówi Irfan cicho i Kenowi robi się podwójnie przykro, mocniej zaciska ramię na plecach chłopca,

66

lecz Irfan wyrywa się i Őwiszczę przez zęby: - A ona nie przyjedzie!

Nie wyobraŝa pan sobie chyba, ŝe ona naprawdêtu przyjedzie.

- Owszem - mówi Ken spokojnie.

- Wyobraŝam sobie.

Wyobraŝam to sobie bardzo dobrze.

- Pan oszalał!

- Ani trochê.

Tylko kobiety prawdziwie niezależne potrafią byćtak uległe.

- Przyjedzie tu sama?

- Zupełnie sama.

- To niemoŝliwe, wszêdzieją rozpoznają.

- Postara się, ŝeby do tego nie doszło.

Od tego jest aktorką.

Czy dowiedziałeś się, o którejprzychodzą pociągi z Foća?

- Tak.

Są dwa, o szesnastej i dziewiętnastej piętnaście.

Ale popołudniu szef urzãdza przeglãdnãkrêconego materiału, wlaŝnieprzywieźli taŝmę z Belgradu.

Strzał jest celny.

Irfan miałyby ochotê podskakiwać do góry jak piłkarz, któremu udał się gol; Ken milczydługo, skubiąc palcamidolnąwargę.

- Wiesz na pewno?

- pyta wreszcie.

- Tak.

Zoran Pasojević polecił mi zawiadomić pana.

- Dziękuję.

Gdzie będzie ten przeglãd?

- W kinie.

-Daleko stamtąd do dworca?

-No, jednak.

„ -mówi Irfan ze złośliwą satysfakcją.

- Muszę się już panem zająć, mister Salt - przerywa tę rozmowę charakterystycznie.

Ma przygotować Kena do sceny, w której zostają.

Nie jest to na szczęście rana niebezpieczna, ale nim się to wyjaśni, partyzantów ogarnia groza i przerażenie.

Podczas gdy Kristina Gurić przy użyciu swoich środków opracowuje ranę na ramieniu Kena, Irfan czyta fragment scenariusza, uzupełniony dla angielskiego aktora tymi wszystkimi informacjami, które Jugosłowianom są dobrze znane.

Ken solidnie przykłada się do roli, wyzbył się swojej nadmiernej niekiedy pewności siebie, nade wszystko pragnie, żeby nikt tu - od reżysera po ostatniego pracownika technicznego -

nie mógł go posądzić o gwiazdorstwo; uczy się historii kraju, do którego go zaproszono, uczy się kraju, do którego go zaproszono, wiele musi zrozumieć i zapamiętać, pracując dla tak potrzebnej tu legendy - Są kraje, myśli, posługujące się nią w sposób umiarkowany, sam jest obywatelem kraju umiarkowanej legendy monarchii, i są inne, które doskonale mogą się bez niej obejść, kraje nieroz-

umianych demokracji, gdzie ludziom obojętne jest, kto nimi rządzi, byleby rządził dobrze.

- Pan mnie słucha?

- pyta Irfan, przyglądając się twarzy aktora.

- Tak, oczywiście.

-Bo zdawało mi się.

- Źte ci się zdawało - mruczy Ken łagodnie.

Tędy, kiedy Viv przyjechała, jest samą łagodnością i dobrocią.

Na dworcu w Yisegradzie jest tłok.

Odbychał się chyba w tym dniu jarmark albo targ, bo perony zatłoczone są ludźmi ze wsi

-tak przynajmniej myśli Viv, przyglądając się kobietom z przywiązanymi na plecach koszami i mężczyznom, którzy przypominają jej meksykańskich chłopów z wakacji w dzieciństwie, jakie

spędzała zawsze z rodzicami w Meksyku.

Później jeździłam z kolejnymi mężami na weekendy; czasem wraca do nich myślą wspominając miejscowości, gdzie byli razem.

Wielkie wakacje, wolne od wszelkich zobowiązań filmowych, spędzała jednak zawsze w Europie, której prawdziwy urok odkrył przed nią dopiero Ken.

Czy ta dziwna, samotna podróż przez jugosłowiańskie góry będzie dalszym ciągiem odkrywania tych uroków?

No, na razie nie ma w niej nic uroczonego.

Tłok na peronie, z którego za pół godziny ma odejść pociąg do Foča, staje się coraz większy.

Chłopi jugosłowiańscy mają barankowe czapy na głowach, rośli są i w dziwny jakiś sposób kanciąściw barach, gdy objuczeni miejskimi zakupami brutalnie przepychają się przez tłum.

Viv, odrzucona barkiem jednego, opiera się zawieszoną na plecach drugiego bańkę po oleju, całą umazaną brunatną tłustością; na nogi walają się różne worki i skrzynki, nad głową płyną podawane z rąk do rąk kosze.

Wciśnięta w ten ruchliwy brak miejsca, spływająca potem w kośuchę Darii Dmitrjewny, który wydał jej się zbawiennym podczas jazdy pociągiem, gdy tylko otwarcie okien na przestrzał

ratowało ją przed zasnieniem wczesnym zaduchem, a teraz przygniata ją do ziemi, spragniona bodaj łyką zimnej wody myśli w panice, co zrobiłaby na jej miejscu Patrycja.

Ale całe doświadczenie Syciowe Patrycji psu na buty by się zdał w sytuacji, w której nigdy nie była i której zapewne nie mogłaby sobie nawet wyobrazić.

Ktoś nadepnął jej na nogę, ktoś

wytrącił jej walizkę z ręki - Viv krzyczy, po angielsku oczywiście, tu już nieboi się, że ktoś ją rozpozna, tu nawet pragnie, żeby ją rozpoznało, ale nie ma na to żadnej nadziei.

Ta świadomość mobilizuje w niej wszystkie siły, sprężyła się jak kotka (kręgosłup!

mówił zawsze doktor Brandfoster.

Niewolno pani zapominać o kręgosłupie!

), wyszarpnęła walizkę spośród kotłujących się ciał i osłaniając się nią jak tarczą, zaczyna się przepychać ku ławce pod ścianą budynku dworca.

Kiedy do niej dociera, oddycha z ulgą - Tu jest narażona na atak tylko z jednej strony, tyłem przywiera do tych, którzy siedzą na ławce, a którzy nagle zaczynają się jakby rozstępować.

Viv ogląda się -młoda kobieta w czarnym stroju usiłuje zmieścić na kolanach swoje dziecko, wskazując jej miejsce obok.

Viv dziękuje uśmiechem i wciskasz między nią a drugą postać w baranej kamizeli- rano, kiedy ludzie wybierali się na targ, pewno było w górach chłodno.

Przymyka oczy i usiłujemy się, corobi teraz Ken, ale kobieta coś do niej mówi i Viv musi znowu się do niej uśmiechnąć zamiast odpowiedzi,

Kobieta w czarnym stroju zaczyna się jej baczenie przyglądać, szepnęła coś do sąsiadki, która siedzi po drugiej stronie, przyglądając się jej teraz obydwie, natarczywie, zachłannie.

Viv cały czas się uśmiecha, a susterki jej, dobrze, że żadna kamera ani aparat fotograficzny nie mogą tego utrwalic.

Niespodziewanym ratunkiem okazują się dzieci, które świdrują się w nią krągłymi ze zdumienia czarnymi oczami.

Aksamitne brwi nad nimi uniesione są wysoko, długie rzęsy sterczą nieruchomo.

Chłopcy dziewczynka, młodsza od brata najwyżej o rok, ubrani są na podobieństwo dorosłych - dziewczynka w czarną długą sukienkę wysokim stanem i przymarszczeniu na piersiach, chłopcy z głowie barankową czapkę, spod której wystają zlepione potem włoski.

Gdybym przywiozła taką parkę do Kalifornii!

myśli Viv.

Kiedy ma się pieniądze, duże pieniądze, wszystko wydaje się do kupienia.

Ale jedno spojrzenie na twarz kobiety trzymającej na kolanach swoje pociechy, rodzi podejrzenie, że chyba niewszystko jest do sprzedania.

Jednak udało się Viv zaadoptować Mary, przywiezioną z zimowych wakacji w Szwajcarii, Jerome z Katangi został bez przeszkód jej czwartym synem, zaś dla Mignonne z paryskiego sierocińca angielski będzie językiem rodzimym.

Z dalekich podróży przywoziła dzieci, własnych postanowiła już nie mieć (figura, mówił doktor Brandfoster, figura!

), a lubi dziecienny szczebiot w domu podczas swoich



# 69.

rzadkich w nim pobytów.

Na BoŜe Narodzenie jest dla kogo ubierać choinkę - Ken, w ulubionej przez siebie roli świętego Mikołaja, cieszy się, Ŝe nawet jego własne dzieci nie mogą go rozpoznać.

- Jak mają na imię?

- pyta poangielsku i kobieta jakoś od razu

pojmuje, o co chodzi.

Dotyka duŜą, cięŜką, ale jakŜe pieszczotliwą w geście dłonią głowychłopczyka.

- Aco - mówi.

-Aco?

- dziwi się Viv.

- A-co!

- powtarza kobieta wyraźnie, na palcach pokazuje, Ŝe chłopczyk ma sześć lat, i znów układzie dłoń na jego głowie, a Viv myśli, Ŝe takich pieniędzy, zaktóreta kobieta oddałaby swoje dziecko jakiejś zwariowanej amerykańskiej aktorce, Ŝe takich pieniędzyw ogóle nie ma.

- A córeczka?

wskazuje na dziewczynkę.

- Sima - odpowiada kobieta, ślini wskazujący paleci wygładzaniem malej włosy nad czołem, Ŝeby była jeszcze ładniejsza, Ŝeby była najładniejsza na świecie.

Mój BoŜe, myśli Viv, na pewno nie ma

tych pieniędzy.

Otwiera torebkę, wyjmując niejczekoladę, którą zabrała na drogę, a z której uszczknęła tylko kawałek - podaje dzieciom.

Nie biorą od razu, rzucają na matkę pytające spojrzenia.

Jest w nich rozpaczliwa prośba, Ŝeby zgodziła się, Ŝeby pozwoliła przyjąć poczęstunek; dopiero kiedy przyzwalająco kiwa głową, chciwie wyciągają rączki i od razu wydierają sobie zdobycz, bo jest to już zdobycz, z której kaŜde pragnie jak najwięcej dla siebie.

Viv uśmiecha się z zakłopotaniem, nie ma drugiej czekolady, która pogodziłaby dzieci.

Ale jest na to inny sposób - matka odbiera czekoladę skłóconemu rodzeństwu, wrzuca ją do koszyka.

Poszperawszy w nim wyjmując długie noże i półbochna chleba, krajędzie kromki, smaruje masłem, które zabrała z sobą na podróż w glinianym garnuszku, wyciąga z papieru kawał suchej kiełbasy, łamie najmniejsze części.

Dzieci zapominają od razu o czekoladzie, wyciągają ręce po chleb i kiełbasę, wbijają w nią zdrowe ząbki.

Musiałoby coś być w oczach obserwującej to Viv, bokobietaw czarnej sukni, zerknąwszy na nią, krojąc jeszcze jedną kromkę, odłamuje kawałek kiełbasy i podaje na otwartej dłoni swój poczęstunek cudzoziemce.

Jest to dłoń porwana śladami blizn, pociemniała od pracy, od brudu chyba tak też.

Kiedy ta kobieta myła ostatnio ręce?

Viv zaś się wstrząsnęła (zarazki, mówił doktor Brandfoster, wszędzie są zarazki, 70

miliardy zarazków, niech pani unika ludzi i miejsc, kryjących w sobie niebezpieczeństwo), ale kobieta patrzy jej prosto w oczy, szczerze, zapraszająco, z godnością, nie przewiduje możliwości odmowy.

Viv wyciąga więc rękę, bierze chleb i kiełbasę, jej dłoń tak pociemniała w ciągu tej podróży (oktorej godzinie opuściła łazienkę hotelu w Moskwie?

), są na niej zapewne równie te miliony, temiliardy zarazków, lecz nie sposób terazo tym myśleć, chleb pachnie, kiełbasa pachnie - a są to wonie różne od zapachów sterylnej żywności, podawanego w samolocie, doprawione czymś zakazanym niedostępnym - Viv gryzie chleb, wbija zęby w kiełbasę i uśmiecha się pełnymi ustami do kobiety i dzieci.

Leżą już jej na kolanach, wsparte nie tłustymi od jedzenia piąstkami, przypatrują się jej teraz z bliska, zawsze dzieci najpierw odkrywały jej urodę i był to zachwyt najbardziej bezinteresowny, niewsparty kalkulacjami menadżerów i producentów ani chęcią - tak zwykłą u widzów kinowych - usprawiedliwienia kilkudolarowego wydatku na bilet.

Pięcioletnia Sima i sześciolatek Aco wpatrują się w nią jak w ogladaną po raz pierwszy w Syciu zabawkę, już mają ochotę dotknąć paluszkami jej oczu, żeby sprawdzić, jak się otwierają.

Ale matka, wyczuwając chyba te pragnienia, zagarnia je ku sobie, coś do nich mówi; dzieci odwracają wzrok od cudzoziemki i straciwszy jakby nagle apetyt, już bez smaku chleb i kiełbasę.

A Viv ją pochłania!

Dawno już jej nic taknie smakowało.

Sklonna doniebezpiecznychzaokrągłych, poddawana wciążstorturom niskokalorycznejdiety (waga, mówił doktor Brandfoster, niewolno pani zapominać wadze!

) ma wreszcie w ręku nie tost, niesucharek, ale przyzwoity kawał chleba i porcję kielbasy, której niejadła od lat.

-Cudowne!

- mówi Viv, znów uśmiechając się do kobiety pełnymi ustami.

Taotwiera kosz, wyjmuje chleb, pyta gestem, czy ukroić jeszcze.

- Och, nie!

- Vivśmieje się i pokazuje rękoma,Śe zrobiłabysięod razu strasznie gruba.

Kobieta zaprzecza,daje jej do zrozumienia, Śe nic nie grozi jejurodzie, Śe zawsze będzie ładna.

Sąsiadki z ławki potakują, Viv sięrumieni, czujesię dziwnie dobrze w tym kąciku pod ścianą dworcaw Yisegradzie, mogłaby tu spędzić cały dzień, nie tylko półgodziny.

Bo oto dokonała cudownego odkrycia, Śe ludzie są mili nie dlaVivienClivley, ale dla zwykłej-no, moŚe tylko nieco ładniejszej odinnych, amerykańskiej dziewczyny!

Kiedy zbliŚa się godzina odejścia pociągu do FoĆa, Viv, która jednak przyzwyczajona jest do płacenia za wszystkie świadczone Jejusługi, zdejmuje z szyi swój złoty łańcuszek i zapina go na krągłymkarczku Simy.

Dziecko cieszy się błyskotką, a kobiety - matka dziecka i jej sąsiadki - najpierw milczą, jakby im głos i dech odebrało,a potem podnoszą krzyk,rozpisany jak w operowym chórze na głosypodziwu, zachwytu i niedowierzania,

I nagle to wszystkoucina głos z megafonu, zapowiadający pociąg do FoĆa.

Tłum, ospały i rozleniwiony czekaniem, podrywa się.

Ludzie, a naich barkach kosze, bańki,worki i skrzynki,splływają na brzeg peronu,skąd najbliŚej do drzwi i okienpociągu, gdy ten nadjedziei stanie.

Viv, niesiona niemal przez tłum, znowu całamokra od potu w koŚuchuDarii Dmitrjewny, stara się odnaleźć kobietę z dziećmi i jejsąsiadki, obezwładnia ją nagły strach, jednak samotność w tłumie jestnajgorsza, gdzieś to czytała albo mówiła w jakimś filmie, teraz widzi,jaka to prawda, wola, krzyczy, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

Za semaforem rozlegasię gwizd pociągu,tłum tęŚeje, takiej nieruchomej pręŚności musi nabieraćciało lwa, kiedy się szykuje do skoku.

Viv jest takśe częstką tego ciała, cała jest gotowością i czujnością, gdy przed jej oczyma migają wagony podstawianego pociągu.

Stał wreszcie od razu rusza ku niemuciśbaludzi i wszelakiego sprzętu - a Viv zostaje nagle odepchnięta, jakby ją kto wycisnął z tłumu.

Przytomnie dopiero wtedy, gdy cały pociąg jest już załadowany, gdy w otwartych drzwiach i na stopniach wiszą ludzie, a kobieta z dziećmi, przyparta do okna.

nawołuje do niej piskliwie, żeby wsiadała.

To chyba znaczącej słowa i gesty, ale Viv nie pojmuje, w jaki sposób mogłaby się dostać do wagonu, skoro ludzie wiszą we wszystkich drzwiach - stoi zupełnie bezradna na peronie, a koła zaczynają się toczyć i pociąg powoli nabiera rozpędu.

Przychodzi jej jeszcze do głowy, żeby krzyknąć, kim jest.

I robi to, wymawia swoje nazwisko nie z dumą, jak zawsze, ale w pełnym poczuciu poniżenia.

Jakiś kolejarz na peronie obrzucił ją spojrzeniem bez specjalnego zainteresowania, dwóch młodych mężczyzn w oknie wagonu roześmiało się hałaśliwie.

O szesnastej nie przyjechała.

Ken, odprowadzany zdumionym spojrzeniem Zorana Pasojevicia, wyszedł z kina, choć odbywał się przegląd najważniejszej części nakręcanego materiału - transportu rannych przez góry; posądzając sam siebie o szaleństwo, pobiegł na dworzec.

Kiedy przyjechał pociąg, patrzył z zapartym tchem na wysiadających podróżnych, na wieśniaków wracających z miejskich zakupów, kobiety z dziećmi, roześmianą młodzież, czarne dziewczęta i chłopców.

Viv wśród nich nie było.

To szaleństwo, myśli Ken, wyobrazić sobie, że ona.

mogłaby się tu zjawić, że mogłaby przyjechać z tymi ludźmi, w tym ścisłości i zgiełku, narażona na popychania i potrącania, na bliskość czyichś oddechów.

Szaleństwo czekać tuż nieznośnym uciskiem w sercu i myśleć, że to jednak jest możliwe, jest możliwe, miał prawo prosić ją o to, miłość nie jest miłością, jeśli nie zmusza człowieka do ofiary.

O dziewiętnastej piętnastej jest drugi pociąg, myśli wracając nadalszy ciąg przeglądu.

To na pewno szaleństwo, ale będzie stał na peronie i będzie czekał na nią.

Ken wsuwa się chyłkiem do kina, odnajduje w mroku swoje miejsce obok reżysera.

- Przepraszam - mówi - musiałem pójść nadворzec.

- Na dworzec?

- dziwi się Zoran Pasojević, jest przekonany, że źle zrozumiał to angielskie słowo.

Ale Ken potwierdził skinieniem głowy i nagłym, gwałtownym uściskiem ręki.

- Tak, później to panu wytłumaczę.

Zresztą.

Sam pan od razu wszystko zrozumie.

- Cofniemy się dla pana; co pan widział przed wyjściem?

-- Deszcz - mówi Ken w roztargnieniu - zaczął padać deszcz.

Deszcz.

Strugi wody spływające z nieprzychylnego nieba na pochód rannych przez góry.

A może niebo jest przychylne?

Lepiej moknąć niż być dostrzeżonym przez tych w górze.

Deszcz jest jeszcze z innego względu dobroczynny - jego krople natwarzynie pozwalają rozpoznać, kto płacze.

z bólu rozpaczy, w przeczuciu kresu sił.

Ranni wspierają się wzajemnie, ci, którzy nogi mają całe, prowadzą okaleczonych, pomagają sanitariuszom w podtrzymywaniu osłabłych, ślaniających się przy podejściach pod górę.

Kobiety pioraw rzece bandaże, zostają na chwilę przy tych, których nie mogą.

zabrać ze sobą, którzy tu się już na zawsze zatrzymali.

Ken myśli, że takie chwile, takie wydarzenia, które wojna od razu zacierała swoim okrutnym trwaniem, ponagającym dalszym ciągiem, dopiero po latach - w sztuce, w literaturze i filmie

- uzyskiwały należną im dostojność, w rzeczywistości, pod ostrzałem z ziemi i nieba, nikt niezatrzymywał się przy poległych.

Wojna była zawsze przede wszystkim pośpiechem.

Ten niemłody już chłop, który stracił właśnie, który zostawił w górach trzeciego swego syna.

Dopiero film oddaje hołd jego ojcowskiej ofierze, czyni ją patetyczną, w najwyższym ludzkim wymiarze.

Ken, przez cały czas upokorzony tą swoją inną, angielską wojną, przypomina sobie boje armii królewskiej w Afryce, we Francji, na morzu i w powietrzu, w tysiącach, kilkusobowych często desantach na wyspach greckich, gdzie najtrudniej było podejść wroga.

Wiem tak, że z filmów, dzięki nim tamto bohaterstwo sprzed lat zostało utrwalone i jakby rozesłane między ludzi, żeby czerpali z niego własną siłę.

Ogarnia go nagła radość, że gra w takim filmie.

I zarazem, że wartości, tak cenne podczas walki, uspokojony i znowu w świecie potrafił już zniszczyć

- Miał pan tu kogoś?

- pyta Pasojevicia.

- W tych górach?

- Tak - mówi reżyser, - Ojca i stryja.

Stryj zginął.

W drodze do Tandy.

Przedzierał się z drugą grupą.

- Ma więc pan jeszcze i swój własny powód.

- Niewątpliwie - odpowiada Pasojevic bardzo wolno - A potem dodaje z oświeceniem: -

Ojciec wniósł wiele ze swoich wspomnień do tego filmu.

Na szczęście jeszcze żyje.

Na szczęście jeszcze żyją, myśli Ken, jeszcze są wśród nas ci, którzy wtedy tworzyli historię.

Jeszcze mogą coś opowiedzieć, coś przekazać, choć młodych to już przerywają im, bo najważniejszy jest czas teraźniejszy - najbardziej błahy czas teraźniejszy - najważniejszy jest od najbardziej bohaterskiej przeszłości.

Ale i dla niego czas teraźniejszy jest od bohaterskiej przeszłości.

Przebieg nakręcenia materiału jeszcze trwał, gdy wysunął się z kina udając, że niewidzi pełnego już

teraz grozy spojrzenia Pasojevicia - i pognął na dworzec.

Do przyjscia pociągu brakowało kilku minut.

Bo postanowił, że Viv przyjedzie tymo dziewiętnastej piętnaście, szaleństwo zaplanowane wydaję się łagodniejsze, w jakiś sposób podległe jednak człowiekowi.

Więc przyjedzieo dziewiętnastej piętnaście, wysiadzie z wagonu, a onnie podbiegnie do niej, pozwoli jej iść peronem, będzie stał i patrzył na nią, potrzeba mu będzie czasu, żeby uwierzyć, że ona naprawdę tu jest.

Ale nie przyjechała tak że o dziewiętnastej piętnaście.

Z pociągu - tak jako szesnastej, kiedy tu stał i czekał na nią - wysypuję się gromada podróżnych, czarno ubrane kobiety z kobiałkami, mężczyźni w baranich czapach, z pustymi bańkami po winie albo rakiji na plecach, z miejską ubraną młodzieżą, chłopcy z teczkami i czarnowłose, podobne do Viv dziewczęta.

A jej nie ma.

Ken, stojący w cieniu pod ścianą stacyjnego budynku, kurczy się, jakby otrzymał cios w śołądek.

Czuje się ośmieszony i poniżony.

Jak mógł.

jak mógł wyobrazić sobie, że ona.

Zawiadawca stacji podnosi chorągiewkę, konduktor idąc wzdłuż peronu zamyka drzwi, wściekły, że nie uczynili tego podróżni, pociąg drgnął - i wtedy z ostatniego wagonu wysiada pośpiesznie jakaś niepozorna dziewczyna, ciągnąc za sobą walizkę i kołuch.

Rany boskie!

myśli Ken.

Co za wariatka!

Kołuch o tej porze roku i to wysiadanie prawie w biegu!

Mogła zsunąć się ze schodów, mogła wpaść pod koła.

myśl nagle się urywa, Ken zaczyna biec, nie jest tak, jak sobie wyobrażał, że będzie stał i patrzył na nią, biegnie, roztrąca ludzi na peronie, wytrąca komuś kosz z ręki, tania niepozorna, niezgrabna, wysiadająca w ostatniej chwili z pociągu dziewczyna to jednak Viv, jego Viv.

Stał się cud, jedyny cud w jego życiu!

- Kochanie!

- woła z daleka.

-Jestem tu!

Czekałem na ciebie!

Viv stoi między walizką a kołuchem leżącym na ziemi.

Podnosi rękę, wyciera spocone czoło, jest chyba u kresu sił.

- Przyjechałam - mówicicho Ken bierze ją naręce, jak dziecko.

Widzi, że jest brudna, spoconai potargana, ale dla niego nigdy nie była jeszcze tak piękna, powie jej kiedyś, nie teraz, teraz mi leżą przyciśnięci do siebie, nie do wiary, ile słów zmarnowali poeci, żeby wyrazić miłość, a wypowiada się ją najlepiej milczeniem.

Skiniawszy na chłopaka, który wyraził gotowość zajęcia się bagażem, niesie ją wzdłuż

peronu wśród rozstępującego się tłumu, a potem ulicami miasteczka, zatłoczonego ludźmi z filmu; od razu rozpoznają Viv, choć jest tak zmieniona, rozpoznają Viv Clivley i idziewieść w miasteczko poruszająca wszystkich - do Kena Salta przyjechała jego sławna Sona!

Kiedy Ken, wciąż niosąc Viv na ramieniu, wkracza do gospody, a za nim tłum wznoszący okrzyki powitania - mama Bujanić i tata.

Bujanić wiedzą już o wydarzeniu.

Obydwoje zdążyli przywdziać nieśne fartuchy, ale sali i bufetu nie da się odświeżyć i przyozdobić tak prędko.

Nigdy jeszcze zakopcone dymem fajczanym ściany niewydawały im się tak ciemne, a podłoga tak zdeptana.

Dara miała ją umyć dziś rano, przeklęta baba!

myśli mama Bujanie, znowu się wczoraj upiła i nie przyszła dzisiaj do pracy, gdybym była wiedziała, myśli mama Bujanić, sama umyła bym tę podłogę, przez całą noc bym ją myła dla takiego gościa, i chodniki bym zaścieliła, i kwiaty wstawiła świeże do flakonów na stołach.

Paniczne myśli taty krąży koło spiżarni - czy zaopatrzył ją w dość dobre, w dość delikatne mięso, czy jarzyny są w niej dostatecznie świeże, a owoce dorodne?

Co teś może Jadać taka piękna, sławna pani?

Coprawda, wcale nie wygląda w tej chwili pięknie, wymiętosili biedaczkę w tym pociągu, ale czy



ktoś tak jak Viv Clivley powinien podróżować pociągiem, w ścisłym, razem z chłopotem i współzależnością?

A może nie jest tak bogata, jak mówią, może w tej Ameryce naprawdę są tak wysokie podatki, że pochłaniają prawie całe zarobki artystów?

Lubrana jest tak skromnie, jakby nie była gwiazdą filmową, tylko panną pocztową, która sprzedaje znaczki, w takim swetrze, nie pozwoliłby swojej Sonie wybierać się w podróż, między innymi ludzi, co to oceniając człowieka według wyglądu.

Kim jest Viv, wiedzą wszyscy, co do tego nie ma wątpliwości, nawet Dragan, który nigdy nie chodził do kina, najwygodniejszy widok wypływający z ust.

Potem tak Sewdziewaświeży kiteli stara się docisnąć do miejsca, gdzie Viv stoi na krześle, postawiona tam przez męża (czy podłoga jest aż tak brudna?)

myśląc, że mama Bujanić w popłochu, który, trzymając ją jedną ręką, drugą zatacza szeroki krąg.

- Tu właśnie mieszkam, skarbie!

- mówi.

Viv wodzi wzrokiem za ramieniem męża, obejmującym gestem zafajczone ściany gospody, uśmiecha się promiennie.

- Bardzo tu pięknie - mówi.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

A to jest mama Bujanić, która nas karmi i która przygotowuje zaraz dla nas pyszną mackę.

- ...

mackalicy - podpowiada mama Bujanić, czerwona jak upiór przejęcia.

Nie rozumie słów, którymi porozumiewają się cudzoziemcy, ale dodatkowym zmysłem restauratorów całego świata odgaduje, o co im chodzi.

- Oczywiście, może być mackalica.

- Może zjadłaby coś z cielęciny?

- szepcze jej mężowi do ucha.

- Albo rybę?

A może kurczaka?

Teraz Ken odgaduje znaczenie tych słów, tylekroć powtarzanych w gospodarstwie.

- Wszystko!

- mówi.

- Wszystko i jak najprędzej.

A teraz duś wody!

Duś ciepłej wody!

Milko jest tu tak śe, a jak mowa o wodzie, to wie, śe skierowane to jest do niego - piąty chłopaka już dudniąc nad drewnianymi schodami, rozdzwaniając się wiadra i dzbanki.

Ken podnosi Viv z krzesła, śeby zanieść Jana górę, ale jeszcze chwilę zatrzymuje się.

- A to jest Irfan - mówi powoli, bo Irfan wciąż nie rusza się z miejsca, jakby zapomniał o swoich obowiązkach albo nie miał ochoty ich dalej pełnić - Irfan Koprović, student anglistyki na uniwersytecie w Belgradzie, mój tłumacz.

Trudno uwierzyć, śe nie Anglik może tak pięknie czytać Szekspira.

- Bardzo mi miło - mówi Viv.

- Mąś przez telefon wspominał mi pana.

śe wiele panu zawdzięcza.

Irfan wciąż śilczy, skłonił się tylko Viv, aleni znajduje śadnego słowa, śeby ją nim powitać, usta ma zacięte i Ken, który znosił pogodnie wszystkie jego dotychczasowe impertynencje, teraz dopiero ochotę walnąć go w kark tak, jak na to sobie zasłuśył.

Przy drzwiach robi się ruch, ludzie się rozstępują przed Zoranem Pasojevicem, który, najwidoczniej przez kogoś zawiadomiony, przerwał trwający wciąż jeszcze przegląd materiału i ciągnąc za sobą całe kierownictwo ekipy, zjawił się w gospodarstwie.

- Pani - woła z daleka.

- Pani?

Viv!

Pani tutaj?

- Tak.

- Viv śmieje się, obejmując Kena zasztyję.

-Niech pan sobie wyobrazi!

- Ale dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

Czympani przyjechała?

Chyba niepociągiem?

- Pociągiem!

- potwierdza Viv, uszczęśliwiona swoim bohaterstwem.

-Samolotem zMoskwy do Belgradu, a stamtąd już pociągiem.

- Dlaczego?

- Zoran wciąż nie może tego pojąć.

Dlaczego?

Przecież byłbym posłałsamochód na lotnisko.

Jak pan mógł,.

- zwracasz się do Salta -jak pan mógł trzymać to tajemnicę i narażać panią na niewygodę w podróży?

-Raz w Syciu chciałem mieć przyjemność wyjścia po nią na dworzec - mruczy Ken.

- To dlatego dwukrotnie musiałem opuścić przegląd.

- Gdybym się był domyślił!

Goran Petranović, szef produkcji filmu, także nie może przebaczyć Kenowi tej tajemnicy.

- VivClivley!

- woła.

-Viv Clivley w plenerze filmu nad Sutjeską!

i pan to chciał ukryć przed nami!

- Wcale nie, Tylko bałem się wszelkiego zamieszania.

Bo wizyta jest całkiem prywatna.

- Bardzo prywatna podkreśla Viv uśmiechając się do męża.

-Więc Śadnej informacji do prasy?

- pyta Petranović najwyraźniej rozczarowany.

-śadnej!

- Ale tego nie da się ukryć.

Czy w Moskwiewiedzą,dokąd paniwyjechała?

-TerazJuŚ wiedzą.

Zostawiłam list.

- I przyjechała pani sama?

- Goran Petranović ma w pamięciwszystkie artykuły w gazetach, rozpisujące się na temat sztabu, z jakim Viv Clivley zjawiała się w Moskwie.

-Całkiem sama?

- AleŚ tak!

- Vivciaśniej obejmuje Kena za szyję, a on podnosi jąz krzesła i niesie na górę wśród ciszy ogarniającej wszystkich w gospodzie.

- Kochanie!

- mówi po drodze.

- To jest najpiękniejszy dzieńwmoim Śyciu i przysięgam ci, Śe.

nieprzełknę kropli alkoholu, jakdlugo będziesz mnie kochać.

- Biedny Ken!

- szepcze Viv.

-A więc juŚ nigdy się nie napijesz?

Milko, uginając się pod ciężsarem dwóchwiader gorącejwody,staje pod drzwiamipokoju Anglika i zastanawia się, czy wejść odrazu, czy teŚ zapukać - wybiera wreszcie coś pośredniego; prawierównoczesne uderzenie łokciem w drzwi i naciśnięcie klamki, która.

nie ustępuje^ drzwiokazują się zamknięteMilko stoi chwilę nieruchomo z wiadrami wrękach, a potem stawia je cicho przed progiem, chce mu się głupio śmiać i zarazniewiadomo dlaczego krzyceć, zatyka sobie pięścią usta, zbliŚasię,przykłada ucho do deski i nic nie słysząc słucha tego, co dziejesię za drzwiami.

Kenbudzi się o świcie, Vivjeszcze śpi.

Zmęczona podróŜą i miłością nie słyszy ptasiej wrzawy zaoknem.

Ken siada na łóŜkui patrzyna nią.

^

Najbardziej lubi jejtwarz właśnie we śnie, rozluźnioną, swobodną, bez kontrolowanego wyrazu, jaki przybierała zawsze za dnia,przygotowana na czyjąś obserwację, Teraz, wciśnięta prawym policzkiem w poduszkę, ze spletanymi włosami nad czołem i odchyłonądolną wargą, przypomina dziecko, które zasypia wszystko jednogdzie, ufne i szczęśliwe.

Rozczula go ta myśl, od wczoraj wie, Őe"wszystko jednogdzie" i dla Viv Jest moŜliwe, bylebybyła z nim.

Wstał najostroŜniejjak tylko mógł, Őeby jej nie obudzić.

Chcemusię pić - ale nie whisky, nie rakiji- chce mu się wody, zimnej, źródlanej, takiej, jaką mama Bujanić przynosiw dzbankach ze studnizagospodą.

Ubiera się, bierze dzbanek, postanawia przynieśćtejwodydla siebie i Viv, Őeby mogła się jej napić po przebudzeniu.

JuŜ ma wyjśćz pokoju, gdy - poprzedzonacichym odgłosem stąpania miękkich łap -

ukazuje się nadachówkowym parapecie czarnakotka.

Uchylił szerzej okna, Őebymogła wskoczyć na łóŜko, ale kotkanie kwapi się do tego, zdumionym spojrzeniem obserwuje obcą postaćpodkołdrą.

Zastanawiał sięnieraz- nawet z aktorskiego punktuwzglądzenia - nadwyrazistościąoczu zwierząt.

Człowiek całą twarząwyrzaŜa stan swoich uczuć, futrzane pyski zwierząt nie mogą posługiwać się mimiką, pozostaje imtylko spojrzenie, i nadają mu siłęwyrazu, niespotykaną u ludzi.

Cmoka cichutko, Őeby zachęcić kotkę do wejścia, ale zastrzygłatyłko uchem i nieodwracając głowy wpatruje się wciąż w swoje,zajęte przez kogoś innego, miejsce na łóŜku.

Ken odstawia dzbaneki próbuje ją schwycić, lecz kotka wycofuje siępoza zasięg jego ręki,najwyraźniej rozczarowanai obraŜona.

Zepsuło mu to humor.

Lubił,Őebyw jego domu, Őeby przynim szczęśliwe były -kobiety, dzieci,zwierzęta.

Wydawało musię, Őe ma jakiśdar jednoczenia ichwogólnej szczęśliwości.

Ubiegłego roku urządzili sobie Viv takie święta Bożego Narodzenia - wzięły w nich udział wszystkie jej dzieci z adopcji i poprzednich małżeństw oraz Jęgo z tych dwóch, które już miał zasobą, gdy ją poznał, wszystkie jej i jego psy, koty, konie, nawet papuga Peggy, choć długo nie mógł jej obłaskawić, ponieważ bardzo lubił poprzedniego męża Viv.

Ale w końcu i Peggy sfrunęła na jego ramię i nie było w całym domu ani jednej nadętej twarzy, ani jednego sfrustrowanego pyska czy dzioba.

Wyciąga rękę poza okno, lecz kotka cofa się w ciąść po dachówkach, więc daje spokój, zwłaszcza że Viv wzdycha przez sen i zanurza głębiej twarz w poduszkę.

Chwyta znów dzbanek, na palcach podchodzi do drzwi i otwiera je cicho.

W sali restauracyjnej na dole jest jeszcze pusto, tym bardziej wzdziwi się, zobaczywszy przy jednym ze stolików Irfana - Śpi, bezwładnie zwisając z krzesła, ale budzi się zaraz na odgłos jego kroków.

- Co tu robisz?

- pyta zdumiony.

- Czekałem na pana.

- Nie prosiłem cię o to.

- Oczywiście, że pan nie prosił.

Z własnej ochoty.

Z własnej ogromnej ochoty czekałem tu na pana.

- Co to znaczy?

- Chcę panu coś pokazać.

Niech pan idzie za mną.

- Zszedłem po wodę.

Dla siebie idła Viv.

Na pewno zechcesz jej

napić po przebudzeniu.

- Niech pan na razie da sobie spokój z tą wodą.

Muszę panucoś

pokazać.

To niedaleko stąd.

- Nie zwracaj głowy.

Czy to takie ważne?

- Bardzo ważne.

- Dla kogo?

- Dla pana.

- Irfan zaśmiał się.

- Zobacz pan, jakie to ważne dla

pana.

- jeśli to jakiś kawał.

- Nie odważyłbym się.

- Dobrze.

- Ken stawia dzbanek na stoliku z niejasnym uczuciem, że nie powinien ulegać chłopakowi, ale ma nadzieję, że poprawi tym swoje stosunki z tłumaczem.

- Chodźmy, jeśli tak ci na tym zależy.

Wychodzą z gospody w rześki, górski poranek, kamień chodników mokry jest jeszcze od mgły i rosy, ale słońce grzeje już ostro i Ken unosi od razu ku niemu twarz, rozpinając pod szyję kołnierzyk koszuli.

- To niedaleko stąd mówi Irfan jeszcze raz, idzie przed Kenem, który patrząc na niego nie może zrozumieć, dlaczego chłopak kroczy tak triumfalnie, jakby to, co zamierzał mu pokazać, nie tylko dla Kena; ale i dla niego miało wielką wagę.

- Za kościołem jest mała gastronomia, nie zajęta dla filmu, bo Pasojević chciał

mieć wszystkich pod ręką.

Tam się zatrzymali.

- Kto?

- Zaraz pan zobaczy.

Ken przyspiesza kroku.

Irfan zaczyna go znowu denerwować, chyba naprawdę będzie musiał poprosić innego tłumacza, chłopak spoufalili się za bardzo.

W gastinnicy za kościołem wszyscy jeszcze śpią.

W zamkniętym kurniku pieje kogut, jakby dwojuru ptakom, przemieniającym trzykasztany, rosące na podwórzu, w zieloną ptasią filharmonię.

W cieniu drzew stoi osrebrzony rosą czarny ogromny samochód.

- Właśnie to chciałem panu pokazać - mówi Irfan zszczęnięcym triumfem.

- Mianowicie co?

Dom?

Drzewa?

Kurnik?

- Nie wymienił pan samochodu.

A osamochód właśnie chodzi.

- Co w nim takiego niezwykłego?

- Niech się pan lepiej przypatrzy.

Podchodzą bliżej - czarny samochód okazał się najnowszym modelem lincolna i miał z tyłu przy numerach dwieliterki: CD.

- Wóz amerykańskiej ambasady w Belgradzie - wyjaśnia Irfan, jakby wymagało to wyjaśnienia.

- I co z tego?

' - krzyczy Ken.

- Co z tego?

- Irfan tak się podnosi głos - Czy pan wciąż wyobraża sobie, że ona przyjechała tu do pana pociągiem z Belgradu, przesiadając się dwa razy w Višegradzie w Foča?

- Wsiadła przy mnie z pociągu!



- krzycząc Ken.

- Mogła wsiąść do niego na poprzedniej stacji.

- Była tak zmęczona, tak wyczerpana podróżą.

- Ostatecznie jest aktorką, prawda?

- Milcz!

- woła Ken.

- I powiem panu jeszcze, z kim przyjechała.

Tam na górze - Irfan wskazuje dwa okna na pierwszym piętrze - śpi wysoka, energiczna kobieta w okularach i otyłą męszczyzną z rudą brodką, ale za to bezjednego włosa na głowie.

- Patrycja!

- mówi Ken.

- Patrycja i doktor Brandfoster.

- Nie wiem, jak się nazywają: wypytałem służbę i tak mi mniej więcej ich określono,

- Patrycja i doktor Brandfoster - powtarza Ken.

Wszystko, co mówił Irfan, wydaje mu się prawdopodobne.

Gmach, który od wczorajszego popołudnia wznosił z rzadko doznawanych w Śyciu wzniesień

- runął nagle.

Nie zabił go, ale ogłuszył.

- I co pan na to?

- pyta bezczelnie Irfan.

- Dziękuję ci za przysługę - mówi Ken.

- I rozstajemy się, mój chłopcze.

Albo nie, będziesz mi jeszcze dziś potrzebny - Wracamy do gospody i przynieś mi ze swego pokojka wałek papieru i coś dopisania.

List do Viv jest krótki:.

Skarbie.

' Dziękuję ci za noc, która - niezależnie od tego, że napodwórzu gospody za kościołem stoi iincoln z amerykańskiej ambasady \v Belgradzie - była cudowna.

Nie mogę się Tobą osobiście, bo może, gdybym został dłużej, musiałbym pogruchotać kości Pati Brandfosterowi, więc wolę ulotnić się, kiedy jeszcze śpisie.

Nieznoszę małych oszustw, wolę już, żeby byływ wielkim stylu.

Wracaj z Pali doktorem do Moskwy, im prędzej, tym lepiej, bo musisz podjąć pracę, nie chcę, żebyś ucierpiała z mego powodu.

Ken

- Zanieś to na górę i wsuń do mego pokoju przez szparę pod drzwiami.

- Z ochotą!

- Irfan się podrywa.

- Niechcie wszyscy diabli!

- Dlaczego?

pyta z uśmiechem.

- Dzień jest taki piękny.

- Zjeśdź!

- Już lecę.

- Tylko cicho, żebyś Jej nie obudził.

żebyś nie obudził pani Clivley.

- Nie obudzę pani Clivley - powtarza Irfan wciąż z tym samym uśmiechem na swojej ładnej twarzy.

tkiedy, skradając się, podąża w górę po schodach, w drzwiach od mieszkania gospodarzy ukazuje się zdumiona mama Bujanić.

Czujesz od razu winna, że Ken czeka na śniadanie, rzuca się w stronę kuchni, ale Anglik powstrzymuje ją gestem.

- Nie będzie pan jadł?

- pyta mama Bujanić zdumiona.

-Nie.

Zjemy śniadanie gdzieś po drodze.

Powiedz jej - zwraca się do Irfana, który wrócił już z piętra - Śniadanie zjemy podrozdze.

I niech jak najprędzej ubierze się do wyjścia.

-Kto ma się ubierać?

- pyta Irfan w obawie, Śnie żle zrozumiał.

- Mama Bujanić.

Zabieram ją.

I ciebie.

Powiedz jej, co mówiłem, i zbudź kierowcę Pasojevicia.

Weźmiemy jego wóz.

- Wścieknie się.

-Raz może się na mnie wściec.

Zachowywałem się przez całe życie jak panna z klasztoru.

No, na co czekasz?

Powiedziałem ci, co masz robić!

Kierowca Pasojevicia - wąsaty Duško - nie chce jechać bez zezwolenia szefa.

Ulega dopiero pod warunkiem, że Anglik weźmie wszystko na siebie- Bo jakkolwiek Ken Salt gra główną rolę w filmie, i to w dodatku taką rolę, to jednak reżyser jest reżyserem, Anglik 82

pojedzie, a reżyser zostanie.

Duško ma więc mnóstwo wątpliwości doprzedmyślenia, kiedy jadą już w stronę Dubrownika, aczapy mgieł obsuwają się z wierzchołków gór ku dolinom.

Na miejscu obok kierowcy siedzi Ken, za nim Irfan, a obok niego uzupełnienie pojmującej sytuacji, w jakiej się znalazła, mama Bujanić.

Mała sobie czarna jedwabną suknię, w której zapewne chodzi do kościoła, bo nawet teraz złożyła splecione modlitewnie dłonie na jej połyskliwej i szeleszczącej czerni.

Ken odwraca od czasu do czasu głowę i uśmiecha się do mamy Bujanić, dziękuje jej, że przyjęła jego zaproszenie, że nie bojąc się gniewu małżonka umknęła oświecie z gospody.

Uśmiecha się, oczy mu się zwręszają, od ich zewnętrznych kącików biegną promienie zmarszczek, ale w ustach jest coś, conie jest uśmiechem, i tylko Irfan wie, co to znaczy.

- Spytaj mamy Bujanić - zwraca się do niego Ken - gdzie tu w okolicy można zjeść dobre śniadanie.

- Powie, że u niej.

- Ale jest jeszcze chyba jakieś drugie takie miejsce?

Irfan tłumaczy pytanie Kena mamie Bujanić, a ta nie odpowiada od razu.

Zamyśla się, jej policzki pokrywają się ciemnym rumieńcem.

- Anglik jest głodny - nalega Irfan.

- Ja.

Też, pani i Duško chyba tak.

Nie zna tu pani żadnej gospody godnej polecenia?

- Znam -- mówi wreszcie mama Bujanić.

- I mogę.

naprawdę ją polecić nawet komuś takiemu jak pan Salt,

- Nam wszystkim należy się dobre jedzenie - stwierdza z naciskiem Irfan.

- To daleko stąd?

- Nie.

Tylko trzeba zboczyć w góry.

- Niech pani wskaże drogę kierowcy.

Mama Bujanić pochyla się do przodu, wczepia palce w oparcie siedzenia kierowcy.

- Skręć pan zaraz w lewo - mówi.

- A potem za figurą prawoi przez most nad strumieniem.

- Mama Bujanić musi dobrze tę drogę pamiętać, bo nachylona wciąż ku kierowcy pokazuje mu wszystkie zakręty, szczególnie tłumaczy, jak ma jechać.

- Przez cały czas będzie asfalt?

- chęć pewnić się Duško.

- A co ty myślisz?

- obrusza się mama Bujanić.

- Gospodę Pance Miticia znają w całej okolicy.

Jest tak sławna, prawie tak sławna - poprawia się zaraz - jak nasza.

Ken przysłuchuje się tej rozmowie, przysłuchuje się jej melodii, starając się nie myśleć o niczym, a nade wszystko o tym, co robi Viv, kiedy po przebudzeniu znajdzie list na podłodze przy drzwiach.

Mógłby jeszcze zawrócić, mógłby wpaść na górę i zniszczyć go, zanim ona go zobaczy - ale nie robi tego, za bardzo był szczęśliwy przez te kilkanaście godzin, żeby teraz udawać, że nic się nie stało, że czarny lincoln z ambasady, czekający na Viv za kościołem, nie ma żadnego znaczenia,

- Jestem głodny!

- mówi z pretensją do Irfana.

- Dokąd seta niewiasta nas wiezie?

- Mówi, że w tej okolicy jest jakaś nadzwyczajna gostinnica.

Chyba znawłasciciela, Pance Mitic się nazywa.

- Wszystko mi jedno, jak się nazywa.

Interesuje mnie tylko, czy ma coś dobrego do jedzenia.

I picia - dodaje po chwili.

Bo zamierza się dziś upić, upić tak, jak dawno mu się to nie zdarzyło.

Nie obowiązują go żadne przyrzeczenia i wreszcie może robić wszystko, na co ma ochotę.

- I do picia mówi Irfan z uśmiechem na pewno tam się coś znajdzie.

Gostinnica Pance Miticia nie różni się wiele od tych, które mijalipo drodze, jest może nawet trochę mniej i nie tak zasobna z wyglądu.

Mama Bujanić, wysiadłszy z samochodu, podąża dalej z wypiekami na twarzy i ze wzmożonym szelestem swojej czarnej sukni.

- Pance!

- woła donośnie.

-Pance!

Męszczyzna, który ukazuj esię na progu, nie jest młody, ale jeszcze teraz Jest w jego sylwetce tawinność, która nosiła go pogórach, nadstrumieniami, w pogoni za zwierzyną.

Jednym ruchem ręki zrywaz siebie biały fartuch, którym był przewiązany, przeczesuje palcami więcej włosów.

- Dara!

- mówi cicho.

-To ty?

Tyle lat!

- Ja - szepcze mama Bujanić mimo tuszy staje się młodą dziewczyną, i przywrócony między tym dwojgiem zdaje się czas, który ich kiedyś łączył.

Jest to tak oczywiste dla tych, którzy na to patrzą, że nie trzeba tu żadnych wyjaśnień: oto dlaczego właśnie tutaj przywiozła ich mama Bujanić, na ten jeden dzień wyzwolona spod władzy meša,

- Cieszę się' - mówi Ken i szuka wzrokiem Irfana.

- Powiedz im, że się cieszę.

Mama Bujanić niewie, co najpierw wyjaśnić zdumionemu człowiekowi, którego nie widziała prawie trzydzieści lat, czy to - dlaczego wyszła za meša za Bujanicia, a nie za niego, czy teś skąd się tu wzięła i kim jest ten cudzoziemiec, który ją tu przywiózł.

Wybierało

ostatnie, bo Ken, który znów słucha tylko melodii tej rozmowy, wyławia z niej znajome słowa - przede wszystkim nazwisko bohatera, którego grał filmie.

- Zaraz wypijemy jego zdrowie!

- wolał zwraca się do Irfana: - Powiedz gospodarzowi, żeby dawał na stół wszystko, z czego jest dumny i w spiżarni, i w piwnicy.

Gospodarz znikaw kuchni, podnosi się w niej od razu gwar wielugłosów, na jej progu pojawiają się - kolejno - domownicy, ze źle ukrywanym zaciekawieniem przyglądający się gościom.

Najpierw młodą chudą kobietą, pewnie Sona gospodarza (chyba nie kochana, myśli Ken, rozpoznaje po oczach kobiet brak miłości w Syciu, jakby jakąś wadę wzroku albo chroniczną

chorobę), potem dwierosłecórkilub synowe, jakieśdzieci.

Te są najszczęśliwsze - nie ukrywająciekawienia ludźmi, którzy przybyli tak wcześnie, Őe stoły są jeszcze nie uprzątnięte po wczorajszym dniu itrzeba terazbardzo sięśpieszyć, Őeby zniknęły z nich brudne talerze, szklanki, puste butelki,przepelnione popielniczki i Őeby przynajmniej jeden znalazł się podświeŐym, szeleszczącym obrusem - przyszli restauratorzy od dzieckamuszą wiedzieć, Őe czysty obrus wprawia gości w lepsze samopoczucie, podnosi smak potraw i gatunek win.

Siadają wszyscy wokółtej wykrochmalonej bieli -Ken, mamaBujanić, Irfan i DuŐko, a kiedy roŐe dziewczęta,w których nietrudnodopatrzyć się urody ich ojca, zniosłyjuŐ na stół

jadło i picie,az kuchni napływa woń smaŐonych baranichkotletów - mama Bujanić prosi, Őeby i Pance Mitić mógłzasiąść do stołu,

Ken, któremu Irfan przetłumaczył tę proŐbę, zrywa się od razu zeswego miejsca, sadza gospodarza naprzeciwwko Dary Bujanić.

- Bardzo go kochałam - mówi kobieta.

Ken nalewa jej wina,nalewa wszystkim po kolei, teraz on stał sięgospodarzem, skoro gospodarz stał się gościem.

Mama Bujanić jednym tchemwychyla swojászklankę, opieratłuste łokcie o stół.

- Bardzo go kochałam- powtarza.

- Miałam dziewiętnaŐcie lat niezaleŐało mi na niczym, tylkona nim.

W drzwiach od kuchni stoi Őona gospodarza.

Oparła się chudymbiodremofutrynę, Őlucha.

- Ale wdomubyło nas pięcioro i byłam najstarsza, ojciecchciałmnie jak najprędzej wydać za mąŐ, a Pance nie mógł się Őenić, jegodwie starsze siostrymusiały najpierw znaleźć męŐów.

Tak było, Pance?

- Tak - potwierdza ochryple męŐczyzna.

WypijatakŐe swojewino, stawia szklankę głoŐno na stole.

- A Bujanić mógł się Őenić zaraz i nie miał Őadnego rodzeństwa,sam jeden gospodarzył z matką w takiej pięknej gospodzie.

Niechpan sam powie - mamaBujanić zwraca się do Kena, a Irfan tłumaczykaŐde jej słowo -

niech pan sam powie, czy nasza gospoda nie jestnajpiękniejsza w całej okolicy?

-Najpiękniejsza!

- skwapliwie potwierdza aktor.

- Nawet pani Clivley powiedziała wczoraj, że bardzo jestu naspięknie.

Pani Viv Clivley!

Możesz to sobie wyobrazić, Fance?

Siedzisz tu w górach, ale chyba wiesz, kim jest pani Viv Clivley?

Fance Mitić milczy, porusza tylko głową, jakby chciał coś sobie przypomnieć.

- Najpiękniejsza aktorka świata!

Najsławniejsza aktorka świata!

I właśnie przyjechała do swego męża, naszego pana Kena Salta, który mieszka w naszej gospodzie i gra w filmie Towarzysza Starego.

Więc wczoraj jak tylko przyjechała, powiedziała.

- Mama Bujanić milnie, przeraża ją myśl, że źle zrobiła wspominając Viv Clivley, skoro jej mąż, do którego przyjechała, siedzi tutaj, skoro zostawił ją siedzieć tutaj, i dolewa wciąż wino wszystkim i sobie.

Mama Bujanić wzdycha i pośpiesznie zmienia temat: - No więc.

Bujanić gospodarzyłam z matką tylko i od razu mi się podobała.

Bardzo mi się podobała, a ojciec powiedział, że to jest mój los, najlepszy na świecie, a uganianie się po górach za chłopakiem, który ma dwiście starsze siostry na wydaniu, nie przystoi porządnej dziewczynie.

Więc tak to było.

- Dara Bujanić wyciąga przez stół swe tłuste, cięskie ramię i dotyka ciemnej dłoni tego, za którym uganiała się po górach.

- Przeżyły czas - mówi - przez te wszystkie lata chciałam ci to powiedzieć.

żebyś nie myślał, Fance, że przestałam cię kochać.

Chuda kobieta, o której Ken myśli, że nie zaznała miłości, stoi wciąż w drzwiach i słucha.

Jej się tak należało to wyjaśnienie.



Wiele teraz rozumie, właściwie rozumie wszystko, całe swoje życie, po kolei dzień za dniem, noc za nocą.

- Nic się teraz nikomu złego nie stanie - mówi Dara - przez to, Seto wiesz.

Mogłam ci to już powiedzieć.

Fance Mitić milczy.

Dłonie Dary dotyka jego pociemniałych od słońca i nikotyny palców, leżą na stole jak martwe.

Pragnie zawrzeć je natamtych palcach, nie dotykanych od lat, ale oczy kobiety, z którą się płodził

dzieci i spędził życie, patrzą na niego nieruchomo, on natomiast, kiedy tamta odjedzie. Kiedy jednak po skończonym śniadaniu Ken płaci rachunek i wszyscy podnoszą się od stołu, jest tak, że tym dwojgu trudno się

86

rozstać, i Ken wykonuje zapraszający gest ręką, wskazując samochód przed domem; Fance rozumie, co to oznacza, idzie do kuchni, wymija Sonę w drzwiach i, mijając ponownie Sonę w drzwiach, wraca w czarnej marynarce i czarnym kapeluszu na głowie, gotowy do podróży.

Sona i córki wychodzą za nim, ale zatrzymują się w połowie drogi do samochodu i w milczeniu patrzą, jak Fance idzie, ani razu nie odwróciwszy się do niego, jak wsiada, zajmując miejsce z tyłu za Anglikiem, obok tej kobiety, która po niego przyjechała i zabiera gościa, choć tylko na jeden dzień.

lecz to znaczy akurat tyle, jakby zabierała go na zawsze.

Może któraś z nich powinna krzyknąć, zawołać go, powstrzymać, ale żadna się na to nie odważy.

Milczenie, myśli Ken, ile można wyrazić milczeniem.

W Dubrowniku zostawiają samochód przed murami i idą dokładnie w starym porcie, które poleca im Irfan.

Z jej tarasu widać całą basen portowy, kamienną obrotową, którą nałóżono tutaj morzu, żeby trzymać je u samych wrót miasta.

Jest już południe, małe stateczki zwożą zewsząd turystów, angielski i niemiecki słyszy się tu częściej niż mowę gospodarzy.

Potem chodzą po murach otaczających miasto, a Fance trzyma już w półmamię Bujanić, kapelusz zsunął mu się z głowy, oczy ma rozszerzone jak w gorączce i jak w gorączce spieczone wargi.

Za Kenem snuje się jakaś studentka angielska, odłączyła się od grupy i ma nadzieję zwrócić na siebie jego uwagę, ale Ken Salt nie jest ciekaw kobiet tego dnia,

- Całkiem dobra - mówi Irfan dlatego tylko, że głupio mu wciąż miłczy. że czuje się coraz podłej, choć wycieczka jest ze wszechmiar udana.

Przynajmniej można by ją za taką uznać, gdyby nieświadomość, co ją spowodowało ico po niej nastąpi.

- I nie wyglądana taką, która wszędzie i zawsze szuka przygód.

- Jatak że nie zawsze i nie wszędzie szukam przygód - odpowiada Ken.

Wypił mnóstwo alkoholu pod różnymi postaciami, ale jest wciąż trzeźwy- Mieszał wino z piwem i z whisky, ale jest wciąż trzeźwy, precyzyjnie i dociekliwie trzeźwy, mógłby rozwiązywać zadania z całkami i różniczkami, gdyby kiedykolwiek posiadał tę wiedzę.

Irfan proponuje zakończyć dzień na półwyspie Lapad, gdzie jest sześciogwiazdkowy hotel ("Dubrovnik Prзидент", Irfan chciałby zobaczyć; kiedy będzie miał okazję wejść do takiego hotelu, jeśli nieteraz z Kenem Saltem?

), lecz Ken wybiera inne miejsce - restaurację pod gołym niebem z hałaśliwą orkiestrą i tłumem roztańczonej.

młodzieży, wśród której podskakują też na zreumatyzowanych nogach stare Angielki i Amerykanki.

Ken wyszukuje stolik z widokiem na Adriatyk i skaliste wysepki na nim, podpalone, jak płomieniem, zachodzącym słońcem, Stateczki, kursujące między starym a nowym portem, mają olśniewającą biel na tle granatowego morza.

Gałęzi wysokich sosn poruszają się miękko na łagodnym wietrze.

- Fance!

- mówi mama Bujanić.

- Kochałam cię i ty mnie kochałeś, nigdy nie tańczyliśmy razem.

Wstają od stolika i odchodzą daleko, żeby dopiero pośród roztańczonego tłumy objąć się mocno, za wszystkie lata rozłąki, za wszystkie marzenia o takiej chwili.

Od razu zwracają na siebie uwagę -kobieta w czarnej szeleszczącej sukni i mężczyzna w czarnej niemodnej marynarce, w kapeluszu na głowie.

Tańczący przystają, żeby móc lepiej ich obserwować, ale oni nie widzą tego; trzymając się wciąż mocno w objęciu, kołyszą się w jednym miejscu w takt melodii, której nie potrafią zatańczyć.

- To mi wiele wynagradza mówi cicho Ken.

-Co?- Irfan nie rozumie.

- Tych dwoje.

W gruncie rzeczy ten dzień byłby okropny bez nich.

- Mnie wydają się, jakby byli zmyśleni.

-Wszyscy jesteście zmyśleni - orzeka Ken.

Angielska studentka rozsiadła się przy stoliku obok i nie odrywa od Kena zafascynowanego spojrzenia.

- Zatańcz z nią - mówi Ken -i wytłumaczę jej, że nie jestem tym, z czego mnie bierze.

Dziewczyna jest wysoka i dobrze trzyma się ją w ramionach, Ken nie musi się przy niej garbić, Jak na przykład przy Viv, która w obliczu częstych ataków fotoreporterów stara się być jeszcze bardziej malutką kobietką dzierżącą w garści dużą gromę szczyzną.

- Lubię wysokie dziewczyny - mówi Ken.

-Znakomicie - oznajmia studentka.

- Ja podczas tańca lubię patrzeć partnerowi w oczy.

Czy mówił już ktoś panu, że jest pan podobny do Kena Salta?

- Owszem- On tu podobno kręci gdzieś film.

-Tak?

- dziwi się Ken.

- Czytałam w prasie.

Pan nie?

-Nie.

Nie czytam gazet.

- Jatak.

Więc kiedy zobaczyłam pana tutaj, pomyślałam sobie od razu.

- Co pomyślała sobie pani od razu?

-... że jest pan Kenem Saltem.

Czekałam tylko, czy odezwie się pan po angielsku.

- Wielu męŜczyzn mówiących po angielsku jest podobnych do Kena Salta.

W końcu nie wyróżnia się on niczym szczególnym.

- Niczym szczególnym?

- Powtarza dziewczyna z uczuciem wyraźnej przykrości.

- No.

MoŜe lepiej od innych mówi Szekspira.

Ale to wszystko.

Bo poza tym to egoista i nudny introwertyk, nie znajdujący kontakt z otoczeniem.

A w dodatku gbur i chamdla własnej Sony.

- Słyszałam coś o tym - szepcze dziewczyna wciąż z tym samym uczuciem przykrości.

- O! Słyszała pani?

- Tak.

Pan wie, jak ludzie krzywdząco plotkują o aktorach.

- Dlaczego krzywdząco?

A moŜe to wszystko prawda, co się o nich mówi?

- Nie wydaje mi się - powiedziała.

Wyglądało na to, Ŝe wielbi Kena Salta i bolają wszystkie inwektywy pod jego adresem.

- Bo niewierzę, Ŝeby Ken mógł.

»

- Wszystko jest moŜliwe, kochanie - mówi miękko i ciasniej obejmuje plecy dziewczyny.

- MoŜe jest gburem i chamem, choć wcale tego nie chce, choć chciałby być zawsze tak miły i czuły jak podczas pewnych świąt, w których wzięły udział wszystkie dzieci jego i Viv, wszystkie zwierzęta jego i Viv, nawet papuga Peggy.

- Skąd pan o tym wie?

-Czytałem w prasie.

- O, a mówił pan, że nie czyta pan prasy.

-Od czasu doczasu zdarza mi się.

- I widzi pan, że niekiedy można w niej przeczytać i coś miłego o aktorach.

-Bo niekiedy są mili.

- Myślę, że częściej, niż się o tym pisze.

-Dziękuję pani.

- Za co?

-Za to, że pani lubi Kena Salta.

- Więc jednak cieszy pana, że jest pan do niego podobny?

-Trochę.

Raz cieszy mnie, raz sprawia prawdziwą przykrość.

-Nawet z siebie samych nie jesteśmy zawsze zadowoleni.

- Przeżywa pani czasem coś takiego?

-Często.

-I za to dziękuję pani.

Ken odprowadza zdumioną dziewczynę na miejsce, postanawia teraz odebrać mamę Bujanić jej tancerzowi, a potem dać hasło do powrotu, żeby jak najprędzej móc zadzwonić do Moskwy.

Manadzieję, że Vivju tam jest, zdrowa i bezpieczna pod opieką Pat i doktora, jak to Jednak dobrze, że odbywała tę podróż z nimi.

Pance Mitić oddaje swoją tancerkę z Salem, ale i w pełni rozumienia zaszczytu, jakim jest dla niej taniec z angielskim aktorem grającym w filmie Towarzysza Starego podczas historycznej przeprawy przez Sutjeskę.

Zdejmuje swój czarny kapelusz, kłania się nim nisko, lecz nikt już na niego nie patrzy, wszyscy patrzą na Kena Salta, tańczącego z kobietą w czarnej szeleszczącej sukni.

Krąży zacieśnia; wszyscy chcą go zobaczyć z bliska, przekonać się, czy to naprawdę on, trzeba stać ciekaw, myśli Ken, zanim zacznie prosić o autografy, ale przedtem chciałby wyrazić mamie Bujanić wdzięczność za ten dzień, który uratowała swoją dawną miłość do chłopaka z gór.

- Tylko dzięki wam - mówi, choć onanie moŜe go zrozumieć -nie cierpiałem tak, jak powinienem.

Jak mi się to naleŜało.

- Tylko dzięki panu - mogłaby odpowiedzieć - zobaczyłam tego, kogo nie miałam nadziei zobaczyć dokońca Ŝycia.

-Przepraszę tatę Bujanića, Ŝe panią porwałem.

Chyba zrozumie, ile to dla mnie znaczyło.

- On nic nie rozumie -mogłaby odpowiedzieć nic, co nie jest sprawą gospody i kuchni.

Ale to dobrze, Ŝe przeŜyłam Ŝycie, Ŝe przeŜyję je do końca z takim człowiekiem.

Ŝe tak łatwo mi go nie kochać.

Ken przygarni do siebie całą obfitość mamy Bujanić- Tak - mówi - najgorzej jest, kiedy musimy.

- Kiedy musimy co?

- zapytałaby na pewno.

- Kiedy musimy kogoś kochać.

W drodze powrotnej zajęły znow, zboczywszy z drogi, przed gospodę wśród gór.

Trzy kobiety stoją przed nią tak, jak je tu zostawili.

Zapewne wybiegły z domu na odgłos samochodu, ale wyglądało tak, jakby stały tu w niezmiennych pozach przez cały dzień, jakby przez cały dzień czekały na męża ojca.

Pance Mitić wysiada z samochodu -kłania się w milczeniu wszystkim, tym, których Ŝegna, i tym, których wita; chyba zapamiętam go tym gestem, myśli Ken, podczas gdy trzy czarno ubrane

kobiety odprowadzają ku domowi swoją zdobycz, a czwarta siedzi nieruchomo w samochodzie, wbiwszy palec obu rąk między zęby.

Przed gospodą panuje cisza, niedociera tu gwar salki, pełnej już o tej wieczornej porze, nawet ptaki w drzewach umilkły przed nocą, a Ken po raz drugi tego dnia myśli, ile może wyrazić milczeniem.

Tata Bujanić nie jest do niego zdolny.

Daje Irfanowi od razu tak obfity materiał do tłumaczenia, Ŝe chłopak, zdoławszy przekazać kilka zdań dezorganizowanej kuchni, podczas gdy tyle ludzi, tyle wadliwych ludzi trzeba nakarmić, milknie i bezradnie patrzy na Kena, który zresztą nie przejmując się tymi wymówkami.

Boi się o mamę Bujanić, ale ona, nie zatrzymawszy się ani na chwilę, wymija męża i udaje się

domieszkania na zapleczu restauracji.

Tata Bujanić milkiem i patrzy za nią zdumiony, nie wie, że nauczyła się tego właśnie, wymijając ludzi, których się nie kocha.

Kenowi zmieszany Pasojević wręcza list od Viv.

- Jak pan mógł?

- nie może poskromić oburzenia.

- Ona płakała.

pani Clivley płakała przede mną.

- Płakała.

- Ken ma ochotę posiekać się na kawałki za każdą łzę Viv.

- Tu ma pan list.

że teś musiał pan zrobić coś takiego.

- Musiałem - mówi Ken tępo.

- Gdyby pan był aktorem z mojej ekipy.

- Błagam pana, niech mnie pan rąbnie w szczękę.

Pasojević odwraca się na pięcie i odchodzi, a Ken otwiera list Viv, starając się opanować drżenie ręki.

Kochany głupcze!

pisała - Przyjechałam do Ciebie sama, chociaż i mnie wydało się to mało prawdopodobne, Palrycja i Brandfosler sami wymyślili sobie!

ę pogoń zamną, za co powinnam ich posłać do wszystkich diabłów, ale za bardzo mi są teraz potrzebni.

Wybaczam Ci wszystko, ponieważ to jednak wciąż jest miłość.

Zadzwoń do Ciebie zaraz po powrocie do Moskwy.

Viv

Ken siada na dole i czeka na telefon.

Wie, Œe nieruszysz się stąd tego wieczoru tej nocy, dopóki czarne pudełko na ścianie nie przemówi głosem Viv- Czy mogę się przysiąść?

- pyta pokornie Irfan.

- Siadaj!

-Chciałem pana przeprosić.

- Za co?

- zdumiewa się Ken.

- Za to wszystko.

Gdybymnie pokazał panu tego cholernego samochodu z ambasady.

- Prawda przypomina sobie Ken.

Od samochodu się zaczęło.

- Teraz nie zechce pan pewnie, Œeby bym był przy panu.

-Dlaczego?

- Ken kładzie swoją cięŜką dłoń na głowie chłopca i mierzwi mu włosy.

-Wszystko, conami wstrząsa, czyni nas ludźmi.

- To chyba tekst z jakiejś sztuki, w której Ken grał kiedyś, bonawet zastanawia się chwilę nad tytułem.

Ale przychodzi mu do głowy inne zdanie, przymyka na chwilę oczy.

Cierpienie czyni nas ludźmi.

I chwała, chwała i wybaczenie tym, którzy nam je zadają.

Salka gospody powoli pustoszeje, wszyscy wkońcu idą spać, nawet Irfan w poczuciu winy nie odstępujący Kena, tylko mama Bujanić krząta się wciąż za ladą bufetu, jakby chciała odrobić nieobecność za dnia.

Tata Bujanić trzy razy juŜ przychodził po nią, ale zawsze miała jeszcze coś pilnego do roboty.

Ken uśmiecha się, wie, cotoznaczy, wie, Œe mama Bujanić nie da się dziś zapędzić do łóŜka, niepołoŜy się obok tłustego boku męża, nie oddam się uległej, małŜeńskiej miłości.

Podejrzewa jednak, Œe istnieje jeszcze jeden powód, dla którego mama Bujanić zwleka z odejściem.



Pragnie dotrzymać mu towarzystwa, pragnie na swój sposób podziękować mu za dzisiejszy dzień, Ken nie spuszcza z niej oczu, a kiedy widzi, Śeją tokrepuje, przenosi wzrok na półki poza nią, na cynowej miedziane misy, skupiające na sobie blask lamp, na pocerniałe od dymu ściany, na niewymyślne sprzęty, do których tak się już przyzwyczał.

Kiedy odzywa się wreszcie dzwonek telefonu wcale nie reaguje na ten dźwięk, Jakby nie onna niego czekał.

Mama Bujanić podnosi słuchawkę i woła donośnym głosem:

- Telefon do pana z Moskwy!

Dopiero teraz jednym skokiem jest przy ścianie, przy zawieszonym na niej pudle.

- Słuchaj, Ken - odzywa się głos Viv, jakby nic się nie stało, Jakby nie wydarzyło się nic między nimi - mam straszny katar!

- Z gorączką?

- woła przerażony.

Ma ochotę tłuc łbem o ścianę z rozpaczą, Śe to on ją na to naraził.

- Nie- Nie mam gorączki.

Doktor Brandfoster mówi, Śe to zwykły katar.

Ale leje mi się z nosa.

To przez te zmiany temperatury.

I przez ten katar - Pociałam się w nim, a kiedy go zdejmowałam, owiewał mnie wiatr.

92

- Tak mi przykro.

- Nie myśl o tym.

Czy naprawdę mi wierzysz, Śe sama przyjechałam do ciebie?

- Ale tak!

Zachowałam się jak bandyta.

Viv wyciera nos, przez chwilę w słuchawce rozlega się kichanie i szelest chustki.

- Idź spać!

- mówi Ken.

-Nie ma tych kilometrów między nami.

- Tak.

- Viv dyszy w słuchawkę zakatarzonym nosem.

-Ani jednego.

- Wiesz, co chcę ci powiedzieć?

-Wiem.

Ken odwiesza słuchawkę i odwraca się do mamy Bujanić. Skooperuje o kontuar.

- Dobranoc!

- mówi i dodaje, choćwie, że kobieta go nie zrozumie.

-A jednak to był piękny dzień, skoro pięknie się skończył.

Prawdziwy, wielki płacz

Szli przez góry od rana do wieczora - dziadek Arzamet i jego najmłodszy wnuk, Dug.

Dołem, pięknymi drogami wykutymi w skale, pędziły autobusy pełne turystów, ale dziadek nie lubił pięknych dróg, jego stopy przywykły do stąpania po skałach, a serce w piersi było wciąż

wesołym ptakiem, nie czującym swego ciężaru.

Szli w odwiedziny do ojca dziadka, pradziadka Fazlubieja, który kończył właśnie sto lat i chciał tego dnia mieć wszystkich swoich synów przy sobie.

Wieczorem zeszli z gór, żeby przenocować w gospodzie przy drodze do Suchumi, a tak napić się wina w słynnej grocie, wykutej w skale, z której spływał strumień, zimny jak lód, i gdzie wino było tak samo zimne i pachnące całym bukietem wszystkich kwiatów Abchazji.

Tak myślał Dug, któremu dziadek pozwolił pociągnąć łyk ze swojej szklanki.

Zwykle w takich razach upierał się, żeby dano mu więcej, ale dziś co innego miał w głowie, oddał szybko dziadkowi jego szklankę i wybiegł przed grotę, gdzie w jarzącym się słońcu zachodu stała klatka z niedźwiedziem.

Był to brunatny ogromny anafisz gór Kaukazu, pojmany i uwięziony tu na urągowisko swojej sile i potędze w ciasnym kwadracie zastarej siatki drucianej, którą mógł, ale której nie odważył się rozerwać, ujarzmiony i pokonany przez człowieka.

Leżał na brudnej podłodze swego ciasnego więzienia z dwoma popękkanymi oponami pod głową i patrzył obojętnym, zamglonym spojrzeniem w twarze oblegających klatkę turystów.

Dug przecisnął się między nimi i stanął tuż przy klatce.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu i odciągnął go do tyłu - zagięte pazury niedźwiedziej łapy wystawały poza klatkę.

Ale Dug się nie bał, choć nasłuchał się od dziadka wielu opowieści o niedźwiedziach kaukaskich i wiedział, jakie są groźne.

Nieczulstrachu, tylko ogromny jakiś śal i wstyd, który nie mógł być jego wstydem własnym, a brał na siebie cudze winy i cudzy grzech za pozbawienie wolności tego, co powinno być wolne, żeby być swoim syciem, prawdziwym szerokim syciem, a nie jego skrawkiem, ciasnym jak podłoga między czterema ścianami klatki.

Niedźwiedź poruszył się i wyciągnął się teraz na wznak, a jego łapy znowu oparły się o siatkę.

Któryś z turystów wziął leżący przedmiot i poślaskotał go w piętę.

Niedźwiedzia noga podkurczyła się natychmiast, a tłumek wokół klatki zakłócił się od śmiechu.

Dug pochylił się, żeby spojrzeć w oczy niedźwiedzia, ale były zamknięte.

- Śpi - powiedział ktoś obok niego, Dug jednak wiedział, że amfsz nie śpi, że tylko nie chce widzieć nic wokół siebie, nic ani nikogo.

Przecisnął się przez tłum i wrócił do dziadka.

Nie siedział już przystolesam, w tym kraju nikt nie pijał sam wina, szklankę wznoszoną w górę musiała mieć drugą szklankę, o którą mogłaby zadzwonić cichym, ale rozchodzącym się daleko, srebrzystym śmiechem szkła.

Dziadek Arzamet, rozmawiając i popijając wino, nie mógł zrozumieć, o czym Dug mówi i dlaczego chce wiedzieć, gdzie właściciel winiarni chowa klucz od potężnej kłódki, którą zamyka drzwi klatki niedźwiedziom; Dug powtarzał wciąż swoje pytanie, szarpiąc dziadka za rękaw, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, wcisnął się za kontuar, zawysoką i długą ladę, na której stały butelki, przykucnął w jej cieniu i wtedy zobaczył go - wisiał na gwoździu przy zlewie, ten, na pewno ten klucz, klucz od potężnej kłódki, odbierającej wolność amfszowi.

Gdyby nie ona, amfsz przekroczyłby próg klatki i poszedłby w góry, na zawsze poszedłby w góry.

Dziadek długo jeszcze rozmawiał i pił wino.

A Dug siedział naziemi w cieniu kontuaru i patrzył na klucz, który był w tej chwili jedyną rzeczą, jakiej pragnął.

W nocy, kiedy już spaliokryci jednym kocem, Dug długo czekał, aś wesóły ptak wpiersi dziadkazacnie równo uderzać skrzydłami w spokojnym locie snu, potem wstał i cicho wy dostał się na zewnątrz.

Noc była jasna, rozświetlona księżycem, w jego blasku, w pustce ciszy - klatka z niedźwiedziem i wejście do groty wydawały się wyraźniejsze, niż za dnia, dokładniej widzialne.

Dug zbliżył się do amfsha.

Oczy miał zamknięte, teraz może naprawdę spał, a może tak się, jak za dnia, nie chciał patrzeć na nic ani na nikogo.

Wejście do winiarni było otwarte, grota nie miała drzwi, tylko butelki z winem zniknęły, schowane przez właściciela.

Klucz wisiał na swoim miejscu i choć ściana groty pozostawała w cieniu, Dug wyciągnąwszy rękę znalazł go od razu i zamknął w swojej dłoni.

Na chwilę wstrzymał oddech i przywarł plecami do ściany, bo wydawało mu się,

że ktoś kroczy przez groty, że echo powtarza odgłos tych dudniących kroków - ale były to tylko uderzenia jego serca, tłukącego się gdzieś wysoko w samym gardle.

Ściskając klucz w zamkniętej pięści wyszedł przed groty i zatrzymał się przy klatce.

Drżał cały, kiedy wsuwał klucz w kłódkę, mógł!

nie pasować, mógł należeć do innego zamka i wtedy amfsh nie przekroczyłby nigdy progu klatki, nigdy nie poszedłby w góry.

Ale klucz wszedł w zamek gładko i kłódka otworzyła się natychmiast.

Niedźwiedź wciąż leżał nieruchomo z zamkniętymi oczyma, a teraz powinien już patrzeć, już

powinien był widzieć, jak drzwi klatki otwierają się powoli, jak tuż za progiem klatki zaczyna się jego wolność.

Dug schylił się, podniósł patyk i dotknął nim kudłatego boku.

Amfsh powoli odwrócił głowę i otworzył oczy.

Dug był pewien, że od razu zobaczył.

Rzucił patyk i wspiął się na najbliższe drzewo.

Niedźwiedź leżał przez długi czas nieruchomo, ale nie odwracał oczu od otwartych drzwi klatki.

Czas mijał powoli i nie działo się nic, absolutnie nic, poza tym, że on patrzył w otwarte drzwi klatki, że on musiał widzieć otwarte drzwi klatki, a dalej całą szeroką, całą wolną drogę w górę.

Kiedy nogi zaczęły mu już omdlewać, Dug zsunął się na ziemię, wziął patyki znowu szturchnął w bok niedźwiedzia.

Tym razem amfsszzerwał się od razu i stanął w progu klatki, ledwie Dug zdołał na powrót wspiąć się na drzewo.

Ukryty w gałęziach patrzył, tłumiąc oddech.

Niedźwiedź podniósł głowę i węszył, jakby powietrze, które docierało teraz do niego przez otwarte drzwi klatki, było inne, niż to, jakim dotąd oddychał.

Wyciągnął łapę i ostro niedotknął nią ziemi, a potem pobiegł przed siebie wolnym truchtem, kołyszając się na boki.

Nagle.

gdzieś za zakrętem drogi trzasnęły drzwiczki od samochodu; śpiący w wozach turyści budzili się wcześniej.

Biegący amfssz stanął, podniósł przednie łapy, wyprostował się i rozejrzał dokoła, poczym znowu opadłszy na cztery łapy - powoli ruszył w stronę klatki.

Podgarnął pod siebie dwie stare opony, ryknął gniewnie i ułożył się do przerwane go snu.

Dug długo jeszcze siedział na drzewie; kiedy zaczęło świtać, wrócił do dziadka i obudziwszy go, zapłakał u jego boku, a dziadek zrozumiał, że jest to jego prawdziwy, wielki płacz i że - nie może go pocieszyć.

1975

96

Tak równi, jak nigdy dotąd

Widzę oto moją ciotkę, kiedy mi to opowiada.

Miniony czas i miniony świat powstaje z jej słów; gruba i siwa, z czerwonymi rękami złożyła się na kolanach, jest wróską, które judają się czary.

Bo nie istnieje już nic z tego, o czym mówi.

Tak, jest miasto, są ulice, są domy - ale tych ludzi tam już nie ma i nie narodzą się tacy sami na ich miejsce.

Więci miasto bez nich jest teraz inne, zupełnie inne.

Ciotka powtarza, mówi z naciskiem i uporem już po raz trzeci, że ten świat nie istnieje, świat rudej Helki i Pinkasa, pary Sydowskich kochanków z galicyjskiego miasteczka.

To opowiadanie bierze się stąd, ciotka z tego miasteczka niedawno przyjechała.

Inne ludzkie losy są nam znane, już się o nich opowiadało, już się po raz drugi przekreśliło zapomnieniem, tym- nie opowiedzianym dotąd- udaje się wyminąć czas i zagarnąć nas w swoje Sywe trwanie, a potem w swoją śmierć.

Bo najważniejsza jest ona - gdyby Helka i Pinkas, gdyby Moszele, ich syn, Syli, ciotkanie uważałyby za potrzebne o nich mówić.

To śmierć uczyniła z nich ludzi ważnych, jakimi nigdy nie byli wcześniej.

Helka przychodziła do ciotki co dnia po mleko.

To tak było możliwe tylko w tamtych, bardziej odległych, nie skalendarz na to wskazuje, czasach - krowa w samym sercu powiatowego miasta, naprzeciwko starostwa, sto metrów od kościoła i dwieście od najokazalszego pensjonatu w uzdrowisku.

Ale kiedy wuj, długoletni sekretarz starostwa, przeszedł na emeryturę, ciotka postanowiła kupić krowę i nie było na to rady.

Sam pan starosta, który podkochał się trochę w ciotce, gdy była młodsza, tak jak podkochał się przynajmniej w połowie mieszkanek swego miasta, przystawał nieraz przy płocie rozległego morelowego sadu, aby podziwiać pasącą się w nim, istotnie bardzo dorodną i wypielęgnowaną krowę.

Chętnych namleko było wielu, więc sprzedaż nie była sprzedażą, była zaszczytem, czynionym przez ciotkę wyłącznie znajomym sąsiadom.

Helka należała do sąsiadów, właściwie nie ona, ale stara Prinzowa z firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim", która mieściła się wprawdzie przy drugiej, położonej bliżej plaży ulicy, ale z tyłu, przezgród, było to najbliższe sąsiedztwo.

Helka sprzedawała w sklepie, rozrzucała przed warszawskimi letniczkami huculskie kilimy, walała łonę w kosmate leśniki, przykładała do ściany kolorowe makaty; podawała od razu wyższą cenę, aby potembijąc się w piersi i rozpaczając nad każdą opuszczoną złotówką, dojść do tej, która miała się wydać triumfem kupującego, a była ustaloną z góry ceną sprzedaży.

W południe wyskakiwała po mleko, żeby je zanieść pani Prinz, która była stara i nie wychodziła z domu, ale miała jeszcze dość siły, żeby gotować i prowadzić gospodarstwo swoim dwóm synom.

Starszy, Izaak po ojcu, kierował wytwórnią kilimów, młodszy, Pinkas, pilnował sklepu.

Pilnował sklepu i patrzył na Helkę, od rana do nocy patrzył na Helkę, choć - ruda i mała - nie byław jego guście.

Helka o tym wiedziała.

Wiedziała, że wieczorami obydwaj Prinzowie, Izaak i Pinkas, wystrojeni w jedwabne koszule, siadali przystoliku w kawiarni napłają i patrzyli spacerujące deptakiem letniczki, Na parkiecie tańczono.

Znad Dniestru, od rumuńskiej strony, zawiewało wonią rozgrzanego, dojrzałego lata.

Wieczorny upał był tutaj zawsze zapachem, aromatem traw i ziół, gorzkawym odorem obmywanych wodą skał.

Obce kobiety, przybyte skądś zdaleka, gdzie śmielsze panowały obyczajem, chodziły po deptaku prawie nagie.

W szortach i opalaczach, w głęboko wyciętych bluzkach, w cienkich sukniach, pod które niewkładały bielizny.

Ciemne ich skóry lśniły nie zmytą jeszcze oliwą; gdy podnosiły w tańcu ramiona, we wgłębieniu pach błyszczały kropelki potu.

Obydwaj Prinzowie, Izaak i Pinkas, tak się pocili z podniecenia.

Patrzyli, jak rumuńscy oficerowie, którzy co wieczór przyjeżdżali tu z zarzeczki nadansing, tańczyli z letniczkami.

Jak rozpiąwszy mundury, pod którymi nie zwykli byli w upalne wieczory nosić koszul, przyciskali jedno swoich nagich piersi.

Latobyło upalne, lato było duszne, w dzień i w nocy, w każdą godzinę nie splukaną deszczem.

Prinzowie oblizywalisucheusta, matka

szukała imSon.

Ale nimznalazła, zaniemogła.

PołoŜyła się dołóŜka, z któregomiała juŜ nigdy niewstać, stara pani Prinz z firmy Izaak Prinzi Synowie "Polski Kilim".

Helkę odesłano ze sklepu do domu.

Tu, podokiem leŜącej, robiła wszystko jak ona,Ŝeby cały dom, gotowanie 98

i pranie, zapachy w kuchni, nakrycie stołu, pościelna łóŜku ifrankiw oknachbyły takie jak dawniej.

Ipo jej śmierci wszystko pozostało jak przedtem.

Kiedy ją zostawili na wzgórzu ponad plaŜą, pod jednym z tych kamiennych obelisków, które potem posłuŜyły Niemcom do budowy drogi- kiedywrócili do domui Helka od razu poszła do kuchni, Ŝeby wstawić kurędo garnka, od tej pierwszej chwili było wiadomo, Ŝe wszystko pozostanie jak dawniej.

Ten sam zapach przysmaŜanej cebulki, nie zaciemnej i nie za jasnej, alew sam raz złotej i soczystej, ta sama gładkość prasowanej starannie bielizny, puszystość pościeli długo wybijanej dłonią, biel firanek w oknach, nakrycie na stoleze starym lichtarzem pośrodku, ten sam rodzinny, nie zmieniony od lat porządekpotraw w świąteczny wieczór.

Została więc Helka gospodynią u Prinzów, a czasu starczało jej takŜei na sklep, ina dłuŜsze wysiadynaniena ławce przy drzwiach prowadzącychdo kuchni,gdy przychodziła do ciotkipo mleko.

Śmielszasięteraz zrobiła, pobrzękiwała pieniędzmi w kieszeniach kretonowegofartucha i pragnienia niewała śmiała, choć jednak obwieszczane zewstydem, gdy prosiła ciotkęo kupienie u rzeźnika kawałka wieprzowej,niekoszemej kiełbasy.

Zjadała ją potemw najciemniejszym kącie kuchni, takjakby i tam mógł ją ktoś wysledzići zdradzić,zjadała wśródmlaskań i pomruków, które - gdy Helka juŜ nie Ŝyła -

nierazprzypominały się ciotce w dzwoniącej ciszą pustce jej kuchni.

Ta nagleobjawiona śmiałość Helki wyraŜała się nie tylko apetytem, dowolnością w dysponowaniu czasem, aleprzede wszystkim -i to ciotka, uwaŜająca się zakobietę Ŝyciową, spostrzegła od razu stosunkiem do chlebowawców, a raczej stosunkiem do jednegoz nich.

Bo o Izaaku mówiła jak dawniej:pan Prinzalbo: pan Izaak,a Pinkasbył juŜ po prostu Pinkasem okraszonym uśmiechem, małym,zwycięskim uśmieszkiem czerwonych.

Jakby spuchniętychust Helki.



Ciotka, która poprzez codzienne wysiadywanie na ławce przywiązała się jakoś do Helki, zaczynała być spokojna o jej!

os. Widziała ją sadzoną na dobre, prawnie i oficjalnie na miejscu pani Prinz w domu w firmie Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim", widziała ją szanowaną i wywyższoną miłością Pinkasa, który był jedną z pierwszych partii w mieście, po swoim starszym bracie Izaaku naturalnie.

Ale tą miłością Pinkasa niewszystko było jasne, Helka coraz rzadziej miała na ustach swój zwycięski uśmiešek, zdarzały się jej chwile ponurych zamyśleń, a zwierzała się nie używając słów, ciotka czytała w niej jak w księdze.

# 99.

Zaloty Pinkasa były grube.

Nie zadawał sobie trudu, aby stały się inne.

Nie było w nich ani westchnień, ani mknące szeleszczących jak jedwab, spojrzeń jak jedwab lśniących - było przyciśnięcie do lady w jakiś piątkowy wieczór, tuż po zamknięciu sklepu przed szabasem, przyciśnięcie do lady, poddarcie spódnicy i zdyszany oddech męszczyzny, któremu się bardzo śpieszy.

I tak już było zawsze, tak już pozostało, choć Helka miała, choć musiała mieć nadzieję na coś więcej - śladnych rozmów, śladnych pieszczot, śladnych obietnic.

Któregoś dnia Helka przyszła po mleko zapuchnięta od płaczu.

Mleko miała już w dzbanku, pieniądze położyła na stole, ale nie odchodziła.

Smarknęła cicho w dłoń, zajęczała.

- Niedobrze, proszę pani.

- Z czym?

- zapytała moja ciotka.

Helka zakolysała się wokół własnej osi, zacisnęła powieki.

- Ze mną.

Ciotka nie darmo uważała się za kobietę Syciową, nie pytała nic więcej.

Wszystko było jasne, wiedziała, dlaczego płaczą dziewczyny.

Obiecował ci, że się ośmieni?

Helka smarknęła głośniej.

- To źle - powiedziała ciotka.

- To bardzo źle.

Powinien był coś powiedzieć, choć jedno słowo.

- Nic nie mówił.

- Jak to nie mówił?

Nigdy nic nie mówi?

-Przychodzi i mówi: daj' Ciotka pokiwała głową.

- Głupia ty Jesteś, He!

ka. I teraz masz za swoje.

Niech ci teraz dapieniądze.

I dowiedz się, do kogo z tym pójść.

Przez kilka miesięcy Helka zjawiała się nijaka, ani wesoła, ani smutna - może tylko mniej rozmowna niż dotąd, Któregoś dnia jednak znowu zaczęła wymawiać imię Pinkasa, najpierw ostrożnie, bez triumfu, potem coraz częściej.

A było już drugie lato i Izaakowi Prinzowi zaczęto swatać córkę właściciela parowego młyna z Nadwornej, Trembowli czy skądś tam.

Stary nazywał się Papierz - zawsze podkreślał, że "rz" na końcu - a córka miała na imię Salty, jak ze Słowackiego, i studiowała filozofię we Lwowie.

Oprócz zamiłowania do filozofii musiała jednak przejawiać i jakieś inne chęci, skoro zaczęto szukać dla niej męża.

Pośpiech wszakże nie był aż tak gwałtowny, aby oznaczać miały rezygnację z wyobrażeń, jakie papież Papierzy wiał o swoim przyszłym zięciu.

Nie sądził wprawdzie, żeby mógł dorównać Salce, która w towarzystwie potrafiła odezwać się i po francusku, i po niemiecku, która Zweiga czytała w oryginale, a w teatrze nie opuściła ani jednej premiery - nie, o tym papież Papierz nawet nie myślał, to było po prostu niemożliwe.

Ale przyszły zięć powinien był przynajmniej przy Salce razieć, na taką nadzieję może nabyło sobie pozwolić.

Gdy swaty zadzierzgnęły pierwszy kontakt, stary Papierz przyjechał, aby Izaaka osobiście obejrzeć.

Zastawszy w sklepie Pinkasa, zatrzymał się przy progu.

Pinkas nie był piękny, ale po co piękność mężczyźnie - tak zawsze mówiła jego dobra matka; to było jednak coś innego, nie brak urody, Pinkas po prostu nie pasował do Salki, jak połówka kartofla nie pasuje do połówki pomarańczy.

Stary Papierz ze smutkiem wyjął z kieszeni kamizelki swój ciężki złoty zegarek, żeby sprawdzić, czy zdąży na pierwszy powrotny pociąg.

Kiedy pomyłką się wyjaśniła, kiedy wreszcie zobaczył Izaaka, nieco się rozpogodził.

Nie całkiem -- nie, to takSe była rezygnacja, alei nadzieja, Se zIzaaka da się jednak coś zrobić.

Niemówił muo Salce,mówił o pieniądzech, któreSalkadostanie, niewywlekałteStego,Se umie się odezwać i po francusku, i po niemiecku,Se w oryginaleczytałaZweiga, tymjuŚ nienaleŚało sięchwalić, to trzeba byłoukrywać, pieniądze, tylko pieniądzemogły sprawić, Seby Izaak zechciał się ostrzyc i ogolić, Seby go w tym galicyjskim miasteczkuchoć trochę przybliŚyć do Europy -

To okazało się mniej trudne, niŚ papa Papierz przypuszczał.

Izaakprzyjął konieczność tych zabiegów ze skwapliwą chęcią.

Prawdopodobnie nie chodziło mu o to, Sebywspiąć sięna wyższy szczebeldrabiny, skąd widok miał być rozleglejszy i dawał lepsze panowanienad sytuacją - prawdopodobnie Izaakowi wcale o to nie chodziło.

WciążŚ miał przed oczyma rumuńskich oficerów tulących do nagichpiersi pod rozpiętymimundurami rozświergotane letniczki.

Patrzył naSaltyoblizując swoje suche wargi, liczył dnido wesela.

Dla Pinkasa zaczęły się bezsenne noce.

W pokoju nowoŚeńcówśpiewało drzewo ich małŚeńskiegołoŚa.

Przykrywał głowę poduszką, Seby tego nie słyszeć, dusił się - nocebyły upalne.

Przeniósłsię nadrugą stronę domu, za sień, dokądtenśpiew godowy na pewno nie mógł

docierać,ale słyszał go,wciążŚ gosłyszał, nawet wtedy, kiedy Izaakspał juŚ zmęczonyprzy spoconymbokuSalki.

Z tej bezsenności, dusznej icięŚkiej,wstawał duszny i cięŚki poranek, który mógł się rozpocząć tylko opóźnionym otwarciem sklepu.

po owej dyskretnej czynności odbytej z Helką na miękkiej sterciehuculskich kilimów, przesiąkniętych jeszcze odorem owczej wełny.

Helka przychodziłapo mleko rozśpiewana.

Rozśpiewana, z błyszczącymi oczyma, opuchniętymi wargami.

Ciotka mówiła jej kaŚdegodnia:

- UwaŚaj, Helka!

- i: - Bój się Boga, Helka!

Ale Helka się nie bała.

Posmutniała tylko wtedy, kiedy Salka obwieściła triumfalnie o czekającym ją macierzyństwie, kiedy w domuzaczęto czynić przygotowania na przyjęcie małego Prinza.

Gdy sięurodził, Helka spochmumiała jeszcze bardziej.

Gotowała, jak dawniej, w domu Prinzów, ale juŜ tylko dla Pinkasa; wychodziła w południe ze sklepu i przyrządzała mu obiad, taki, jaki przyrządziłaby mu na pewno jego matka, gdyby mogła wydostać się choć na pół godziny spod kamiennego nagrobka na wzgórku nadplaŜą.

Obierając zeskóry śledzie, smaŜąc cebulkę, mocząc gęsie wątróbki w mleku, patrzyła Helka przez otwarte okno kuchni na małego Jasia Prinza wygrzewającego się na słońcu w wiklinowym wózkualbo na kolanachukraińskiej niańki.

Kiedy Salki nie było w pobliŜu, kiedy nie mogła tego widzieć, wychylała się z okna i dotykała palcami, najlŜej jak tylko mogła, delikatnego czółka niemowlęcia.

- Ne treba, ne treba!

- powtarzała Nastka Ukrainka Pani zakazała.

- Jaki on tamJasio!

- mówiłapodem Helkado ciotki.

-Jasio!

Jojne on jest!

Jojnepowtarzała z mściwym uporem, z rozŜaloną, zapięklą wściekłością, której sens zrozumiała ciotka dopiero po lalach ijeszczepo latach ogarniał ją strach na wspomnienie tych słów Helki.

Ona takŜe nosiłapolskie imię, ale nadane nie z pychy, tylko ze zwyczajności, nad którą nie zastanawiali się jejrodzice.

Pycha Salki wydawała się jejczymś godnym kary.

Nie wiedząco tym, ŐejuŜ wznosisięten tunel kamienny, w który mieli być zapędzeni wszyscy, samasię domagała, Őeby nie znalazł się poza jego obrębemnikt, komubysię to mogło udać.

Kto inny wznosił go, kto inny miał ichweń zapędzić, alei ona, ona była przy tym takŜe.

MoŜe z przypadku, a moŜe właśnie z tego patrzenia na małego Jasia Prinza, Helce przydarzyło się po raz drugi to, cojuŜ raz zmusiło jądo płaczu.

Ciotka wiedziała, dlaczego płacządziewczyny.

- Helka?

- zapytała, stawiając na ławce konewkę z mlekiem.

-Helka?

- Tak, proszę pani - smarknęła Helka z okrutną Śałością.

-Oj, ty głupia, głupia - powiedziała ciotka, ale bez gniewu czynagany.

Z litością.

- Co mam robić?

-jęknęła Helka.

- Przedtem trzeba byłopytać - ciotka pokiwała głową, ale wciążŚtylko z litością; Helka płakała coraz Śałośniej wzaciśniętyna twarzykułak.

- Muszę mu powiedzieć, Śeby mi dał pieniądze- westchnęławśród płaczu.

- Nie - powiedziała moja mądra ciotka.

-Nie?

- Helka przestała płakać, wstrzymała oddech- Nie - powtórzył ciotka.

-Teraz on będzie musiał się z tobą oŚenić.

Helka zakołysała się na ławce i obie pięści wgniotła w twarz.

- Oj,co pani mówi, co pani mówi, on tego nie zrobi, ontego nawet nie pomyśli.

-Pomyśli - powiedziała ciotka.

- Masz mupowiedzieć, Śe drugiraz tego nie zrobisz,Śe musisię z tobąoŚenić.

Kiedy Helka zjawiała siępo mleko corazbardziej zapuchnięta odpłaczu, ciotka postanowiła sama rozmówić się z Pinkasem.

Wybrała moment południowejciszy,był sam w sklepie i ucieszyłsię na jej widok.

Aie nie przyszła, Śeby zaopatrzyć się w jeszcze jeden kilim, leŚnik, czy w huculską makatę.

Usiadłana podsuniętymprzez Pinkasa krześle i podniosła na niego swoje dobre, zawszetrozczące się o ludzi oczy.

- Pinkas!

- powiedziała, a znała go od dziecka.

- O! Ty się z nią, Pinkas!

Twoja matka w grobie by się przewróciła, gdyby to widziała.

Pinkas się zaczerwienił.

- Moja matka w grobie by się przewróciła, gdyby się o!enił z taką Helką.

- Z jaką?

- zapytała ciotka.

- Z taką- odpowiedział Pinkas, daremnie szukając innego określenia, Ciotkę ogarnął gniew; wstała i podeszła do Pinkasa.

- A dotego, !eby za nią chodzić i mówić: Helka daj!

- to ona była dobra?

Pinkas opuścił swoje ciężkie powieki.

- Do tego ona była dobra.

- No to może być dobra i na całe !ycie!

- powiedziała moja ciotka.

!lub Helki i Pinkasa odbył się cicho, a nawet - rzecz można - wstydliwie, był jednak wydarzeniem w mieście; mówiono o nim we wszystkich sklepach i przy wszystkich straganach na rynku, a była to powieść snuta wśród cmokań i pełnych zadziwienia potrzasań głowami, !ydowska bajka o kopcuszu i księciu.

Moszele urodzi) się du!y, zdrowy i !arłoczny; jak wszystkie dzieci nie bardzo "chciane", zachwycony !yciem i ka!dym jego przejawem.

Ssał w zbraną mlekiem i czułością pierś matki z chciwym i gwałtownym po!piechem, jakby zaspokajał głód niekilku godzin, ale na całe !ycie.

Nietrzeba było go namawiać do jedzenia, jak Jasia Prinza, którego cała rodzina, nawet dziadzio Papierz, coraz częściej dla wnuka opuszczający swój młyn, musiała zabawiać, wysilając się na pomysły, aby zechciał prze!knąć !y!eczkę owocowego soku czy przetartą przez włosiane sitko pierś kurczęcia.

Moszele odnosi! się do świata z ufnością i z aprobatą, wszystkim nadawało się do jedzenia i cmokania, pakował w usta ka!dy przedmiot, który dostał mu się w ręce, u!miechał

się do ludzi, gdy tyłkonapotkał ich wzrok, Helka z dumą obnosiła go po mieście, przynosiła go tak do ciotki, gdy przychodziła po mleko- Jedzie, jedzie pan, na koniku sam.

- śpiewała moja ciotka, podrzucając gonakolanach.

Nieraz przychodziło jejna myśl, że jestbardziej jego matką niż Helka.

Helka go tylko urodziła, ona sprawiła, że był.

Moszele to możejakoś czuł, może wiedział, że ta duża pani w szerokiej spódnicy oznaczała dla niego coś dobrego, coś miłego, wyciągał do niej ręce i krzyczał, gdy matka zabierała go do domu.

Rudy jak Helka, wyglądał jak mały rydzyk ubrany w białą koszulkę.

Podobny do rodziców, w przedziwny sposób nie odziedziczył ich brzydoty, był promiennym, czarnookim malcem o czerwonej głowie - nikt nieprzeczuwał jeszcze wtedy, jaka to klęska.

Na dwa lata przed wojną, kiedy mądrzejsi niż Helka nie zdawali sobie sprawy z tego, kuczemu idzie świat, cała uwaga obydwu pańPrinza firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim"

skierowana była na konieczność wzajemnego unikania się.

Narzuciła ją Salka, wciąż wspominająca swoją filozofię we Lwowie i zagraniczne lektury, i premiery w teatrze, których nigdy nie opuszczała.

Podczas lata odwiedzały ją koleżanki z tego innego świata- a wszystkie znały obce języki i czytały Zweiga w oryginale- wtedy istnienie Helki nabierało spotęgowanej, natężonej niewłaściwości, tym trudniejszej do ukrycia, że dom był wspólny, a syld wyraźnie głosił

istnienie dwóch braciPrinza, a więc i dwóch bratowych.

Na dobitkę Helka nie tylko nie znała żadnego obcego języka, nie mówiła dobrze ani po żydowsku, ani po polsku - w każdym zdaniu plątało się jakieś słowo ukraińskie, którym wspierała swoją znajomość świata.

Oddziecka pomagała rodzicom przy straganie, oferując różnorodnej klienteli cebulę i czosnek w ciągu zimy i wiosny, ogromne, opuchnięte od słodkiego sosu morele podczas lata, ciężkie kiście winogron jesienią.

Kiedyumarli - jednego dnia, na czerwone, która w ciągu kilku tygodni dziesiątkowała dzielnicę żydowską - znalazła pracę i schronienie u dobrej paniPrinza.

Do szkoły chodziła w swoim życiu krótko i nieczęsto - nie, na pewno nie pasowała do Salki Papierzówny i jej koleżanek; ale tak nie ponosiła za to żadnej winy.

Sytuację pogarszał fakt, że Jasio Prinza nie rozumiał, i kiedy Moszele pojawiał się przed domem, wyrwał się do niego z rąk swojej ukraińskiej piastunki i żadna



zabawanie była w stanie go zatrzymać.

Podzielono więc ogródek na dwie części, a płot obsadzono krzewami, które jednak nierosły tak prędko, jak Salka by sobie tego Śyczyła.

Dwóch małych Prinzów stało więc po obydwu stronach sztachet i wyciągnąwszy języczki cmokałodo siebie przez szparęw ogrodzeniu.

- Ne treba!

NiemoŚna!

Pani zakazała!

- krzyczała Nastka, a Helkarzucala naczyniami w kuchni, aŚ przechodnie zatrzymywali się naulicy.

Kiedy wybuchła wojna, nad Dniestrem wygrzewali się na leŚakachostatni plaŚowicze.

Słońce przypiekało ostro, dojrzaławoń lata biłaz ziemi, jak z otwartego na ościeŚ składu ziół i owoców, zbóŚ i siana,koszonego właśnie na niskichłakach po rumuńskiej stronie.

Wieści o wojnie były najpierw dysonansem, jakimś raŚącymnietaktem wobec spokoju i harmonii, wobec leniwego spoczynku, jakinaleŚy się światu po zebraniu urodzaju.

JuŚ od kilku dni megafonywywoływały z plaŚ tych, których aŚ tu dosięgły wezwaniado wojskowych jednostek.

Alenikt nie brałtego powaŚnie, na opuszczonych leŚakach kładlisiä nowi goście, a wieczorami tańczono nadDniestrem, nie zwracając narazie uwagi na wzrastającą przewagęrumuńskich oficerów wśród męŚczyzn.

Teraz, kiedyto było juŚ pewne, kiedy gdzieś tamna Zachodziepadły juŚ pierwsze bomby i pierwsze słupy graniczne - popłochogarnął miasto, letnicyprosto z plaŚ biegli na dworzec, aszosą prowadzącą do mostu jechały juŚ pierwsze samochodyz Warszawy.

Przez następnedni, w dzień i wnoc, obleganoszosę jakby podczas nie kończącej się, gigantycznejdefilady.

Małokto - z tych ludzi,którzy tu się cisnęli - rozumiał juŚ wtedy, co się stało.

Mało kto zdawał sobie sprawę z tragicznej doniosłości wydarzeń.

Stali przy brzegu

szosy z koszykami owoców, kubłami herbaty, ogromnymi bochnami chleba; nawet nie pytali o nic, a kupujący czy przyjmujący te dary niebyli skorzy do mówienia.

Może gdyby przypuszczali, że mają przedsobą ludzi na zawsze ścigających ich z ojczyzną, zostawiliby im jakieś słowo, jakiś gest trwający przez lata.

Albo by otakie słowoczy o gest poprosili.

Ale to nie przychodziło im nawet na myśl.

Helka tak stała na brzegu szosy, przy samym moście, gdzieś był największy, gdzie odbywał się rynek, zakrojony na miarę jednego kraju koniec świata.

Gdyby wtedy zdołała pojąć coś z tego, co się działo, co się dokonywało na jej oczach, łatwiej - przyzwyczajona jak do tej nieuchronności - przyjęłaby swój los, w tej właśnie otchłoni zakreślony linią, której jeszcze przed sobą nie widziała.

Dwa lata dzieliły ją od nieuniknionego dnia istała tu, nie przeczuwając niczego, z konewką śliwkowego kompotu, z drożdżowym plackiem w koszyku, bardziej zadowolona niż przejęta, zupełnie nierozumiejąca, dlaczego jakaś pani, wychylona z kurzem pokrytego samochodu, usiłowała za szklankę kompotu wcisnąć jej na palec złoty pierścionek.

Nie przyjęła - był za mały, po co był jej za mały pierścionek; złota niepotrzebowała, nie przechodziło jej jeszcze przez myśl, że będziego potrzebowała; puszysta głowa Moszele mieniła się najprawdziwszym złotem, że inne złoto nie miało dla Helki znaczenia.

Kiedy weszli Rosjanie, Salka Prinz została sekretarką komendantamiasta.

Okazało się, że i rosyjski znała tak, że, zamiast o Zweigu, mówiła teraz o Tołstoju, że cudny, że cała światowa literatura zaczyna się od Tołstoja, komendant zachodził wieczorami do Prinzów, jakby mu było za mało dnia na patrzenie w czarne oczy Salki; ale to jednak nie ona, tylko Helka, mała, ruda i piegowata, zabezpieczała w tych dniach istnienie domu i firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim".

Wychowana przy straganach na rynku, mówiąca trzema językami równocześnie, a z tych trzech języków najtrafniej dobierając słowa oddane w pacht wojnie - od razu, od pierwszej chwili wiedziała, co chcą sprzedać, a co kupić Polacy, Ukraińcy i sydzy, z kim powinni rozmawiać, z kim nawiązać kontakt, dokogo pójść do domu.

Byłachodzącym kantorem wymiany i obydwaj bracia Prmzowie i Salka ze swoją filozofią mieścili się w jej Jednym zaciśniętym kułaku.

Moszele nie cierpiał więc jeszcze wtedy głodu, a i Jasiowidostawała się jakiś kasek, kiedy niewidziała tego jego matka.

Dlaczego nieporozumiały się ze sobą, dlaczego nie zrównały się w tych czasach manifestacyjnej nieomal równości, tego moja ciotka nigdy nie zdołała zrozumieć.

Helka wzruszała ramionami, kiedy pytała Ją o to, usta miała zaciśnięte.

Przychodziła, jak zawsze, co dnia po mleko- tyle była to teraz wymiana, za mąkę i cukier, czasem za kwaterkę wódki.

Popijały ra Ssem - i coraz częściej - przegryzając chlebem zsolą, czasem zimnymi pierogami, które ciotce zostawały z obiadu.

Ta chętką, to pragnienie przyszło nagle, wzięło się z wystawiania, z krąśenia Hetki po rynku, z ciotczyego strachu, który nie przestawał w niej wzbierać od chwili, kiedy zobaczyła polskie samochody stłoczone na rumuńskiej drodze.

Piły samogon i coś się rozjaśniało, coś stawało się łatwiejsze, obniżał się mur zakrywający widnokrąg, zdawało się, że okna otworzą się na inny świat.

- Ona teraz większa pani się zrobiła niż przedtem - mówiła Helka o Salce.

Bez złości, a!

tak i bez podziwu.

- U samego komendanta pisze,

Ciotka kiwała głową.

Komendant był postacią wszechmocną w mieście, sama ilekroć miała coś do załatwienia, udawała się do Salki po protekcję.

A Helka krążyła po rynku.

Znowu więc byli między nimi przepaść, przepaść niedo pokonania.

Zwłaszcza że Ssadniana miała ochoty je pokonać.

Komendant był nie tylko postacią wszechmocną w mieście, był także kimś, kto mógł ich uratować.

Może nie w wszystkich, może tylko Salkę, ale mieli jakąś szansę, żeby zabrać się razem nią, żeby się jej trzymać.

Nie doszło do tego, sami wszystko zepsuli.

Niewiedzieli, nie mogli wiedzieć.

Nieomyślnie oczy papy Papierza odkiły prawdę podczas jakiejś krótkiej wizyty u córki.

A Izaak już się wtedy nie golił, już nie chciał być Europejczykiem, na którego go teść z trudem awansował.

Łaził podomuzarośniętyi ponury, w przydeptanych pantoflach i opuszczonych szelkach.

Czy wiedział, że na nowej granicy Niemcy gromadzą wojska?

Wiedział.

Wszyscy mówili o tym w mieście, i o tym, że Rosjanie przygotowują się do ucieczki.

- Salka!

- powiedział Papierz do swojej pięknej córki: Pobiegł do niej do biura, zdyszany usiadł przy biurku.

- Ty mi tego nie zrobisz, Salka!

On ma w Rosji Sonę, ja ci głowę daję, że on ma w Rosji Sonę i dzieci.

Taki chłop uchowałby się bez Sony!

Zastanów się, Salka!

Ma Sonę gdzieś na Kaukazie, może nawet dwie, wszystko możliwe, twój ojciec ci to mówi.

Salka milczała, zza zamkniętych drzwi dochodziły kroki krążącego po pokojach Szczyzny.

- Ty mi tego nie zrobisz!

- powtórzył Papierz.

- Sprzedam wszystko i wyjedziemy.

Do Szwajcarii, do Ameryki, gdzie zechcesz.

- Kiedy?

- zapytała wolno Salka.

Papierz zatrzepotał dłońmi.

- Jak najprędzej.

Kiedy tylko się da.

- Zrób to - powiedziała Salka.

- Zrób to.

Kiedy przez granicę ruszyły niemieckie czołgi, w nocy przed domem Prinzów zatrzymał się cięŜarowy samochód.

Wysiadł z niego wysoki mężczyzna, w ręku trzymał kołdrę i zapukał do drzwi.

Nikomu nie otwierał, pukał, walił pięścią, nikt mu nie otwierał.

Trwał ot długo, siedzący przy kierownicy szofer zaczął kląć, z początku cicho, potem głośniejsze, na całą ulicę.

Tamten stał przy progu, pod pachą trzymał kołdrę - dla niej?

MoŜe dla dziecka, gdyby nie chciała go zostawić - stał i pukał, prosił:

- Salka!

Proszu ciebie!

Nie moŜem tieriat' wremieni!

Utrom onizdieŝ budut!

Podumaj, Salka!

Potom zditajesz, czto chcesz.

Jatiebia woźmu, woźmuotsiuda!

UŜe utrom oni budut!

Nie wyszła.

Kiedy juŜ szarzało, a kierowca w samochodzie klął nacałą ulicę, stanął w drzwiach Izaak, zaroŝnięty, w koszuli opuszczonej na spodnie.

I patrzyli na siebie, on i ten człowiek z kołdrą pod pachą, aŜ tamten odwrócił się i odszedł, kierowca w samochodzie przestał kląć, zapuŝcił motor i wszystko się skończyło, skończyła się ostatnia szansa.

Przez pierwszetygodnie za Niemca - jak okreŝlano potem ten czas w miasteczku -

Helkachodziła jeszcze na rynek.

Ale nie brała juŜ zesołą Moszele, który przedtem łąził zwykle za nią, osmarkany szczęŝliwy.

Teraz zostawiała go w domu, a Pinkas, który sam niewychodził na ulicę, pilnował, ŝeby i on nie

pokazywał się na niej.

Kobiety we wszystkich złych czasach okazywały więcej śmiałości i zawsze miały nadzieję osłonić nią swoich mężów.

Tak więc Helka wzięła na siebie cały trud kontaktów ze złym, wrogim światem, światem obcych mundurów, obcej mowy, niebezpiecznym okrutniejszego, że nie tłumaczyło się żadną przyczyną, żadnym zasadnieniem zawsze i wszędzie grożącej śmierci.

Oczywiście z początku niezdawali sobie sprawy.

Coś tam ludzi mówili o obozach, o zamkniętych gettach, o przesiedleniach, ale trudno było w to uwierzyć, jak można wierzyć w rzecz tak nieprawdopodobną, jak konieczność opuszczenia własnego domu, pozostawienia sprzętów i rzeczy, zrosniętych z człowiekiem tak samo jak

jego ręka lub noga, jak jego czucie i myślenie; jak można było wierzyć w odgródzenie murem świata, w mały kawałek ziemi pod nogami, zdeptyany aż do bólu stąpieniem wciąż w tym samym miejscu, starty na pył zamkniętą, ciasną rozpaczą - jak można było uwierzyć, że człowiek skazany jest na śmierć swoją twarzą, jej rysami, jej kolorem, spojrzeniem oczu.

Nie tylko oni nie mogli w to uwierzyć; ludzie w spokojnych, szczęśliwych krajach nigdy w to nie uwierzyli, choć czytali ksiąski, a w nich te liczby, dokładnie obliczone z pozostałych na składach butów, z list, które się gdzieś przechowały, żeby oddać świadectwo prawdzie.

Ciotka, kiedy to opowiada, niemając nadziei, że by można to było powiedzieć, już wie, że rzeczy niemożliwe są same, że tamci szczęśliwi ludzie w spokojnych, bezpiecznych krajach nigdy w to nie uwierzyli, a ci, którzy musieli uwierzyć, bo to przeżyli, potrafili o tym zapomnieć.

Za pieniądze, za jakąś inną cenę, która nabrała mocy zmywania cierpienia.

Ciotka już o tym wie, kołyszesi w głowę nad nieprawdopodobnym i niegodnym - nad nieprzewidzianym, które burzy tę ostatnią nadzieję, jaką zawiera pamięć.

Nie minęło wiele tygodni, a spisano ich wszystkich, dokładnie codo jednego.

Papa Papierz nie dotarł z pieniędzmi, dolarami czy złotem - pieniądze nie miały już wtedy żadnego znaczenia - nie dotarł z Nadwornej czy z Trembowli, czy skądś tam.

Salka nie dowiedziała się nigdy, co się z nim stało - A i tak nie mogliby już nigdzie wyjechać; spisano ich, kaśdy otrzymał gwiazdę Dawida i stanowisko pracy.

Prinzwiedalej robili kilimy i huculskie śniki - zawsze miały powodzenie u przybyszów, więc ich zachwycili się nimi także.

Wytwórnią kierował jednak ukraiński treuhandler, pilnie przyuczając się do nowego zawodu.

Ale znowu nikt jeszcze o tym nie myślał.

Chwilowe uspokojenie madra ludzi, którzy się bojądalekiej perspektywy.

Pracowali więc wszyscy w wytwórni, a Satka, która znowu mogła przypomnieć sobie Zweiga, była tłumaczką i od czasu do czasu przynosiła białą bułkę dla Jasia, albo kawałek masła, albo odrobinę cukru.

Helka po dawnemu przychodziła do ciotki po mleko, tyle że już płacić nie miała czym, odłóżono to do innych, lepszych czasów - już przez to samo, że istniał ten dług, musiały nadejść.

Siadywała, jak zawsze, na ławce, a Moszele bawił się sółtym dniestrzanym świrem, którym wysypane było podwórze.

Już wtedy szukała dla niego miejsca.

Jakkotka, która spodziewa się, że ktoś może zniszczyć jej gnia.

zdo, rozglądała się za bezpieczną kryjówką, obrzucała ukradkowymi spojrzeniami zabudowania gospodarcze, skład na drewno, wejście do ogromnej, ciągnącej się pod całym domem piwnicy.

- Tam nie powiedziała moja ciotka cicho - tam za zimno.

Znajdziesz coś lepszego.

Patrzyły na siebie i Helka pierwsza opuściła oczy.

Swoim zwyczajem ukryła twarz w zaciśniętych kulkach, sapała w nie cięsko, powstrzymując płacz.

- Znajdzie się coś lepszego - powtórzyła ciotka.

Zaprowadziła ją do stajni, gdzie stała krowa, pełna dostojnego spokoju, jakby rozumiała opatrnościowe znaczenie swego istnienia w tych ciężkich czasach.

Tylną ścianę stajni zajmował wysoki aś po sufit sasek na siano.

Dobrze zaopatrzony, zakrywał kłapę w suficie, wiodącą na strych.

- I ciepło tam będzie - powiedziała ciotka.

- Nad stajnią zawsze ciepło.

Helka płakała, tym razem nie w zaciśnięte kulki, ale z odkrytą, szczęśliwą twarzą, pełna ufności i nadziei.

- Niemogę pani narząć - szepnęła, wiedząc, co ciotka odpowie.

Starsza pani machnęła tylko ręką.

Nie bała się nigdy nikogo i niczego.

Kolejne śmierci w rodzinie nauczyły ją filozofii, w którą ubogie są księżki.

Bardzo pobożna i zawsze wypowiedana skrupulatnie, meldowała się Panu Bogu co dnia, jak żołnierz zniechęcony wycieczonym karabinem.

To i tak kiedyś przyjdzie, moje dziecko - powiedziała.

- Nie będę żyła lat.

A Moszele.

przecież już raz uratowałam mu życie.

Tam więc, w woni siana i krowiego oddechu, czekała na Hetkę jej kryjówką.

Narazie nie była jeszcze potrzebna, pracowali, co dzień stawiali się w warsztacie, nicim jeszcze nie groziło, mieli gwiazdy na plecach i piersiach, swój numer na liście - taka dokładność mogła nawet budzić nadzieję, nie spisuje się przecież ludzi, którzy mają okazać się zbędni.

Zbędni nie byli jeszcze przez długi czas.

Ale któregoś dnia ciotka, która rankiem wyszła do sadu, żeby pozbiierać opadłe w nocy jabłka, zastała całą rodzinę Prinzów nadrzewach, Helkę z Moszele i Pinkasakurczowo trzymającego się pnia włoskiego orzecha.

W nocy Niemcy rozpoczęli wywózkę żydów z miasteczka, ktoś ich ostrzegł - Salka wystarała się o jakieś papiery dla siebie i swoich, ale oni musieli uciekać.

Ciotka, narzuciwszy chustkę, poszła do domu Prinzów.

Alarm okazał się przedwczesny - u nich nie byli, nie byli jeszcze tej nocy.

Wrócili więc do warsztatu i znowu upłynęło kilkamiesiący, zanim ciotka znalazła ich na drzewach w swoim ogrodzie.

Było już lato, drugie lato pod nimi, i tej nocy ubyło trochę żydów pozostałych z poprzedniej wywózki.

Więc uciekli i choć mieli przygotowaną kryjówkę nad stajnią, nie chcieli jej demaskować, niemając szans zatarcia za sobą śladów, odstawienia drabiny, nałożyła siana pod sam sufit.

Dobijanie się zaś do ciotki w ciągu nocy mogło budzić sąsiadów Ukraińców, którzy i tak mieli na nią oko.

Znowu siedzieli więc na drzewach, ukryci w bujnym listowiu wczesnego lata, ogromne, przestraszone ptaki o zjeżonych piórach.

Ciotka oparła czoło o pień włoskiego orzecha.



Helkana najgrubszej gałęzi z Moszele owiniętym wjakieś szmaty wyglądała jak Matka Boska uchodząca z Dzieciątkiem do Egiptu.

Teraz - kiedy to opowiada - przymyka na chwilę oczy i wiem, o czym myśli, Ja myślę o tym samym.

Czy gdyby Helka była, gdyby udało jej się zakopać głęboko pod ziemię lub wejść na najwyższe szczyt czy teraz zdołałaby o tym zapomnieć, odrzucić swój los jak starą suknię, jak szal, którego już się nienosi.

Wiem, że ciotka o tym myśli, że kołysz siwą głową nad tym nieprawdopodobnym i niemożliwym, a jednak dokonanym, że niemożliwe się z tym pogodzić, że boli ją to prawie tak samo jak okrucieństwo tamtego czasu, który ona przeżyła, a nie przeżyli oni.

Alarm, kiedy ciotka to sprawdziła, znowu okazał się przedwczesny - u nich jeszcze nie byli.

Już wtedy mogli wejść do swojej kryjówki, ale jeszcze mieli nadzieję, jeszcze nie chcieli zamknąć się w ciemności jennego strychu, skoro mieli nadzieję, skrawek, ułamek nadziei na powietrze i słońce, na wiatr na twarzy, na zapach, który wieczoremibił z nagrzanej ziemi.

Jeszcze mieli nadzieję - odeszli, a Ukraińiec - volksdeutsch zaczął coraz lepiej orientować się w swoim nowym tkackim fachu.

Przyszli po nich nie w nocy, jak się spodziewali, ale za dnia, w samopołudnie, w upał, kiedy pszczoły opadły całym rojem nakrzaki dzikich rós, z których ciotka obrywała płatki i ucierała je w glinianym garnku na jedyną w świecie, niepowtarzalną konfiturę.

Ludzie biegli w stronę domu Prinzów.

Odstawiła sito z różnymi płatkami i pobiegła także.

Stali już na podwórzu wszyscy, Izaak Prinz z rodziną i Jan Kas Prinz z rodziną, obydwaj bracia z firmy Izaak Prinz i Synowie "Polski Kilim".

W rękach trzymali małe tobołki, a przed nimi stało dwóch esesmanów z automatami na brzuchach.

Wyczyszczony metal lśnił w słońcu jak cacko, jak ogromna zabawka - i wtedy stała się ta rzecz najgorsza, ta rzecz ostateczna: Moszele się roześmiał i wciąż zapatrzony w migotliwy metal na brzuchu esesmana ruszył ku niemu z wyciągniętymi rączkami, ufny i radosny, tak jak zawsze szedł do ludzi.

Jeszcze Helka nie zdołała krzyknąć, jeszcze Salka nie zdążyła pojąć, co się dzieje, a już Jasio oderwał się od matki i pobiegł zanim, tak samoucieszony nadarżającą się zabawą.

Małe podwórze domu Prinzów stało się nagle ogromne, biegli przez nie długo, przez nie kończąc się czas oczekiwania, przez nie kończąc się strachem nastąpiło to, co miało nastąpić; dwie serie, jedna po drugiej, i cisza po nich.

Upadli i leżeli pośrodku podwórza, póki nie pokrytych ciałamatek, mali, absurdalnie za mali naśmierć, skurczeni i zwinięci, wreszcie na tę krótką chwilę nazawsze sobie równi, tak równi, jak nie byli nigdy za życia.

Ciotka wy dostała się z ciśby ludzkiej, nie czekała, co stanie się jeszcze; skoro nie mogła nic zmienić, nie chciała wiedzieć; wołała unieść w sobie swój znak zapytania.

1968

Sam pod niebem,

czyli bolesna fikcja literacka

- Niewyglupiaj się - powiedział.

- Dopiero co wróciłem z lotu.

- Ale musisz lecieć znowu - upierał się głos w siucha - wce.

- Bardzo ważna sprawa!

- Nie ma ważnych spraw, kiedy mi się chce spać.

- Nie śartuj, chodzi o życie człowieka.

Nie odpowiadał przez długą chwilę, więc tamten w słuchawce krzyczał dalej:

- Jesteś już na lotnisku.

Zanim ściągnąłbym kogokolwiek z miasta.

Rozumiesz, każda minuta ma znaczenie.

- O co chodzi?

- zapytał.

- Powiedz wreszcie po kłódzku, o co chodzi?

- Trzeba dostarczyć lekarstwo do szpitala w Polsce.

- Gdzie?

- W Polsce.

Zawiadomiono nas przed chwilą, że przywiozą na lotnisko lekarstwo.

Szukano go przez radio.

- Psiakrew!

I musieli znaleźć akurat tutaj, żeby ja ni.

emógł położyć się spać.

Nie może lecieć jakiś cywil?

- Nasze samolotysą szybsze.

I nie wierzę w towszystko, co mówisz.

Ten człowiekumrze, jeśli.

- Nie lubię takiegogadania.

Wiesz, że cholernie nie lubię takiegogadania.

że teś zachciało mu się umierać, zanim skończyłem słusbę.

Teraz po tamtej stronie słuchawce zaległa na chwilę cisza.

A potem powoli:

No, więc postaram się ściągnąć kogoś z miasta.

-Nie!

-krzyknął.

-Niech to wszyscy diabli!

Polecę!

- Wiedziałem, że to zrobisz.

-Wypchaj się z tym swoim "wiedziałem"!

- Za chwilę dostaniesz lekarstwo i trasę.

Trzymaj się, st ary!

- Trzymam się- jeszcze raz: niechcie wszyscy diabli!

Była czarna noc, kiedy samolot oderwał się od oświetlonej reflektorami płyty lotniska w.

wszystko jednogdzie, tu czy tam, natej czy innej półkuli, w tym czy innym kraju, nieważne -

ważny jest człowiek, sam pod niebem, i ten drugi, o którym rozmawiają teraz, licząc minuty, lekarze.

Tych dwóch ludzi, w ogromnym obszarze świata, złączonych nagłą zaleśnością.

Człowiek pod niebem był zdolny do myślenia.

Tamten - tylko czekał.

Nawet mu nie powiedziano, że może przyjść ratunek.

Nie przyjmował śladnych wieści, był już na krawędzi, na krawędzi istnienia, z której można go było jeszcze zawrócić.

- Więc tylko człowiek pod niebem był zdolny do myślenia.

Ale nie myślał, albo myślał tylko tyle, ile musiał, aby panować nad motorem.

Pokonał już senność i znużenie; przyjemną pewność siebie dawał mu mocny uchwyt własnych dłoni na sterach.

Zawsze kiedy leciał, niezachwiana sprawność ciała, precyzja umysłu i mięśni, budziła w nim krzepiące uczucie nienagannie spełnianego obowiązku.

Warunki lotu zaczęły się pogarszać.

Po trzystukilometrach wpadł w mgłę, a potem w zamieć śnieżną - tamten na dole nie miał zbyt wiele szczęścia.

Temu pod niebem tego brakowało, ale jemu nie było tak spieszno.

Mimoto robił, co mógł - lubił mieć uczucie precyzyjnie wykonanego obowiązku.

Kiedy po dwóch godzinach lotu wylądował na małym lotniskuprowincjonalnego miasta, w prowincjonalnym - jak myślał - kraju, nie wyglądał na człowieka, który zdolny byłby do uśmiechu nawet, gdyby wybiegła mu naprzeciw sama Liz Taylor.

- A wybiegła koścista pielęgniarka, która pochwyciwszy lekarstwo, odjechała natychmiast czekającą na nią karetką pogotowia.

Wszedł do małego budynku, do którego go wprowadzono, wypił z ulgą duśną, gorącą kawę, zapalił papierosa - i zasnął w fotelu.

Obudził się, kiedy już szarzało.

Nie mógł sobie uzmysłwić, gdzie jest - bolał go kark od niewygodnej pozycji, oczy spoczywały na nieznanym sprzętach.

Zzadrzwidochodził szmer przyciszonej rozmowy.

Dopiero tarozmowa- ze względu na niego prowadzona szeptem - przywróciła gorzeczywistości.

Przez chwilę przysłuchiwał się niezrozumiałym słowom.

Podszedł do okna - zimowy poranek sypał gęstymśniegiem.

Jeszcze z godzinę trwały pertraktacje na temat niesprzyjającychwarunków atmosferycznych.

Kiedy w końcu zdecydowano się wypuścić go z lotniska, juŜ na płycie dogoniła go dziewczyna z obsługi.

Nie zapytał pan nawet, czy onŜyje?

Odwrócił ku niejpowoli głowę.

- A on Ŝyje!

- krzyknęła.

-Rozmawialiśmy przed chwilą ze szpitalem.

Są dobrej myśli.

- Dziękuję- powiedział, juŜ z nogą na pierwszym stopniu schodków.

Twarz dziewczyny została pod skrzydłem, patrzyłna pas startowy,choć wiedział,Ŝe powinien był jeszcze raz na nią spojrzeć, jesczeraz, dobrze i raz na zawsze ją zobaczyć.

Dopiero sam pod niebem zaczął o tym myśleć.

O tym,o czym niemyślał, lecąc w tamtą stronę, o co bał się zapytaćtych ludzi na dole.

Człowiek, który czekał na niego tej nocy - Ŝył.

Mógł jeszcze inaczejformułować tęmyśl,ale uczyniłto ostroŜnie: człowiek, kuktóremuleciał przez mgłę i burzę śnieŜną, aby go ratować- był uratowany.

Zarazpo wylądowaniu na swoim lotnisku poszedł do telefonu.

Nocna zmiana została juŜ zastąpiona przez dzienną i musiał prosićo połączenie z miastem.

- Halo!

Chciałem cipowiedzieć, Ŝe wróciłem.

- I po to mnie zrywasz złością?

- Nie tylko po to, ma się rozumieć.

Obawiam się, że będziesz musiał powiedzieć staremu, żeby odesłał mnie do domu.

Jestem do niczego.

- Co się stało?

- Nic wielkiego.

Ale to ma jakieś znaczenie.

Przynajmniej dla mnie.

Uratowałem człowieka.

- Dostaniesz na pewno jakieś odznaczenie.

Idź spać!

- Poczekaj.

Czy możesz sobie wyobrazić, co czuje człowiek, sam pod niebem, który ma świadomość, że uratował życie drugiego człowieka - mimo że wszystko, cała jego sprawność i wiedza przygotowane są na to, żeby umiał zabijać, kiedy zajdzie potrzeba.

- Oszalałeś!

O czym ty mówisz?

- Wiem, o czym mówię.

Ty tak że dobrze wiesz, o czym mówię.

Nie potrzebujemy sobie strzepić gęby na ten temat.

Po co wyznaczyłeś mnie na ten lot?

To zobowiązuje.

Wiozłem małe pudełko, w którym było życie.

Nie potrafię już lecieć mając na pokładzie.

- Milcz!

Milcz, do diabła!

Taka rozmowa przez telefon.

- Będę prowadził takie rozmowy przez telefon i bez telefonu, kiedy i gdzie zechcę.

A ty powiedz staremu, że oszalałem.

- O, powiem mu to na pewno!

-Śpij!

Śpij, śpij!

Jak wszyscy!

# 1969.

OskarŜona

Po obydwu stronach ulicy co parę kroków stali policjanci.

Ich obecność była raczej dekoracją miasta na powitanie rządowego gościa niż prawdziwą potrzebą zabezpieczenia jezdni przed manifestującym radośnie tłumem.

Dzień był upalny i ludzie woleli owiewanemu morskim wiatrem plece od rozgrzanych asfaltów śródmieścia.

Policjanci stali więc beczynnymi, pocąc się niemiłosiernie w swoich dopasowanych uniformach.

Trochę ciekawych przystanęło na brzegach chodników.

Ich liczba powiększyła się nieco, gdy u wylotu ulicy ukazały się czarne limuzyny.

I wtedy stała się ta rzecz niesłychana, nie notowana w dziejach miasta - od stojących na chodniku oderwała się jakaś niepozorna postać i wyminawszy policjanta rzuciła przed maskę pierwszego samochodu mały, groźny przedmiot.

Bomba nie wybuchła.

Była okrągłą piłką uszytą ze starych szmat.

Matka Kranz, zamieszkała przy Seestrasse 73, została jednak aresztowana.

Nie wiadomo było wszakże, o co ją oskarżyć.

Bomba, którą rzuciła, nie była bombą.

Zamiar przestępczy?

Czy można mieć zamiar przestępczy posługując się "bombą" ze starych szmat?

Staruszka odmawiała jakichkolwiek zeznań.

Milczała patrząc nieruchomo przed siebie.

Nie było pewności, czy słyszy stawiane jej pytania.

Wypuszczono ją więc po tygodniu z zaleceniem dyskretnej obserwacji.

W świątku staruszki nie było jednak nic ciekawego - Wstawała rano i sama odbierała od mleczarza butelkę z mlekiem, zanim zdążył postawić ją przed jej drzwiami.



Potem obserwującej mieszkanie mógł ujrzeć ją wdwoch oknach, jak podlewa troskliwie kwiaty.

Były to same pelargonie, czerwone i róŝowe -uśmiech matki Kranz towarzyszący tej rannej czynności świadczy!

, Ő jest dumna ze swoich kwiatów.

Później moŝna ją było zobaczyć z małym koszykiem, jak przechodziła przez jezdnię, udając się do piekarza i rzeźnika;

w drodze powrotnej wstępowała dosklepuspoŝywczego na rogu.

Tak było co dnia - matka Kranznie stanowiła atrakcji dla wywiadowców.

Popołudniu niedostarczała im teŝ Őadnej rozrywki: niezmiennie tej samej godzinie szła nanieszpory do pobliskiego kościoła.

Rychło więc zaprzestano się nią interesować.

Akurat wtedy - a była to juŝ zima - ^mieście spodziewano się przyjazdu wysokiego dygnitarza NATO.

Tym razem wzdłuŝ trasy przejazdu ludzi było sporo.

Moŝe bylinaprawdę ciekawi cudzoziemca, który nie tak dawno był ich wrogiem, a moŝe jeszcze inne jakieś uczucia powodowały ich obecność na ulicach.

Policjanci stali gęsto.

Mimo to matka Kranz zdołała zmylić ich czujność i jej drugabomba została zrzucona wprost pod samochód wysokiego gościa.

Oczywiście nie wybuchła - była równieŝ suszyta zestarych szmat.

Ale zamieszania dokonała wiele.

Przed wszystkim wysoki gość nie mógł wiedzieć, nawetna pewno nie wiedział, Ő jest uszytaze starych szmat, i kiedy tak leciała zatoczywszy piękny łuk przed maską samochodu.

krótkomówiąc, jest wiele wybitnych osobistości, które nie lubią, gdy się obrzuca nawet kwiatami.

Matkę Kranz zamknięto tym razem w zakładzie dla psychicznie chorych.

Tu równieŝnie odpowiadała na Őadne pytania.

Dwukrotnie tylko sama zaczęła coś mówić, to nie dotyczyło jednak tej sprawy. Mówiła o pelargoniach.

Ate szybko pogodziła się z myślą, Őe pelargonie umrą.

Sama niejako w imię czegoś, co byłodla niej waŝniejsze,skazałaje na śmierć.

Przyjąwszy tę konieczność -uśmiechnęłasięnawet.

Badający ją lekarz usiłował zgłębić treść tego uśmiechu.

Matka Kranzjednak znowu milczała.

I stądzwolniono jąpo niedługim czasie.

Nie wykazywałaŜadnejchoroby umysłowej, nie było oczywistych powodów, Őeby trzymać jąw zakładzie.

Teraz jednak przed kaŜdą oficjalną uroczystościąw mieście zjawiało się u niej dwóch nieskazitelnie ubranychpanówisamochodem orównie nieskazitelnej elegancji przewoziło ją dogmachu policji.

Przebywała tam do wieczora, po czym7- równą parąodwoŐonoją do domu, Matka Kranz wciąż milczał?

W samochodziezachowywała się z wyniosłą godnością.

Siedziała wyprostowana ipatrzyłaowaŐniemijane ulice rodzinnego miasta- Dwóch aniołów stróŐówo bocznych karkach nie mogło nic wyczytać z Jej spojrzenia.

To trwało rok albo więcej.

Ilekoć w gazecieukazywała się zapowiedź przyjazdu kogoś ze stolicy, matka Kranz ubierała się w odświętny Őakiet, przypinała pod brodą koronkowy Őabot i czekała naczarny mercedes z policji.

AŜ zdarzyło się, Őe samochód nie przyjechał.

Gazety zamieściłyfotografieznakomitego gościa, wieczorem miał być bankiet w ratuszu, po ulicach od samego rana krąŐyły patrole - a czarny mercedesnie zjawił się przed domem przy Seestrasse 73.

Być moŐe zapomniano o tym obowiązku lub po prostu uwaŐano, Őenie naleŐy juŜdłuŐejnękać staruszki.

Matka Kranz odczekała lojalnie akademicki kwadranspo godzinie, o której zwykle zjawiałosię dwóch aniołów stróŐów.

Wyjrzałanawet przez okno, Őeby się upewnić, czy niejada.

Ale na cichejuliczce nie było widać Őadnegowozu.

Matka Kranz podeszła do koszyczka, wktórym przechowywała pończochy przeznaczone do cerowania, i wyjęła zeń swoją trzecią bombę.

Nikt jej niezauważył w tłumie.

Wyglądała jak inne stare kobiety, które wyszły na ulicę znudzone monotonią swego życia.

Stała na brzegu chodnika i uśmiechała się przed siebie - właściwie: przed siebie, nie patrząc na nikogo.

Miała staruszkę!

- pomyślał stojący obok policjant i odsunął się nieco, aby miała lepsze miejsce.

Kiedy nadjechała kolumna rządowych limuzyn, wszystko odbyło się tak samo jak poprzednio.

Matka Kranz wychyliwszy się z tłumy, rzuciła bombę przed maskę pierwszego samochodu - i zanim wszczęło się zamieszanie, zanim zdumiony przerażony policjant zdążył ją zatrzymać, sama zwróciła się do niego:

- Proszę odprowadzić mnie na policję.

Do pana podkomisarza Semmera.

Podkomisarz Semmer był młodym jeszcze człowiekiem.

Miał się teraz po swoim gabinecie w odświętym mundurze, ponieważ prosto z gmachu policji miał iść z matką na raut do ratusza, Matka dzwoniła już dwa razy, że czeka i oto teraz wyskoczyła mu ta głupia historia.

Dwóch aniołów stróżów stało przy drzwiach ze skruszonymi minami.

Matka Kranz poruszyła się na krześle.

To już koniec - powiedziała.

- Teraz już naprawdę koniec!

Może mnie pan więcej nie zamykać.

- Koniec?

- wrzasnął Semmer przystając przed staruszką.

- Ktoby pani wierzył?

Matka Kranz zamrużyła powiekami zdumiona, że ktoś może podawać w wątpliwość jej słowa.

- Naprawdę koniec - powtórzyła cicho i dodała, szukając drżąca ręką chusteczki w torebce: - Boja ich miałam trzech.

I wszyscy trzej zginęli.

Wszyscy trzej zginęli, a ja dopierowtedy zrozumiałam, że nie zrobiłam nic, żeby ich ratować.

Semmer patrzyła na nią bez słowa.

Jeden z aniołów stróżów podniósł głowę i zerknął ku drugiemu.

- Więc postanowiłam.

postanowiłam przynajmniej ich pomścić Pierwsza bomba była za Rudolfa - padł

pod Romy w Afryce Druga za Heinza - poległ w Rosji podczas odwrotu - Trzecia.

- Dosyć! - krzyknął Semmer, wracając do swego biurka.

- Dosyć!

- Trzecią rzuciłam za Gerharda.

Zestrzelili go nad Londynem czterdziestym czwartym, i to już koniec!

Miałam trzech synów - topanu kaŝdy potwierdzi, na całej Seestrasse wszyscy wiedzą, ilu synów miała matka Kranz.

Na biurku zadzwieczał telefon.

Semmer pośpiesznie podniósł słuchawkę.

- Już idę!

- zawołał.

- Już idę!

Przepraszam - wie mama, znowumiałem historię z tą starą wariatką.

1962.

## Wszystko jedno gdzie

Nie dla wszystkich Paryż jest taki sam.

Jego ulice i place, domy, pomniki, skwery i parki, nadbrzeże Bulwary, Sekwana między nimi, i to, co pozornie nieuchwytnie - nastrój, zapach, światło nazywające pory dnia porankiem, południem, czy zmierzchem, to całe widzenie Paryża, przejęcie się nim, które jest od tego, skąd się do niego przybywa.

Dla niej - Marek mocniej przytulił śpiącą przy nim Gaby - było to nieduże miasto, ozdobione starościami i historią, których tak brakowało Nowemu Jorkowi.

Dla niego po ubóstwie miejsc, w których przebywał, zanim tu przyjechał, po ich spalonej słońcem pustej, jałowej przestrzeni i po tym, co oglądał, w czym był przedtem i co bardzo kochał nie pozwalając sobie na śladne oceny i porównania - ta stolica świata, jak mniemał od najmłodszej młodości, miała urok spełnionego marzenia, niezwykłość wyobrażenia od lat przeszłości.

Dla Gaby Petersen było to urbanistyczna ciekawostka turystyczna - jedna z pierwszych oczywiście - jaką należało zaliczyć rozglądając się po świecie.

On "schował" sobie Paryż głęboko w pamięci, żeby go zawsze mieć i nie sprzeniewierzyć się mu nawet, gdyby miał kiedyś doznać równie silnych wrażeń.

Dwa tygodnie, na które się komusiał pracować na owej spalonej słońcem, pustej, jałowej przestrzeni, były prawdziwym świętem w jego życiu i sławny amerykański pisarz musiał tak nazwać książkę o swoim pobycie w Paryżu - poprostu nie było innego określenia. Dwa tygodnie cudownych przebudzeń ze świadomością, że za oknem jest miasto, które tak bardzo chciało się zobaczyć, dwa tygodnie nie kończących się po nim wędrówek, olśnień, radości i beztróski, dwa tygodnie - które właśnie się skończyły.

Jutro o godzinie dziesiątej rano jego samolot lądował tam, skąd tu przybył, i nie można było wyobrazić odłosa nawet pięciu minut dlatego miasta i.

dla Gaby.

Dla Gaby tak.

Już jej powiedział, że się rozstają, ale chyba w to nie uwierzyła, bo jednak spała zamiast płakać albo wyrzucić go z łóżka, skoro okazał się przygodnym znajomym, który kompromituje dziewczynę przednią samą, nie pozostawiając nawet wspomnień.

Spała, a on miał wstać i pójść stąd i udawać - mocny Boże!

Udawać przez całe życie - że nic się nie stało, poprostu rozstał się z dziewczyną,

którą poznał w Paryżu, a która była nie dla niego, tak jak on był nie dla niej; i Paryż, i ona to było święto, a święta prędko się kończą, o wiele prędzej, niż wszystkie inne dni, wiedział o tym od początku, i ona od początku powinna była o tym wiedzieć, ale nie wiedziała, nie chciała wiedzieć, nie chciała się z tym pogodzić, och, jakie to było piękne, że nie chciała.

Spotkały się od razu drugiego dnia po przyjeździe, stała na rogu jakiejś ulicy i nie wiedziała, w którą stronę udać się, więc przeprosiła go i zapytała, którądy powinna pójść, żeby znaleźć się na Place St.

-Michel.

Ponieważ on tak tego nie wiedział, roześmiali się i zostali już ze sobą, żeby razem zwiedzać Paryż, żeby razem w nim być. Była prawdopodobnie zwykłą amerykańską dziewczyną, może nieco ładniejszą, no i chyba zamożniejszą niż inne, ale jemu, kiedy po raz pierwszy na nią spojrzał, wydała się doskonałością od spiętrzonej na głowie brązowych lśniących włosów po równie błyszczące świeżym lakierem paznokcie u stóp w białych sandałach.

Miała na sobie sztalę sukienkę bez rękawów, a jej skóra musiała dobrze znosić słońce i nie po raz pierwszy stykała się z nim tego lata.

Z dużej czerwonej torby wyjęła tę książkę Hemingwaya, nazywającą Paryż już w swoim tytule "Ruchomym świętem" i od razu pokazała mu strony, gdzie były wymienione ulice, przy których pisarz mieszkał w kawiarni, w których lubił pracować, popijając rum St.

James lub tylko cafe creme.

Musiała wszędzie tam pójść, żeby po powrocie do Stanów powiedzieć o tych miejscach dziadkowi, który w sierpniu czterdziestego czwartego roku wraz z Hemingwayem i wojskami alianckimi oczywiście - wkroczył do wolnego Paryża, i bardzo był z tego dumny, interesując się od tej pory wszystkim, co dotyczyło wielkiego pisarza.

Najpierw więc zwiedzali Paryż tą książką w ręku, a kiedy byli wszędzie tam, gdzie był on, przyszła pora, żeby kupić porządny przewodnik po tym mieście, ale już wtedy dzielili czas między miasto i siebie, siebie tylko ze sobą, we dwoje, bez nikogo obok, bez cudzych oczu i uszu.

Nie powiedział jej, że ją kocha, i ona mu chyba tego tak nie powiedziała, ale oboje wiedzieli, że dzieje się między nimi coś ważnego, co, być może, nie powtórzy się z nikim innym, już nigdy nie powtórzy się z nikim innym, i kiedy to się wie, wszystko wokół

nabiera jakby innego sensu, radość z istnienia drugiego człowieka staje się bezustannym olśnieniem, każda godzina ma sześćdziesiąt cudownych minut i nie ma żadnych przerw w tym, co można by nazwać po raz pierwszy w życiu doznawanym szczęściem, gdyby miało się odwagę na wypowiedzenie tego słowa.

I po tym wszystkim powiedział jej, że ma bilet na jutrzejszy samolot i że się nie zobaczą nigdy więcej.

Nie uwierzyła.

Zaczęła się śmiać całować go gwałtownie, a potem przyłgnęła do jego boku i zamruczała, żeby nie śartował, kiedy jej się chce spać i jestna w pół przytomna.

Więc próbował tak się zasnąć, dwie, trzy godziny mógł tu jeszcze zostać, w jej pokoju, w jej hotelu, akurat dziesięć razy droższym od pensjonatu, w którym on się zatrzymał- ale nie mógł zmruszyć oka, oszalałe zwierzętko sięw jego piersi, a myśli kłębiły się pod czaszką pogmatwane, sprzeczne ze sobą, poszarpane i po raz pierwszy w życiu tak bardzo smutne.

Trzeba było z tym skończyć, skończyć jak najprędzej, uniósł się na łokciu, pochylił się nad Gaby i pocałował to śliczne miejsce na jej czole, w którym zarysowane mocnym łukiem brwi zraszały się prawie ze sobą ciemnym aksamitnym puszkim.

Obudziła się od razu i patrzyli sobie w oczy z bliska, a w jej spojrzeniu zaczęło budzić się zrozumienie tej całej prawdy, w którą przedtemnie wierzyła, którą uważała za śmiech jego strony.

- Nie - powiedziała cicho z rodzącą się rozpaczą.

- Nie!

Pocałował jeszcze raz to śliczne miejsce między jej brwiami, a rozszalałe zwierzę w jego piersi szarpało ją teraz nakawałki.

- Kochanie!

- powiedział najczulej, jak mógł, łagodnie i przepaszająco, a tak się z tą samą rozpaczą, która była w jej głosie.

- Obróć się dościany i staraj się zasnąć.

- Nie!

- krzyknęła.

- Bardzo cię proszę.

A kiedy się obudzisz, mnie tu już nie będziei wszystko wyda ci się takie samo, jak przed dwoma tygodniami Zerwała się gwałtownie i usiadła na brzegu łóżka,

- Nie!

powtórzyła jeszcze raz.

Usiadł tak się, objął ją i zakotłosał, jakby była małym dzieckiem, które można byle czym uspokoić

- Niczego sobie nie obiecywaliśmy.

było,

Bo nie wiedzieliśmy.

nie mogliśmy wiedzieć, że będzie tak, jak

- Ale jednak muszę wracać.

muszę wracać tam, skąd przyjechałem.

Spuściła głowę, włosy zasłaniały jej twarz.

- Pojadę z tobą - powiedziała cicho.

Przestał kołysać nią, opuścił ramię.

Poczuł się zupełnie bezradny.

- Kochanie, bardzo cię proszę.

- Chcę być z tobą wszystko jedno gdzie.

- Niewiesz, co mówisz.

Wszystko jedno gdzie.

Są ludzie, którzy pasują do siebie tylko na bardzo krótko.

I my do nich naleśyśmy.

- Niewiem, o czym mówisz.

Wiesz.

Doszłabyś do tego wniosku bardzo prędko.

Gaby uniosła kolana, objęła je ramionami i ukryła na nich twarz.

O, Boże!

że teś musiałam akurat ciebie zapytać o drogę na St^Michel!

Dlaczego nie zaczęłam jakiejś baby, albo pierwszego lep?

szego staruszka?



Tylko akurat ciebie.

akurat ciebie!

"-Nie płacz!

- A możesz wymyślić dla mnie coś lepszego?

^ - Poproś recepcję hotelu, żeby ci załatwili bilet na samolot, wrócisz do domu i wszystko nabierze od razu właściwych proporcji.

A - Czy te.

właściwe proporcje tam, dokąd jedziesz, tak się oznaczają ratunek?

i, - Myślę, mam nadzieję, że się nim okaże.

Podniosła głowę, rozejrzała się po pokoju.

Jej twarz była mokra

zaczerwieniona od płaczu, ale już spokojna.

- Podaj mi bluzkę.

- Zostań w hotelu!

- Podaj mi bluzkę!

Odprawię cię do twego pensjonatu.

O której

masz jutro samolot?

-- O dziesiątej.

„Zamyśliła się patrząc gdzieś daleko przed siebie.

„ - Dobrze.

^ - Co to znaczy?

- No.

mam jednak trochę czasu.

' - Co chcesz zrobić?

I-Nic.

absolutnie nic.

Niczego nie zapomniałeś?

- zapytała, kiedy

oboje byli już ubrani i gotowi do wyjścia.

- Chyba nie -odparł machinalnie, nie sprawdzwszy nawet, czy ma zegarek na ręce i dokumenty w kieszeni.

# 123.

Gaby przełoŜyła klucz na zewnêtrzną stronê drzwi.

- Pośpiesz się- zawołała - mamy windê!

W ciasnym jej kwadracie stali przy sobie blisko, ale nie objęli się, jak to zwykli robić, gdy byli gdzieś sami.

On tylko zapytał z niezwalczoną nutą popłochu w głosie:

- AmoŜe.

wolisz wstąpić do baru na dole na małego drinka?

- Nie, dziękuję.

Nie wolę wstąpić do baru na małego drinka.

O tej późnej porze w hallu hotelu było zupełnie pusto.

Tylko senny recepcjonista kiwał się nad swoim stołkiem za ladą.

Na widok Gaby

oddającego klucz - oprzytomniał.

- Czy sprowadzi taksówkę?

- Proszę się nie trudzić.

Nocą w ParyŜu powinno się spacerować.

- Tak jest, madame - uśmiechnął się.

Urok miast odwiedzanych przez turystów był najlepszym wspólnikiem hotelarzy.

Letnia noc nie zapędzała ludzi do domów.

Pośród zajętych sobą przechodniów, zakochanych par objętych ramionami, widzów opuszczających kina po ostatnich seansach i nie śpieszących się nigdzie starszych panów, którzy właśnie wypili ostatnią szklaneczkę wina w swoim bistro - szli przez długi czas w milczeniu.

Przerwał ją Gaby:

- Dlaczego nic nie mówisz?

Przystanął, spróbował jeszcze raz perswazji:

-Kochanie!

Obiecałaś, że będziesz rozsądna.

- A nie jestem?

Dowszystkich piorunów!

Nie jestem?

- Nie.

Utrudniasz mi to, co i tak nie jest łatwe.

- Nie?

- zapytała ich łagodniejąc.

-Nie jest łatwe?

- Wiesz dobrze, że nie.

Objęła go gwałtownie.

Stalipółnocu fali nocnych przechodniów,ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Przytul mnie, przygarnij - trzymaj mocno i powtórz to Jeszczeraż!

-Wiesz dobrze, że nie.

- Tak jakiegoś obcy chłopak.

- zaszeptala, nie odrywając ust od jego piersi - w dźwiękach i niezbyt świeżej koszuli.

Chłopak, który napewno nie wyszedł od Ritza ani od Hiltona.

z podniszczoną torbą nie za dobrze ostrzyżony.

taki chłopak mówi: na Place St.

-Michel trzeba byba skrócić na prawo - i nagle wszystko się kończyi wszystko się zaczyna, już nie chce się widzieć kawiarni, w której Hemingway pijał kawę i rum, a najpewniej rum bez kawy, nie chce się widzieć nic, co się miało zobaczyć i o czym miało się opowie dzieć dziadkowi: ten chłopak jest nagg ^mejszy od tamtych spraw, ten chłopak jest w ogóle najważniejszy

- Gaby!

i to ma być tenrozsądek.

- Do diabła z nim!

Mamza sobą<sup>""</sup>ral<sup>^</sup> Śycia piekielnie rozsądnegoi wreszcie zamierzam z tym skonc<sup>^</sup>P1'2<sup>^</sup>mnie i trzymajmocno.

To niemożliwe, żebyśmy by], iud<sup>^</sup>którzy pasujądo siebieylko na krótko.

- Ale tak jest,kochanie, takjest napraw<sup>^</sup>

-Przestańwciąż mówić "kochanie to słowo w naszym językuw ogóle nic nie znaczy.

- Ozdabiam je wszystkimi znaczeniami wszystkimi cudownymiznaczeniamimego języka.

i właśnie teraz, kiedy musimy się rozstać.

i teraz także.

Może teraz zwłaszcza.

Uwolniła goz uścisku iznowu

w<sup>""</sup> milczeniu, aś na jakiejśbocznej uliczce zatrzymali się przed nienoz<sup>^</sup>1'1<sup>^</sup>1 budynkiem.

- Kochanie - jeszcze raz cię tak na/wę<sup>""</sup> to<sup>^</sup>est <sup>^^</sup>"rój Pasjonat.

-No, tak.

- szepnęła Gaby.

To jest bardzo przyzwoity -

hotelik, w którym możnatakże całkiemdobrze zjeść, bo gotuje <sup>^^</sup>właściciela.

Zresztą podczas tego pobytu najwłaśniejszy był głównie Paryż.

A poza tym.

poza tym nie mamzbyt wielkich wymagań.

- I naprawdęmusisz jutrojechać?

-Muszę - odpowiedział głucho.

Powinna już była pójść, nie było nic więcej do powiedzenia i niegodne dziewczyny takiej, jak ona, powinno

W sie to przedłuŜanie rozstania i tak juŜ dostatecznie Za długiegojednak zapytałaJeszcze:

- Napiszesz do mnie?

Obiecałeś!

Parnigt ocoś!

- Napiszę, i pewnie dopiero z listu dowiesz się.

- trzymał napiersiach jej obie ręce i dławił się Salem "obsadzającymkaSde słowo.

-Nigdy nieumiałem mówić, zwłaszcza gdy-- Zwłaszcza, gdy co?

- zapytała z nadzieją. Puścił jej ręce, cofnął się okrok, tak ji-iŜ nie był moŜliwy S adenuścisk, ani pocałunek.

- Napiszę.

I nie myślo mnie źle.

- Idź juŜ!

- powiedziała twardo.

\\^^"- "ie myśl o mnie źle.

Przestraszył się.

- Ja o tobie?

- MoŜe będziesz miał jakiś powód.

Idź!

\ mocno zatrzaśnij drzwi,choćbyś miał pobudzić wszystkich gości w tej budzie.

Bliskie światło latarni oświetlało ją całą i jeszcze widział ją odczubka potarganych włosów po stopy w płtykach sandałów, Jeszczetu byłajeszcze moŜna było.

- Do widzenia, Gaby!

- powiedział.

Odwróciła się juŜ i szła, ale przystanąła jednak na chwilę iprzechyliła ku niemu głowę.

W jej oczachbyi jakiś biask,ale chyba byłoto tylkozłudzenie.

- Tak, powiedzmy sobie jednak - do widzenia.

Wpadł do małego kantorku, który przy pobłażliwym przerośnięciu wyobraźni mógłby być uważany za hotelową recepcję.

Stary człowiek, grający sam ze sobą karty, odłożył je i uniósł się na jego widok.

- Siódmkę proszę!

- powiedział pośpiesznie, bojąc się, że zechce zatrzymać go rozmową.

Obawa była uzasadniona.

Starszy pan się uśmiechnął.

- Ale pamiętam, panie doktorze.

I naprawdę opuszcza nas pan jutro?

Marek chwycił klucz, postawił nogę na pierwszym stopniu schodów.

- Co zrobić?

Może tak, że w przyszłym roku uda mi się przyjechać tu na urlop.

- Zapraszamy!

- starszy pan pochylił głowę w ukłonie.

- I niech pan dobrze śpi przed podróżą - Dziękuję.

Dobranoc.

Rozmowny zwykle lokator wydał się dziś recepcjoniście jakiś dziwny.

Odprowadził go zdumionym wzrokiem aż do podestu schodów i gdyby miał na to czas, prawdopodobnie zastanowiłby się nad tą przemianą.

Ale dzwoneczek u drzwi zakłócił się znowu i do kantorki weszła - dziewczyna.

Te, które tu czasem przychodziły o tak późnej porze, mylnie łącząc wyglądem pensjonatu brak zasad u jego właścicieli - wyglądały inaczej.

Tawdała mu się nagle świeżość powietrza w tym zatęchłym wnętrzu i mimo woli odetchnął głęboko.

-Madame.

Dziewczyna podeszła bliżej i oparła się o łade.

Jakby jednak była bardzo zmęczona.

- Ten pan, który tu wszedł przed chwilą.

zaczęła cicho.

-Tak?

- Czy.

przepraszam, niechmnie pan źle nie zrozumie.

Ten pan jutro wyjeżdża.

- Tak, pokój będzie wolny.

-Właśnie - oświła się i spojrzała na starego recepcjonistę z wyraźną wdzięcznością.

- Mówiłmi.

- Chce go pani wynająć?

-Taak.

- powiedziała najpierw niepewnie, a potem z rodzajem się, choć dumiewającym ją samą postanowieniem.

-Tak! Bardzo mi na tym zależy.

Proszę - wyszarpnęła z torebki zwitek pieniędzy - płacę za tydzień.

Nawet gdybym jutro.

gdybym jutro nie zajęła, zależy mi, żeby - nikt w nim nie mieszkał.

-Nie rozumiem.

- Boten pan.

może wróci.

- Doktor?

prawie roześmiał się staruszek.



- Lecido Lome wTogo.

Pojutrzemusi być w swoim szpitalu.

Taka posada z ramienia UNESCO czy UNICEF nie jest chyba najgorzej płatna izaleŚy mu,Śeby go nie wylali.

-No..

to Jednak Afryka.

Afryka!

Nie wiem,czy prędko znaleźliby kogoś najegomiejsce.

- Zamilkła na chwilę, a potem szepnęła prawie z przeraŚeniem.

-Więc to Lomć.

Lome w Togo.

- Alesamolot tylko do Akry w Ghanie.

-A...

dalej?

- Potem samochodem.

Ma po doktora przyjechać jakiś ksiądz, jakiś misjonarz jeepem.

- Jeepem.

-MoŚe pani sobie wyobrazić jakietam są drogi.

- WyobraŚam sobie.

-Więc od jutra ma pani pokój.

- ...

ale gdybym sienie zgłosila-niech czeka pusty.

- Nam wszystko jedno, madame.

Będzie go pani mogła zając kaŚdejchwili.

- Dobranoc!

- podeszła do drzwi i nimje otworzyła, odwróciła się istarszy pan zobaczyłjak ślicznie potrafi się uśmiechać.

-Dziękuję panu!

- AleŜ za co?

- zawołał.

- Był pan taki miły.

I...

bardzo mi panpomógł.

W czym?

zastanowił się staruszek, kiedy wyszła.

BoŜe drogi!

pomyślał.

Jakie dziwne dziewczyny chodzą teraz po świecie.

Kiedy ktoś się urodził wNowym Jorku, Ŝaden ścisk, gwar i ruchwkaŜdym innym miejscu świata nie wydaje mu się oszałamiający.

Gaby,przedzana przezbagaŜowego, którego zdobył dla niej taksówkarz, dostawszy się wraz z jej walizkami spod drzwi hotelu nalotnisko w Orły - starała się tylko wyłowić z panującego tu zgiełkuinteresującą informację.

Megafony nie milkły nawet na chwilę, kobiece głosy przenikałynie tylko główny hali, ale i wszystkie pomieszczenia lotniska, byłysłyszalne nawet na zewnątrz wśród tłumu przy wszystkich wejściach.

- Odlot samolotu doLondynu, rejs numer 1283,wyjście siódme- Wylądował samolotz Nowego Jorku, numer rejsu 34952.

-PasaŜerowie odlatujący do Damaszku proszeni są do odprawycelnej.

- Wylądował samolot z Moskwy, numerrejsu 14812.

-Pan Peter Clydefbrth!

PanPeter Clydeforth proszonyjest o odbiór zgubionych dokumentów w okienku dziewięćdziesiątym czwartym.

- Samolotdo Rio de Janeiro, numerrejsu 17332.

Prosimy pasażerów, żeby szybciej zgłaszali się do odprawy celnej.

- Wylądował samolot z Rzymu, numer rejsu 27914.

- Pani Denise Legeot, udając się z dziećmi i pseudo Colombo, proszona jest o zgłoszenie się w stacji sanitarnej.

- Samolot do Akry, numer rejsu 9618.

Pasażerowie proszeni są do odprawy paszportowej w okienku dwudziestym dziewiątym.

Po tym ostatnim komunikacie Gaby dotknęła pleców bagażowego.

- Prędkiej!

Okienko dwadzieścia dziewięć!

Samolot do Akry!

Stali tu już w kolejce przeważnie ciemnoskórzy pasażerowie.

Ale byli i tacy, którzy nie lecieli "do domu", tylko na spalonej słońcem ziemi Afrykanów mieli jakieś swoje białe interesy - i on był wśród nich, choć nie wyglądał na biznesmena i nie mógł

na niego wyglądać nawet za kilkadziesiąt lat.

Przebiegła się wzdłuż kolejki i z tyłu chwyciła go za ramię.

- Dzień dobry!

Odwrócił się gwałtownie, zmartwiało.

- Gaby!

- Ja! - uśmiechnęła się pogodnie.

- We własnej osobie.

Powiedzieliśmy sobie przecieś do widzenia.

- Ale to niedorzeczne.

Po co to zrobiłaś?

- Co mianowicie?

- Jechać tu taki kawał drogi - przecieś pośgnaliśmy się wczoraj.

- No i dziś się witamy.

Lecę z tobą do Akry!

- Gaby!

- Proszę pana!

Pana paszport!

- oficer straży granicznej wychylił się z okienka; zdumionym wzrokiem obrzucił pasażera, który znalazłszy się przed nim, nie przedstawił od razu dokumentu.

128

- Przepraszam - Marek przytomniał z trudem, drżącą ręką wsunął swoją kieszkę paszportową w wykrój szklanego okienka.

Francuz wzięwszy dwa palce, otworzył, przyjrzał się nieufnie obco brzmiącemu nazwisku.

- Pan.

Marek Laskowski.

z Polski.

- Tak - potwierdził.

Oficer przyjrzał się teraz jego twarzy, porównując ją z paszportowym zdjęciem.

- Ma pan wizę.

- Togijską.

Lecę do Akry, ale stamtąd.

- W porządku - Francuz oddał paszport i zwrócił się do Gaby.

- Pani.

Gaby trzymała w ręku swój paszport i odrazu była gotowa go pokazać.

- Proszę.

Mam taką wizę togijską.

Dzisiejszej daty!

- Dzisiejszej daty?
  - uśmiechnął się oficer niedowierzająco, zerknął na zegarek, a potem przyjrzał się dacie podpieczętą.
  - Rzeczywiście!
  - No, widzi pan!
  - uśmiechnęła się także Gaby.
  - Nie ma rzeczy niemożliwych.
  - Oszalałaś!
  - szeptał Marek za jej plecami.
  - Zupełnie oszalałaś!
  - W porządku, dziękuję - Francuz zwrócił jej dokument, patrzył już na następną osobę w kolejce.
  - Proszę się przesunąć!
  - Gaby!
  - Marek wciąż nie wierzył swoim oczom.
  - To naprawdę szaleństwo!
  - Dlaczego?
  - uśmiechnęła się pogodnie, choć usta jej drżały.
  - W Afryce jeszcze nie byłam,
  - Nie zdajesz sobie sprawy.
  - Znakomicie zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, co robię.
- Staram się udowodnić, że chcę być z tobą wszystko jedno gdzie tylko w Paryżu, ale i w Afryce, w jakimś tam Lome w Togo, panie doktorze Laskowski, leczący Murzyniątka z ramienia UNICEF.
- Dla ścisłości - te Murzyniątka lecę w miejscowości Bassar.
- Czteryście pięćdziesiąt kilometrów na północ od stolicy kraju Lome.
- Czteryście pięćdziesiąt kilometrów.
  - Gaby przełknęła ślinę.

I ciszej zapytała:- Czym?

-Jeepem oczywiście.

- To już razem.

- Gaby zaczęła wyraźnie tracić pogodny nastrój-to już razem sześćset pięćdziesiąt.

- Tak-jeśli dodać dwieście z Akry do Lome.

Dobrze jesteś poinformowana.

- A ty zbyt łatwo zwierżający się recepcjonistom.

-Mogłem się tego domyślić.

- Pasażerowie odlatujący do Akry - odezwał się nakazujący pośpiech głos w megafonie - numer rejsu 7618, proszeni są o zgłoszenie się do odprawy celnej.

Gaby skinęła na swego bagażowego.

- Jeszcze terazmożesz się rozmyślić- Marek zastąpił jej drogę.

Potrząsnęła głową, usta przestały jej drżeć, znów sprawiała wrażenie, że świetnie się bawi.

- Nie rozmyślę się.

Dziadek będzie zachwycony, jeśli mu napiszę, że śladami Hemingwaya zawędrowałam aż do Afryki.

- Wciąż uważasz, że to zabawa.

Nie poddałaś się ochronnym szczepieniom.

Wspięła się na palce i szybko pocałowała go w policzek.

-Ale zato podjął się opieką, panie doktorze Laskowski!

Megafony w dalszym ciągu podawały różnojęzyczne informacje:

- Wylądował samolot z Oslo, numer rejsu 9763.

-Pan Peter Clydeforth!

Pan Peter Clydeforth proszony jest o odbiór zgubionych dokumentów w okienku dziewięćdziesiątym czwartym.

- Pasażerowie odlatujący do Teheranu rejs numer 6320- przygotowują się do odprawy celnej.

-Odlot samolotu do Belgradu.

Rejs numer 72012, wyjście ósme.

- Pani Denise Legeot, udająca się z dziećmi i psem do Colombo.

Czekając na odprawę celną słuchali obydwojetych komunikatównieświadomi tego, Śew tej samej chwili dokonywał się zapisich losuw nie istniejącej księdze, niewidocznymi, ale trwałymi literami.

Pokój w hotelu w Akrze miał klimatyzację, ale podróż z lotniskabyła męcząca.

Upała bliskość spoconych czarnych ciał wprzepelnionymautobusie podziały na Gaby deprymująco, choć bardzosięstarła nie okazać tego przed swoim towarzyszem.

Ojca Cyryła, owego misjonarza, który ze swoim jeepem miał czekać na doktora Laskowskiego, Śebygo zawieźć do Bassar -jeszcze niebyło,mieli więc trochę czasu na odpoczynek.

Marek zostawił dla niego wiadomość w recepcji i zabrawszy z restauracji kilka butelek wody mineralnej,wrócił do pokoju.

Gaby zdążyła już wziąć prysznic i owinięta ręcznikiem kąpielowym siedziała na brzegu łóżka, niezbyt pewna, czy może się na nim położyć, choć wyglądało świeżo i czysto.

Rozpromieniła się na widok butelek.

130

- Och, jak dobrze, że przyniosłeś wodę!

Umieram z pragnienia!

Marek otworzył butelkę, nalał wody do szklanki.

Jego twarz miała

wciąż ten sam surowy wyraz, którego nie straciła nawet na chwilę od spotkania na lotnisku w Orły.

- Pamiętaj, że nigdzie nie wolno ci pić nieprzegotowanej wody.

-Pamiętam - przyrzekła pokornie.

- I niechcinnie przychodzi do głowy kupowanie czegośkolwiek dojedzenia na ulicznych straganach.

-Możesz być spokojny.

- Gabypociągnęła nosem.

-Co to za.

odór?

- Ten smród, chciałaś powiedzieć.

To właśnie jest Afryka.

Miejska Afryka.

Bo w sawannie czy w buszu, zdarzają się, że pachnie.

O ilew pobliżu nie rozkłada się padlina nie dojedzona przez hieny, albo.

- Chcesz mnie przestraszyć.

-Czy można czymkolwiek przestraszyć osobę tak odważną i samodzielną?

Gaby nastroszyła się tak że.

- Owszem - takim tonem.

Czy nie możesz być znowu chłopakiem, który nie najlepszą angielszczyzną powiedział: Na Place St.

-Michel trzeba chyba skrócić na prawo?

- Wybierając się do Togo poprawiałem wyłącznie mój francuski.

To tutaj język urzędowy.

- Zdałam zauważyć.

Czy masz jeszcze coś ciekawego do dorzucenia o republice togijskiej?

-W Bassar.

- Gdzie?

-W Bassar, tam pracuję.

- Od Akry sześćset pięćdziesiąt kilometrów jeepem - westchnęła Gaby.

-Dokładnie.

Oto w Bassar dam ci coś do poczytania o Togo.

- Coś niecoś dowiedziałam się sama.

-Kiedy?



- Dziś rano, kiedy starałam się o wizę togijską.

Marek nie mógł się uśmiechnąć.

-Brawo!

- Widzisz.

Mam nadzieję, że z biegiem czasu przekonasz się, że podróż wiedzy nie jest jedyną moją zaletą.

Oto w informatorze, który przerzuciłam czekając na wizę, podano następujące dane o Togo: powierzchnia wysłana-górzysta, klimat gorący, sawanny; słabo rozwinięty kraj rolniczy, uprawa kawy, kakaowca, prosa, sorga, manioku, kukurydza.

kurydzy, orzeszków ziemnych - wydobycie fosforu.

Od początków XIX wieku penetracja europejska; od 1884 protektorat niemiecki, po 1918 terytorium mandatowe - po 1945 powiernicze - francuskie i brytyjskie; część brytyjska po 1957 w składzie Ghany, część francuska od 1956 autonomiczna republika w ramach Unii Francuskiej, od 1960 niepodległa republika Togo; członek ONZ od 1960.

-Brawo"

- Nareszcie się rozchmurzyłeś.

Wiadomości niechybnie poszerzę i pogłębię przez autopsję.

Poza tym, jeśli chcesz wiedzieć, w co!

Umięłam najlepszy stopień z geografii, moja rodzina przejawiała zawsze zamiłowanie do zwiedzania świata.

- Gaby zamilkła raptownie.

-No, tak.

Szkoda tylko, że nie wszystkie podróże kończyły się dobrze i niewszystkie miały charakterystyczny.

Rodzice, jak wiesz, zginęli w katastrofie lotniczej, a brat- Gaby znów urwała, po czym gwałtownie zmieniła temat.

- Ojca Cyryla jakoś nie widać.

- Na pewno przyjedzie.

Umówiliśmy się, że dziś przylecę i będę czekał w tym hotelu.

Może ma coś do załatwienia w tujszej stacji misyjnej.

- Co to za zakonnik?

-Werbista.

Zgromadzenie Słowa BoŜego.

- O ile zdołałam zauwaŜyć - zaczęła Gaby ostroŜnie - to ty.

-Dobrzezdołałaś zauwaŜyć.

Ludzie z róŜnych źródeł czerpią swoje nakazy moralne, ale to wcale nie znaczy, Ŝe one muszą róŜnić się od siebie.

- A poza tym wszystkim -przyjaźń?

-Tuna ogół biali zawsze przyjaźnią się ze sobą.

Gaby nie potrafiła poskromić niecoironicznego uśmiešku.

- TojuŜ pierwsze uchybienie w szczytnym posłannictwie pełnionym w Czarnej Afryce.

-Uchybienie?

Nie przychodzi nam to do głowy.

- Boty urodziłeś się w Polsce, ojciec Cyryl.

-W Belgii.

- ...

aja, mój drogi, w Stanach Zjednoczonych.

Co zrobimy, jeŝli nie przyjedzie?

- Gaby znów pośpiesznie zmieniła temat.

-Kto?

- Ten twój ojciec Cyryl z zakonu werbistów.

-Powiedziałem ci, Ŝe to niemoŜliwe.

-Ale jednak,

- Gdyby nie przyjechał, co absolutnie nie jest moŜliwe, wzięlibyśmy busz-taxi.

-Co takiego?

- Busz-taxi.

Przybysze z Mali i Nigerii, Murzyni-muzułmanie, najlepsi, ale bezlitośni jako kupcy, dorabiają się tu pieniędzy nawszystkim - między innymi na uŜywanych tu w charakterze małych autobusów japońskich toyotach.

- No to nie czekajmy na ojca Cyryła, tylko weźmy tę toyotę- Chyba lepsza od jeepa?

- Alei tak musielibyśmy czekać, aŜ zbierzesię pełny skład do Lome.

- Do diabła!

MoŜna przecieŜ zapłacić za ten pełny skład i nie cisnąć się z Murzynom w jednej budzie.

Przepraszam.

- Prędzej czy później zdarzy się sytuacja, gdzieś busz albo na pustyni, gdzie na nic zdadzą się twoje dolary.

Afryka uczy pokory.

Nie radzę ciodrzuć jej pierwszej lekcji.

- Powiedziałam: przepraszam!

" Gaby podniosła głos, ale zaraz tego poŜałowaa.

- Czy to ktoś pukał?

Marek podszedł spiesznie do drzwi.

- To, zdaje się, w samą porę ojciec Cyryl.

Jestem!

Jestem tu, ojczu!

- zawołał do zakonnika, stojącego w progu.

Zapraszając go do środka, dodał z zakłopotaniem.

- 1 to - niesam.

Ojciec Cyryl był wysokim, kościstym mężczyzną o rudawym zarostie; długabroda, której mógłby mu pozazdrościć sam Pan Bóg nawszystkich kościelnych obrazach, miała jednak kolor o wiele ciemniejszy od buńczucznie sterczących na głowie włosów wyraźnie w barwie marchewki.

Wyściskawszy doktora, zwrócił ku Gaby rozpromienioną twarz, wcale nie speszony jej strojem.

- Witam panią!

Wszystkie stacje misyjne od dawna na panią czekają.

- Pani nie jest dziennikarką z "Le Monde" - wyjaśnił wciąż zmieszany Marek.

- Pani.

- ...

Gaby Petersen z Nowego Jorku - przedstawiła się sama.

-Jeśli to ojcu miało sprawić satysfakcję, mogę napisać korespondencję na przykład do

"Newsweeka".

- Och - zakonnik znakomicie zapanował nad rozczarowaniem, jakie go spotkało -dla naszej pracy nie ma to istotnego znaczenia, ale młodzi ludzie, którzy nie zastanawiali się dotąd nad poświęceniem swego Śycia misjom.

-To miłe z ojca strony - uśmiechnęła się Gaby, przytrzymując pod samą brodą ręcznik kąpielowy - posadzać mnie o taką siłę inspiracji<sup>133</sup>.

- Człowiek niewiele wie o swojej sile, madame, i dobrze -jeśli ktoś drugi ją obudzi.

-Dziękuję - szepnęła, niezdając sobie sprawy, zaco właściwie dziękuje.

- Na razie trzeba obudzić w Gaby inną siłę.

- Marek przerwał rozmowę -jeep ojca przeraża ją od chwili, w której nim usłyszała.

- Mój jeep?

- zdumiał się zakonnik.

-Jest znakomity!

Gaby chwyciła swoje rzeczy skierowała się ku łazience.

- Mam nadzieję, że nie będę innego zdania -powiedziała uprzejmie.

Wróciła po chwili w sukience, z uporządkowanymi włosami, i stanęła przed zakonnikiem, jakby miała zamiar jeszcze raz mu się przedstawić.

A w ogóle ojcu należało się cała prawda: oto któregoś dnia w Paryżu, a był to bardzo piękny dzień, panna Gaby Petersen z nie najlepszej amerykańskiej rodziny - zaczęła na ulicy doktora Marka Laskowskiego pytając go, w jakim kierunku powinna się udać, żeby trafić na Place St.

-Michel.

On takŜe nie wiedziaÅ, ale resztę Jegourlopu spędzili juŜ razem, a teraz.

teraz taniedorzeczna Amerykanka pragnie dowieŝ bardzo sceptycznemu Polakowi, Ŝe wszystkojedno gdzie.

- Gaby- doktor spojrzÅ na niÅ z wyrzutem- to naprawdę ojciec obchodzi.

-Myŝlę,Ŝe wprost przeciwnie.

ChciaÅby pewnie wiedzieć.

Zakonnik wziÅ jej obie ręce, ŝcisnÅ mocno.

- Och, madame!

Podczas mojej pracy nauczyÅ się traktowaćwszystkich spotykanych ludzi jako darboŝy.

Nie pytam drzewaw sawannie, skąd się tu wzieÅo.

Wystarczymi, Ŝe uŝycza komuŝ cienia.

- Dziękuję - po raz drugi bezwiednie szepnęÅ Gaby.

Marek zgromadziÅ багаŜe przy drzwiach.

- Czyojciec nocowaÅ tu na misji?

-Tak.

PrzyjechaÅem wczoraj.

Jestem wyspany i wypoczęty i, jeŝlichodzi o mnie - moglibyŝmy jechać.

O ile,oczywiŝcie, nie jesteŝciezmęczeni lotem z ParyŜa?

- Gaby?

- spytaÅ doktor.

- JuŜ wypoczęÅam tu w hotelu - powiedziaÅa bardzo dzielnie.

-Więcmoŝemy jechać?

- Choćby zaraz!

Nie, nie - odsunęÅa jego rękę- swojÅ walizkewezmę sama.

Przekonasz się, że nie przysporzę ci kłopotów.

- Nie tego się bałem - Marek odebrał jej walizkę i podążył za ojcem Cyrylem, który zabrał już dojeepa część bagażu i upychał je w wszystkie możliwe kąty wozu.

- Ma pani kask?

- zwrócił się do Gaby.

- Nie.

- Na szczęście wożę ze sobą zawsze zapasowy na wypadek, gdybym musiał zabrać kogoś do samochodu.

Proszę.

Nie będzie za duży?

- Jest w sam raz - zdecydowała, choć kask spadał jej głęboko na czoło.

- Proszę ojca - spytała nagle - czy nie znalazłaby się dla mnie na misji jakaś praca?

Odpowiedział nie od razu.

Usadowił ich najpierw na tylnym siedzeniu, sam zasiadł za kierownicą, zapuścił motor.

Dopiero wtedy powiedział:

- Zaraz po przyjeździe do Bassar porozmawiam z siostrą Beatrycze.

- Na misji są kobiety?

- zdumiała się Gaby.

- Siostra Beatrycze prowadzi szkołę.

Gaby szarpnęła za ramię milczącego doktora.

- Nic mi nie mówiłeś, że na misji są siostry.

- O ile sobie przypominam, w ogóle nic ci nie mówiłem, kochanie - odrzekł miękko.

Może pozwolił sobie jednak na chwilę wzruszonej radości, właściwie oceniając fakt, że ta niezwykła dziewczyna jechała o to z nim bez lęku w jakieś afrykańskie wnętrza, niebojąc się choćby tego, że zepsuje im samochód i będą musieli nocować gdzieś w buszu, z dala od ludzkich osiedli, wśród skradających się dzikich zwierząt.

Gaby musiała Jakoś to wyczuć, przytuliła policzek do jego ramienia.

- Marc!

Znowu używasz słowa, które w naszym języku nic nieznaczy.

Pochylił ku niej głowę.

- Ale i tym razem daję mu wszystkie znaczenia mego języka.

- Naprawdę?

- spytała cicho.

- Bardzo się boję chwili, w której zobaczę po raz pierwszy, że śałujesz.

- Ta chwila nigdy nie nastąpi - zaszeptała gorąco.

Bądź zawsze zenną ita chwila nigdy nie nastąpi.

- Oprzyj się na mnie, tak będzie ci wygodniej.

A może wolisz siedzieć z przodu przy ojcu Cyrylu?

- Jest wspaniały, ale wolę siedzieć przy tobie.

- Więc oprzyj się dobrze, ojciec Cyryl jedzie ostro, a tutejsze drogi - Sza!

Wszystko jest takie, jak sobie wyobrażałam, ani odrobinę gorsze.

Trzymaj mnie mocno i będę myśleć tylko o tym, że jesteśmy razem, a "Razem" jest najpiękniejszym krajem świata, wiem to od niedawna, nie wiedziałam w ogóle, że istnieje taki cudowny kraj.

Skromny kościółek, jeszcze skromniejsza szkoła i chyba najskromniejszy ze wszystkich szpitalików świata - mieściły się w Bassar tuż obok siebie.

Tu było to miejsce, gdzie zadbane o dusze, umysły i ciała mieszkańców tego murzyńskiego miasta, gdzie obok murowanych budynków "śródmieścia" zaczynały się sklecone zbyłe czego chaty, ciągnące się wzdłuż pylistych uliczek daleko w sawannę.

Ku miłemu zdumieniu Gaby polski doktor zajmował jeden z okazalszych budynków, miał nawet "słuchbę", wkaśdym razie kucharkę, dziewczynę do sprzątnięcia i ogrodnika, opiekującą się otaczającym dom ogrodem.

Zrozumiałych względów nie mogła jednak tam zamieszkać przyjęła z radością zaproszenie ojca Cyryla, który udzielił jej gościny w budynku misji, w wybielonym śnieżnym pokoiku z krzywym naścianiem, żelaznym łóżkiem, kulawym stołem i równie upośledzonym krzesłem oraz blaszaną

miednicą na stołku.

- Będzie tu pani dobrze- powiedział.

-Na pewno.

- Oczywiście wiedziała pani, że w Afryce trudno jest o komfort.

-Obiecał mi ojciec - przerwała ten temat - pracę w szkole.

- Ale tak.

Siostra Beatrycze uciechy się z pomocy.

Pójdziemy tam jeszcze w tym tygodniu.

Wbrew przewidywaniom gromada czarnoskórych dzieciaków zdołała ją nawet wzruszyć.

Coś jednak wzbudziło jej niepokój.

- Dlaczego ojciec nie powiedział mi, że siostra Beatrycze jest Murzynką?

- zapytała od razu, gdy opuścili szkołę.

- Afrykanką!

- sprostował zakonnik z przykrością, której nie udało mu się ukryć.

-Nie sądziłem, że to ma jakieś znaczenie.

- Właściwie nie.

- zaczęła wycofywać się Gaby.

-Ale wolałabym wiedzieć przed tym.

- Przed czym?

-Mam przecież uczyć w tej szkole.

- Siostra Beatrycze skończyła specjalny kurs w naszej stacji misyjnej, zna tutejsze narzędzie baskar.

-O, to jest argument - zauważyła dość cierpko.

- Poza tym.

- zawahał się ojciec Cyryl.



- No, śmiało -proszę ojca!

Śmiało!

- Poza tym ona tu będzie - zawsze.

-Zawsze?

- To chyba zrozumiałe.

-Tak.

to zrozumiałe - Gaby zamilkła, wysunąwszy dolną wargę.

- Czy ojciec sądzi - zapytała po długiej chwili - czy ojciec uważa, że

są kłopoty.

Ojciec Cyryl gwałtownie potrząsnął głową.

- Tegonie powiedziałem.

Gaby chwyciła go za ramię i szła tuż przy nim, starając się dotrzymać mu kroku.

Słońce prażyło, najgorszy powiew nie łagodził jego ostrości.

- To nie ma związku z naszą poprzednią rozmową.

Po prostu chcę wiedzieć.

Bo jeśli ojciec to odczuł, to i doktor.

- Nie rozmawiałem z nim na ten temat.

I nie przypuszczam.

- Czego ojciec nie przypuszcza?

-śoby.

zechciał mi się zwierzać.

- Religia jest zaprzeczeniem dyplomacji.

-Nie rozumiem.

- Wiara wymaga prawdy.

Zawszei wszędzie.

Podczasgdy dyplomacja nakazuje powstrzymywanie się od niej w okolicznościach,w których byłaby zbyt.

niezręczna.

-Nie powstrzymuję się od prawdy, jak to pani określiła.

UwaŜam,Ŝe radzi sobie pani - całkiem dobrze.

-Całkiem dobrze.

- Jak napierwsze dni wAfryce oczywiście.

-Najtrudniej przyzwyczaić mi się do Jedzenia - poskarŜyła sięnagle Gaby.

Wiedziała, Ŝe moŜe to zrobić tylko przed ojcem Cyrylem.

- Ta koszmarna papka z sorgaz sosami, które wykrzywiajątwarz!

Albomiazga z yamów.

Ojciec Cyryl wreszciesię uśmiechnął.

- Dla nas smaczne to niejest.

Ale moŜna się przyzwyczaić.

Ja przyzwyczailem się bardzo szybko.

-A...

doktor?

- Nie wiem, nie zwierzał mi się.

Ale sądzę,Ŝe po dwóch latach w Wietnamie.

Gabyzatrzymała się gwałtownie.

- Był w Wietnamie?

Kiedy?

- Przed przyjazdem tutaj.

Kiedy po zakończeniu działań wojennych zaczęto organizować tam lecznictwo.

Gaby ruszyła znów naprzód, nie puszczając ramienia ojca Cyryla, jakby to wsparcie na nim mogło dodać jej siły i wzmóc poczucie bezpieczeństwa.

- Niemi nie mówił.

- szepnęła.

- W ogóle mówi mało.

Mnie powiedział tylko, że "zaliczył" dwa lata Wietnamu.

Trzy lata ma być tutaj.

Jeśli nie zechce sobie tej pracy przedłużyć.

- Umowa z UNICEF?

- Nie tylko.

Myślę, że to tak, że umowa z samym sobą.

- Czy.

ojciec nie siłował dociec.

- Nie.

- Przepraszam.

- Mamy tu tyle ważnych i pilnych spraw do przeprowadzenia, że mimo woli sami dla siebie schodzimy na plan drugi.

żeby osadzić katolicyzm w miejscowej kulturze - katolicyzmnie europejski, lecz uniwersalny -

trzeba niejako przełożyć wszystkie nasze pojęcia na wyobrażenia tych ludzi, dla których jedynie idea jednego Boga jest w pełni jasna.

To zadanie dla mnie, a doktor.

- A doktor.

- podchwyciła skwapliwie Gaby.

- Jego sytuacja jest jeszcze trudniejsza.

Ja ulegam niekiedy złudzeniom, one mnie pocieszają i dodają odwagi.

W jego dziedzinie ma złudzeń.

Prawdajest dotkliwiewyraźna.

Właściwie nie matu Śadnej opieki zdrowotnej.

Ten szpitaiik, w którym chorych pielęgnują ich krewni, koczujący w nocywokół budynku i -  
co tu duŜo mówić - zanieczyszczający całyteren, urąga wszelkim zasadom.

- W dodatku palą ogniska.

-Noce są chłodne.

- Wiem.

Ale tenbezustanny szmer szeptówczy modłów,którystamtąddochodzi.

Bardzo źle tutaj sypiam.

-I do tego się pani przyzwyczai.

- Do tego bezustannego szumu owadówi ludzkich głosów?

I dosmrodu, przepraszam ojca, któryprześladuje mnie nawet wtedy,kiedy zrywamowoce albowącham kwiaty?

- Jesteśmy tu właśnie poto, Śeby oduczyc ich załatwiania swoichpotrzebna ulicy, Śeby przyzwyczaić ich do podstawowych zasad higieny.

Doktor objeŚdŚa murzyńskiewioski i przypomocy siostryBeatrycze wygłaszaodpowiednie pogadanki.

- Przy pomocy siostry Beatrycze.

-Mówiłem juŚ,Śe zna narzecze bassar.

- Rozumiem.

-A poza tym doktor ma nadzieję, Śe wkrótce będzie mogła wygłaszać te pogadanki sama.

- Rozumiem - wolnopowtórzyła Gaby.

138

Droge, którąszli, przeskoczył czarnoskóry chłopakmknąc ku zaroślom ocieniającym nieduŚe okienko wody.

- Czy to nie Abe?

- spytał ojciec Cyryl.

" -Nie wiem.

Dla mnie oni wszyscy są tak podobni.

, -To ten chłopak, który kręci się wciąŜko doktora.

Abe!

- za=.

wołał.

- Byłeś zdoktorem w szpitaliku?

Chłopak przystanął, jakby przez chwilę się wahał, ale zrezygno; wawszy z pokusy, którejsię wyrzekał, zbliŜył się dysząc- Miał krótko^ przyciętekdzierzawe włosy, oczy błyszczącejak świeŜo wyłuskanetkaształy i olśniewające murzyńskie zęby, nieco za duŜe w jego dzieli cinnej Jeszcze twarzy:

- Byłem.

- zmarszczył brwi,Ŝeby sobie coś przypomnieć.

-

{Doktor powiedzieć, Ŝeby powiedzieć ojciec Cyryl.

: - "Doktor powiedział, Ŝeby powiedział ojcu Cyryłowi" - poprawił

^zakonnik.

- A juŜ nie robiłeś takich błędów.

Doktor był na urlopie, ale

X zostawił ci przecieŜ ksiąŜkę i przyrzekłeś,Ŝe przez cały czas będzieszchodził do szkoły.

Chyba, Ŝewolałeś siedzieć nadwodą.

I- MoŜnajpierw się dowiemy, co doktor kazał ojcu powiedzieć?

-

nie kryjąc lekkieozniecierpliwienia wtrąciła Gabi

-ŝe dziśdobry obiad' - wyrzucił z siebie Abe skwapliwie.

- i żeby zaraz przyjść, bo Kowu mieć dziś siedem krewnych w kuchni.

^ - Co to znaczy?

- spytała ubawiona.

Ojciec Cyryl tak się

uśmiechnął.

^ - Zaraz pani wytłumaczę.

Jeśli doktor powiedział "zaraz" to dla (" czego biegłeś nienamiesz, tylko.

Abe spuścił głowę.

Tarł na przemian bosym stopami chude łydki.

, - Bo chciałem najpierw zobaczyć.

, - Mówiłem ci tyle razy, że w bajorach, które pozostają po porze deszczowej, nigdy nie będzie ryb.

- Ale ojciec powiedziec.

ojciec Cyryl powiedziec, że są cuda.

' - Hm.

- zająknął się zakonnik, odwracając twarz od uśmiechającego spojrzenia Amerykanki.

- Dość rzadko się zdarzają.

; - Ale jak mocno pragnąć.

Abe bardzo mocno pragnął łapać ryby.

^ - No to idź już - ojciec Cyryl!

machnął ręką - a na drugi raz, kiedy doktor coś ci poleci, najpierw masz to zrobić, a dopiero potem mor; - Się zajmij swoimi sprawami.

, Abe wciąż przestępował z nogi na nogę.

":' - Ja tylko zobaczyć.

- Dobrze, już dobrze - ojciec Cyryl z ulgą zakończył tę rozmowę, przez chwilę patrząc w milczeniu, jak chłopak mknie przez wyschnięte.

trawy, a potem wciąż jeszcze nieco zmieszany zwrócił się do Gaby.

-Niezwykle trudno wyrobić w nich jakąś systematyczność.

Alew ogólem bardzo zdolny chłopak.

Wiedziemy o niego spór z doktorem.

Bo ja bym chciał mieć w nim przyszłego katechetę, a doktor widzi go jako pomoc w szpitalu.

- MoŜe jednak pójdziemy juŜ na obiad, skoro ma być coś specjalnego, a w kuchni siedzi siedmiu krewnych kucharki.

-To właśnie miałem pani wyjaśnić.

Tak juŜ z nimi jest, to typowy przejaw solidarności afrykańskiej, rozległe więzy rodzinne i gościnność, która białych czasem niecierpliwi.

O ile pamiętam, kiedy doktor przyjmował Kowu na kucharkę, była zupełną sierotą.

- Wobec tego sytuacja jest naprawdę groźna - roześmiała się Gaby - i musimy się spieszyć.

W jadalni "doktorówki" nie odczuwało się Afryki.

Pokój, usytuowany od północnej i zacienionej drzewami strony, był względnie chłodny, a obiad mógł być podany w paryskiej restauracji, zwaŜywszy, Ŝe główne danie stanowiły pieczone perliczki.

Marek, w roli gospodarza, zaprezentował nie znane dotąd Gaby zalety, podsuwał swoim gościom półmiski, dolewał wino.

- Słusznie chyba sądziłem, Ŝe pieczone perliczki są najwłaściwszą okazją, Ŝeby móc znowu gościć ojca przy stole.

-Znakomite!

Znakomite' - mruczał zakonnik, zręcznie oddzielając od kości apetycznie przyrumienione mięso.

Do ascezy, na którą się skazał, nie włączał najwidoczniej uciech kulinarnych.

- Są naprawdę świetne - dodała Gaby.

Doktor zwrócił ku niej rozjaśnione spojrzenie, choć usilnie starał się, Ŝeby nie było zbyt czułe.

- Cieszę się, Ŝe ci coś smakuje, kochanie.

Wiedziała, Ŝe to dla niej ten obiad, a zaproszenie ojca Cyryla pozwalało tylko gospodarzowi ukryć to przed samym sobą.

Uśmiechnęła się do obydwumęŃczyzn.

- Czy jestemaŃ takanieznoŃna przy stole?

Doktor pochylił się ku niej,moŃe to sprawiły dwa kieliszki wina,ale nigdy jeszcze nie widziała go takrozluźnionego.

- Dopiero terazci się przyznam, Ńe ze mną było jeszcze gorzej.

-Trzeba było od razu to powiedzieć- Czy zgodzisię pan,doktorze - ojciec Cyryl podniósł głowę znadtalerza, z trudem tłumiał rozbawienie - Ńe dorzucę coŃ do tychrzadkich zwierzeń, Ńeby do reszty uwolnić panią z kompleksów?

- AleŃ proszę!

-OtóŃ kochany, dzielny doktor, bądźco bądź chłop nie ułomekpo przyjeździe tutaj leŃał przez dziesięć dni nanaszej stacji misyjnej'powalony na obie łopatkichorobą, która nazywam zetknięciem sięz Afryką, boi mnie się coŃ podobnego przydarzyło.

Gdybv nie siostraBeatrycze, która mnie wtedy pielęgnowała.

- NiechŃe juŃ ojciec nie ukrywa całej prawdy - roześmiał się Marek - gdyby nie czarownik, którego doojcasprowadziła!

Ale dajęcisłowo, Gaby, Ńe w moim wypadku obyło się bez czarownika.

- Doktor miał lekarstwaze sobą, no i w końcu wiedział co mujest.

-Szok.

Zwyczajny szok.

Jednak nie tak to sobie wyobraŃałemchoć byłem juŃ przedwaa lata w Wietnamie.

- Dwa lata w Wietnamie podczas pokoju-zeszczeólnym naciskiem sprecyzowała Gaby.

Doktor niezwrócił na to uwagi.

- Na szczęście podczas pokoju.

ChociaŃ wciaŃmyŃlałem tym comusieli tam przeŃyć ludzie podczas wojny.

Gaby odsunęła swój talerz

- Niechę o tym mówić - powiedziała cicho.

Obydwaj męŃczyznizwrócili ku mej pytające spojrzenie.



Ale w tej samej chwili nadpływający z oddali warkot motoru ogłuszającym hałasem zbliżył się podokno.

- Tonapewno siostra Beatrycze podprowadziła mego jeepa - powiedział ojciec Cyryl.

- Jedziemydzisiaj do kilku osad.

- Siostro!

-zawołał Marek.

- Siostro Beatrycze!

- Nie wiem.

Czy wejdzie - mruknął zakonnik.

- Od kilku dni jakoś dziwnie się zachowuje.

- MoŜe by co zjadła- Siostro!

- doktorwychylił się przez oknoProszę do nas!

Wprawdzie kończymy obiad, ale jeszczeiśćcoś znajdzie.

O ile nieprzybyło kilku nowych krewnych Kowu - dodał ciszejz pobłaŜliwym naciskiem.

Siostra Beatrycze weszła do pokoju cichutko, jejbose stopy miękko stąpały po podłodze.

Przed południem - w szkole - widziała jąGaby w zakonnym habicie, którego biel ostro odbijała od jej ciemniejskóry.

Teraz- na wyprawędookolicznych wiosek- owinęła sięzwyczajem tutejszych dziewcząt kawałkiem kolorowego perkaluzawiązanegopowyŜej piersi na wcale dekoracyjny węzeł.

Kiedy szła,lekki materiał rozchyłał się nieco, ukazując strzeliste murzyńskienogi, które w ParyŜu i Nowym Jorku były zawsze największym atutemciemnoskórych modelek.

- Dziękuję - powiedziała powściągliwie.

JuŜ jadłam.

Niejestemgłodna.

Podprowadziłam wóz, proszę ojca.

MoŜemy jechać.

- Widzę, że umiejętności siostry są niezwykle różnorodne - odezwała się Gaby.

Czarna dziewczyna zwróciła ku niej powoli swoją małą głowę, niezwykle pięknie osadzoną na długiej, smukłej szyi.

- Jeśli pozostanie tu pani dłużej.

- mówiła cicho bardzo staranną francuszczyzną - jeśli pozostanie tu pani dłużej, przekona się pani, że każda umiejętność jest tu bardzo cenna.

Przydaje się ludziom,

- W to niewątpię.

I...

szczerze siostrę podziwiam.

- Dziękuję - powiedziała bez cienia uśmiechu.

- Niech siostra usiądzie doktor podsunął jej krzesło.

Potrząsnęła głową i przez chwilę patrzyła z jakąś bolesną kobiecą uwagą na jasną twarz mężczyzny, który niespodziewanie zjawił się tu któregoś dnia.

- Myślę, że musimy jechać - powiedziała stanowczo.

- I jeśli ojciec jest gotów.

- Jestem już gotów - zakonnik ociężale dźwignął się z krzesła.

- Chociaż przyznaję, że po tym cudownym obiedzie - trochę senny.

- Ja poprowadzę jeepa.

- W siostrze jedyna moja nadzieja.

- Szczęśliwej drogi!

- powiedziała Gaby.

Czarna dziewczyna jeszcze raz - już od progu - zwróciła ku niej głowę.

- Dziękuję.

Gdy umilkł odgłos oddalającego się jeepa, Gaby długo patrzyła za oknem kurzu, który wznicała na drodze.

- Ładna tawusza siostra Beatrycze - powiedziała po chwili.

- Jakna Murzynkę oczywiście.

- Tu na północy Togo na ogół wszyscy są przystojni.

-ZauwaŜyłam.

Jak ona owija ten kawałek perkalu wokół siebie,Ŝe trzyma jej się to na piersiach.

Będę musiała spróbować.

- Spróbuj, kochanie - uśmiechnął się doktor.

- Jeśli cię to bawi.

- Czy.

mimo Őeojciec Cyryl wyjechał, będę mogła jeszcze trochętu zostać?

- "Niebądź złośliwa!

-Nie jestem.

Takusilnie się starasz, Őeby się nie domyślił, co jestmiędzy nami.

- Őeby nie musiał okazać, Őe się domyśla.

Bądź co bądź, duchowny.

- Bądź co bądź, chcę, Őebyśmnie pocałował - szepnęła.

Przysunąłjej krzesło do swego, ale zerknął niespokojnie na drzwi,lada moment mogła wejść kucharka, Őeby sprzątnąć naczynia ze stołu.

- Czy uwaŜasz, Őe trzeba do tego zachęty?

-Bo moŜe nie tylko oko duchownego, ale nawet myśl o nim, oddalająod ciebie wszelkápokusę.

- Nie oddalają.

nie oddalają.

- zamruczał z twarzą w jej włosach długich i splątanychna karku.

- Czy jesteśpewny, Őe nikt tu nie wejdzie?

-Niestety, tego nie jestem pewny.

- A..

nie możemy po prostu.

zamknąć drzwi?

- Myślę, że.

nie powinniśmy.

Co by pomyśleli, gdyby Jednak zechcieli tu wejść?

Naprzykład Kowu.

- Do diabła!

Co mnie obchodzi.

?

- Ale nie zamknęłabyś drzwi przed domownikami w swoim nowojorskim mieszkaniu, gdybym przyszedł do ciebie i gdybyśmy chcieli być sami.

- Nie jesteśmy w moim nowojorskim mieszkaniu.

- Jednak tu itam są ludzie.

Odsunęła się.

- Czy nie zauważyłaś, że wciąż mnie strofujesz?

Od kiedy przyjechałam tutaj.

od kiedy przyjechałam tu z tobą.

Doktor przyciągnął ją powrotem do siebie, objął mocno, ale ten ucisk wyrażał bardziej niż pragnienie, potrzebę zaufania i przyjaźni.

- Bo jesteśmy tu przybyszami - zaczął cicho.

- Ja z większym staśm niś ty.

Idlatego chcę, że byś zrozumiała szybciej ode mnie, że przybyszami w każdym kraju winno zjawiać się dobro.

Ponieważ w historię mego kraju jest wpisane towarzyszące zawsze przybyszom-zło.

I lekceważenie, i pogarda.

- Czy.

doszedłeś do tychrefleksji w.

Wietnamie?

- Tam takŜe.

-Nie mówmy juŜ o tym, bardzo proszę.

- Toty zaczęłaś.

-Ja zaczęłam coś zupełnie innego.

- Kochanie -usiłował zaŜartować - pragnę tylko, Őebyś była jeszcze bardziej godnamiłości.

-To brzmi wykrętnie.

Jacy mili są amerykańscy chłopcy' Choćbynawet mieli kłamać, zawsze mówią dziewczynom to, co one chcąusłyszeć.

Zdaje się, Őe naprawdę ktoś puka.

- Rzeczywiściepuka!

- proszę!

To ty, Abe?

- Ja!

- chłopak wsunął!

głowę przez uchylone drzwi.

- Co się stało?

-Doktor mówić, Őe po południu będzie w szpitaliku.

- Dobrze - Marek jednak z trudem hamował irytację.

- Zarazidę.

Gaby parsknęła śmiechemi zerwała się pierwsza.

- JuŜ idziemy,mój drogi.

I dziękuję ci, Őe przypomniałeś o tymdoktorowi.

Aja chętnie obejrzę szpital, jeszcze w nim nie byłam.

Szpitalik był długim parterowym budynkiem o kilku salach, w których leżeli chorzy otoczeni przez krewnych, i niezbędnych pomieszczeniach takich, jak salka operacyjna, pokój przyjęć i łazienka, gdzie właśnie na ogromnym palenisku w blaszanych kotłach dwie dziewczyny przegotowywały wodę.

- Abe!

- zawołały od razu - przynieś drzewa!

- Przynieś drzewa!

- powtórzył doktor, bo chłopak nie ruszył się

bez jego rozkazu.

- Dopieroco przyniosłem!

- Abe spode łba patrzył na dziewczyny.

- Przynieś drzewa! - cierpliwie, ale stanowczo powiedział jeszcze raz doktor.

Z dumą oprowadzał Gaby po swoim skromnym gospodarstwie.

- Nic tu nie było!

- powtarzał.

- Zupełnie nic!

Ludzie marli jak muchy.

Przy tutejszych warunkach sanitarnych groźne są nawet całkiem błaheska leczenia.

- Mają swoją medycynę ludową.

- Nie myślisz chyba poważnie.

- A jednak na całym świecie zaznacza się zwrot ku lecznictwu ziołami i praktykom, które z oficjalną medycyną nie mają nic wspólnego.

Bioprądy i akupunktura.

- Na szczęście do chirurgii i te praktyki nie mają dostępu - doktor otworzył przed Gaby kolejne drzwi.

Tu leżą chorzy po operacjach i cięższych zabiegach.

Pomożesz mi zmienić opatrunki.

- Ja?

- Gaby zatrzymała się przy drzwiach.

-A..

kto robił to przedtem, zanim tu przyjechałam?

- Abe albo siostra Beatrycze.

- Doktor zatrzymał się przy pierwszym chorym z obandaŝowaną nogą.

Nakazawszy oblegającym go krewnym, ŝeby się wynieśli, zamienił z nimi kilkanaŝ niezrozumiały chdla Gaby słów i przywołał jado łóŝka.

- Pytałaś w tej wiosce tuŝ za Lome, przez którą tu jechaliśmy, co robił człowiek siedzący przed chatą.

Pamiętasz?

-Pamiętam.

Manipulował patykiem przy nodze,

- Nawijał na patyk robaka, który wydostawał się na zewnątrz ŝyły.

To najczęstsza - poza ślepotą rzeczną z tutejszych przypadłości.

Robaki te atakują ludzi w wodzie, dostają się pod skórę i zaczynają swoją wegetację w organizmie człowieka.

Tu masz ten przypadek zoperowany.

Odwiń bandaŝ.

Co ci jest?

- Nie, nic.

- szepnęła, czubkami palców jak najostrożniej dotykając zakrwawionego bandaŝa.

-śałużę, ŝenie studiowałam medycyny.

- Studia do zmiany opatrunków nie są potrzebne- mruknął, ale podniósłszy na chwilę głowę, przestraszył się bladości jej twarzy.

-Gaby!

Zostaw to - usiądź albo wyjdź na powietrze!

- To tyłkochwila Gaby opanowała moment słabości, Nigdy.

nigdy nie mogłam znieść widoku ran.

W dodatku ta czarna skóra i czerwone mięso.

- Mięśnie!

- poprawił doktor.

-Mięśnie.

oczywiście, przepraszam.

I Jest tak gorąco

- Wyjdź stąd!

Tu naprawdę nie pachnie.

Abe!

- krzyknął do chłopaka, który pojawił się w drzwiach.

-Przytrzymaj ten bandaś.

Abe z wprawą i ochotą wykonał polecenie.

- Tak dobrze?

-Dobrze.

Podaj nośyczki, i butelkę z tym płynem.

- Proszę!

Nośyczki i butelka!

- Gaby uprzedziła chłopaka.

Uśmiechnęła się mężczyźnie.

- Już naprawdęmi.

przechodzi.

Abe!



Nie jesteś już tu potrzebny.

Abe skierował na doktora swoje błyszczące spojrzenie.

- Doktor też tak mówić?

- Nie jesteś już tu potrzebny!

- powtórzyła ostrzej.

- Abe, powiedz rodzicom chorych dzieci - doktor odezwał się pojednawczo żeby się wynieśli przed szpital.

Nie mogę zbliżyć się do łóżek, kiedy leżą pokotem na podłodze.

- Abe powiedz im, ale oni nie posłuchają - ociągał się chłopak.

- Posłuchać, posłuchać!

- mimo woli przejmując jego gramatykę, zapewnił doktor.

- Po co się ich w ogóle tu wpuszcza?

- zapytała Gaby, gdy Abe wreszcie wyszedł.

- Próbowałem z tym walczyć, ale się poddałem, i nie dlatego, żebym wątpił skuteczność wydawanych tu zakazów.

- A dlaczego?

- Może to nasza cywilizacja postępuje niesłusznie, oddalając matki od ich chorych dzieci?

- Dlaczego nie powiesz po prostu, że one dają im jeść?

- To tak może.

Szpital niezabezpieczony w życiu - Ale ten pierwszy powód - doktor zamyślił się przez chwilę

- jest naprawdę piękny.

-.

W głębi budynku zawrzały podniesione głosy.

To, zdaje się, Abe poczyną sobie bardzo energicznie.

- Kazałeś mu.

- Ale chyba zbyt gorliwie przejął się moim rozkazem.

Myślę, że

jest trochę do mnie przywiązany.

- Potrafisz to

ocenić?

- zapytała cicho.

- Dlaczego miałbym tego nie ocenić?

Weź tacę z lekarstwami i chodźmy na salę dziecięcą.

Wrzawa przeniosła się teraz na zewnątrz.

Abe wypchnął na dwórostatnicopornych i zatrzasnął drzwi.

Gaby zatrzymała się na korytarzu przy oknie.

- Strasznie się awanturują te czarne baby przed szpitalem.

Bałabym się, gdybym miał z nimi zostać.

- Nie zwracaj na nie uwagi.

W rzeczywistości nie są groźne--Ciesz się, że będziesz załatwiał najkonieczniejsze sprawy w szpitalu.

Jutro z samego rana muszę jechać do bardzo odległych osad.

Poradyszczowasio skończyła, a jednak zaczęły się tam jakieś epidemie wśród dzieci.

- Epidemie wśród dzieci są również gdzie indziej.

Na przykład ostatnio w Neapolu.

Dlaczego tam nie jedziesz?

- Bo tam są inni lekarze.

A do tych wiosek murzyńskich mogę dotrzeć tylko ja.

- Nie jedź tam! - poprosiła.

- Kochanie, muszę!

- Nie patrzył na nią, nie chciał widzieć strachu w jej oczach.

Był potwierdzeniem, że miał rację, miał rację, kiedy nie chciał jej tu zabrać, i wyrzutem, że nie powinien był ustąpić - -Abe zostanie w szpitalu - dodał.

- Gdyby coś zaszło, zawoła cię.

-Mnie?

- Tak.

Sądziłem, że zechcesz się wciągnąć w sprawy szpitala.

- Czy.

jedziesz z siostrą Beatrycze?

- Nie - odpowiedział po chwili wahania.

- Z ojcem Cyrylem.

Podczas nieobecności doktora Gaby usiłowała sobie jakoś zapełnić wolny -przerazliwie pusty

-czas.

Rano dwie, trzy godzin spędził w szkole, do szpitala nie wstąpiła, wolała zajść do kuchni i przyuczać Kowu doprzyrzadzania europejskich potraw, czemu resztą czarna kucharka słusznie się opierała.

Do europejskich potraw trzeba było mieć europejskie produkty, a tych nikt nigdy nie widział w Bassar, ani nawet w Łonie.

Co najwyżej można było po europejsku smażyć, albo piec mięso, wyrzekając się afrykańskich przypraw, których biała madame nie znosiła, ale doktor się nawet o nie upominał.

Pogadanka z Kowu nie nawiele się więc przydawała, choć Gaby opowiadała jej, na jakie wysiny gastronomicznego kunsztu potrafili się wnieść murzyńskie kucharki w domu jej dziadka.

Wszystkie opowieści skończyły się nieodmiennym pytaniem, skąd wziąć to, czytając, aby potrawa była taka, jak w Stanach Zjednoczonych.

Zniechęcona Gaby zjadła więc zupełnie byle jaki pod nieobecność doktora obiad i wyniosła się do swego ascetycznego pokoiku w budynku misji.

ślowa, że nie zabrała z Paryża żadnych książek, za szybko zdecydowała się na ten wyjazd, żeby o to zadbać.

Doktor miał same książki medyczne - może powinna była się z nimi zapoznać, skoro postanowił

wciągnąć ją do pomocy w szpitalu, ale temu właśnie miałazamiar sięoprzeć - ojciec Cyryl natomiast dysponowałlekturami wyłącznie religijnymi, a te takŜe zbytnio jej nie interesowały.

Poszła jednak do jego pokoju i wynalazła w skromnej bibliotecze pozycję, która wydała jej się zajmująca; "Rodzina chrześcijańska", a w niej rozdział poświęcony jej.

regulowaniu poprzez przestrzeganie w poŜyciu małŜeńskim dozwolonego przez Kościół kalendarzyka.

Hm..

pomyślała nie bez złośliwości, to była zapewne dziedzina, w której nauk udzielałaczarnym kobietom siostra Beatrycze.

Przypomniały jej się opowiadania ojca Cyryla o szczególnych obyczajach tubylców, którzy goŝcinnoŝcswą wobec misjonarzy okazywali między innymi.

udostępnianiem im swoich najlepszychŝon.

Odmowa była obrazą wobec gospodarza.

Ojciec Cyryl pomijał milczeniem w swoich opowiadaniach, w jaki sposób tej obraży unikał.

Siostra Beatrycze mogła mieć więctakŜe róŜne przygody podczas swoich podróŜy, w dodatku była Murzynką i.

Gaby, ze względu naupał leŜąca zupełnie nago na ŝelaznym łożku, uniosła w górę nogi, ŝeby sprawdzić, czy są równie smukłe i strzeliste, jak nogi siostry.

Dodiabła!

pomyślała, wściekła na siebie.

Chyba nie jestem zazdrosna o tę czarną dziewczuchę?

Zerwała się i usiadła na łożku upokorzona tą myślą, przeraŝona swoją obecnością w tym dzikim miejscu ŝwiata, skąd tak daleko było do jej dawnego ŝycia, do wszystkiego, co dotąd czyniło ją ŝczęśliwą.

Zatęskniła przejmująco do domu, do dziadka i ciotki, do Nowego Jorku, który nieraz wydawał jej się tak męczący.

Cztery stapięćdziesiątkilometrów do Lome, i dwieście do Akry, a potem samolot do ParyŜa, stamtąd do Nowego Jorku i - własny pokój, własne łożko, łazienka, potrawy, które Jadała od dzieciństwa.

Świat, do którego przywykła, który jej się należał, tak.

Jak innym- O, Boże!

przecież nie z jej winy!

- należał się głód, brud i ubóstwo.

Strzepnęła z prześcieradła jakiegoś owada, który dostał się do pokoju mimo moskitiery, zawieszanej w oknie.

Wydało jej się, że w kącie pod podłogą coś zachrobotało, coś przesunęło się po dachu.

Coty robiła?

Dlaczego tu siedziała na brzegu twardego, szelaznego łóżka?

Czy nie za wysoką cenę płaciła za to, że jakiś obcy-przeraźliwie obcy mężczyzna, wracając z objętych epidemią osad murzyńskich, właśnie w tym miejscu świata wracał także do niej?

Ale czy mogłoby być bez niego przeżyć szczęśliwie choćby jeden dzień?

Biedna Gaby!

rozczuła się nad sobą.

Biedna, bardzo biedna Gaby!

Jakieś spieszne kroki zadudniły w korytarzu.

- Biała madame!

- wrzasnął Abe pod zamkniętymi drzwiami.

- Madame Gaby!

Szybko narzuciła na siebie szlafrok, otworzyła drzwi.

- Co się stało?

Chłopak dyszał z pośpiechu podniecenia.

- Biała madame!

Czarownik!

Czarownik iść do szpitala!

Potrząsnęła goza ramiona.

- Co ty wygadujesz?

Znowu pewnie Œuleś kole?

Ile razy doktor cimówił, Œe piwo z sorga i koła.

- Abe do pyska nie wziąć koła.

Czarownik naprawdę iść do szpitala!

Cała rodzina go sprowadzić.

Całarodzina małej Buwu.

Doktorprzywieźć małą Buwu, zabrać z wioskii przywieźć do szpitala.

,

- Przestań tyle gadać!

Ta mała jest po operacji, Widziałamjąwczoraj.

Jeśli ruszają teraz.

Potrafisz porozumieć się z czarownikiem?

- Abe potrafić.

Czarownik takŒe mówić bassar.

- Chodźmy!

- zdecydowała Gaby.

-BoŒe!

szepnęła.

- Dlaczegoćostakiego się dzieje, kiedy doktora nie ma.

-Oni widzieć, Œe doktor jechać.

Sprzed domu misji widaćbyło tłum kobiet, kłębiący się przedszpitalem.

- A czego chcą tekobiety?

-One chcieć czarownik do swoich dzieci.

- One tak? Se?

-One wszystkie wołać: czarownik leczyć prędeej!

Czarownik leczyć zaraz!

Ojciec Cyryl mówić: cud.

I Se cud byćbardzo rzadko.

Czarownikcud bardzoczęsto.

Czarownik cud - zawsze.

- Przestańgadać, bo cię uderzę!

- Gaby przyspieszyła kroku, ale musiała się zatrzymać przed zwartą ścianą tłumu, który nierozstąpił się na jej widok.

-Abe!

Przepychaj się przodem!

- zawołała.

-Prę

dzej!

Ja ci dam cud!

Cud iczarownika!

Warto tu dla was siedzieć.

Życie marnować wśród waszychrobaków i biegunek.

Rozpędź tebaby!

Musimy się przepchać do drzwi i zaryglować je przed nimi!

- One chcieć zabrać dzieci!

Czarownik zaraz przyjść i uleczyć.

- I okna musimy zaryglować' - gorączkowała się Gaby.

- OknatakŚe!

Och, gdybym tylko miała coś do strzelania!

- Mammadzieję, Śe - na postrach?

przed tłum wysunęła się siostra Beatrycze.

- A, siostra jest tutajŚe!

-Pomogę pani- powiedziała czarnazakonnica spokojnie.

- Dam sobie radę.

-Nie jestem tego pewna- Niech pani nie usiłuje walczyć z czarownikiem.

-Jeśli nie odejdzie stąd-wezwę policję.

- Togijskapolicja nie ruszy czarownika.

-Wasz burmistrz kształcił się na Sorbonie, a policja nie ruszy czarownika?

- Burmistrz takŚe go nie ruszy.

O wiele rozsądniej wytłumaczyćczarownikowi,Śe siły doktora współdziałająz jego siłami.

- Nie będę się wdawać w Śadne pertraktacje z czarownikiem.

-I tak niezna pani języka.

Ja tozrobię.

- Zabraniam siostrze!

Jeśli doktor się dowie.

- Dla niego -Murzynka patrzyła na Gaby z wyŚszością, wiedziała,co myśli doktor, spędziła z nim o wiele więcej czasu niż biała dziewczyna, która zjawiała się tu nie wiadomokąd - dla niego waŚne jestprzede wszystkim to, Śeby dzieci pozostały w swoich łóŚkach.

MałaBuwu jest po operacji ślepejkiszki.

- Nie pozwolę jejtknąć- Ale moŚe się to pani nie udać.

Ryzyko jest za duŚe- Jeśli wytłumaczy się czarownikowi, Śe siły doktorawspierająz jego siły.

Gaby zbliŚyła się do zakonnicy.



Siostra samaw towierzy!

- powiedziała ze zgrozą.

Beatrycze patrzyła gdzieś wysoko ponad jej głową.

- Czy byłoby w tym coś dziwnego?

- Och, Abe!

- krzyknęła Gaby.

- Rygluj drzwi!

Zamykaj okna!

i przynajmniej ty.

przynajmniej ty bądźże mną!

Wśród wrzasków i przekleństw, których Gaby na szczęście nierozumiała, udało im się wypchnąć kobiety ze szpitala.

Siostra Beatrycz stała obok nieruchomo.

Abe zawahał się, nie wiedział, czy ma i przednią zamknąć drzwi.

- Tak - krzyknęła Gaby.

- Tak!

Chłopak patrzył na nianie nie rozumiejąc.

A potem zapytał cicho:

- Dlaczego biała madame.

dlaczego madame Gaby płacze?

- Ani słowa o tym!

- przyciągnęła go do siebie.

- Ani słowa o tym - nikomu!

Mimo trudnych warunków jazdy, każda podróż z ojcem Cyryle była odpoczynkiem.

Śpiewał - i to bynajmniej nie pieśni kościelne - gwizdał, opowiadał przeróżne dykteryjki, a przede

wszystkim moŜnabyło z nim rozmawiać, co stanowiło dla Marka nie tak znów częstąw afrykańskich warunkach przyjemność.

Kiedy zjawiała się tu Gaby,sytuacja oczywiście się zmieniła, ale ojciec Cyrylnie przestałbyć miłym i zawsze poŜądanym towarzyszem.

Był nim na swój sposób stary jeep, który zakonnik traktował jak Őywe stworzenie.

- Miejmy nadzieję, Őe mój dychawiczny konik - uśmiechnął się,gdy coś stuknęło w motorze - dowiezie nas na miejsce.

-Iz powrotem!

- Iz powrotem oczywiście.

Jutro będę musiał sprawdzić, co to tak stukta.

PomoŜe mi pan?

- Z chęcią.

Ale nie znam się na tym.

- Jasię znam.

Co byłby ze mnie za misjonarz, gdybym nie umiał naprawić samochodu?

- Chrystus odbywał swoje wędrówki pieszo - zauwaŜył doktor Őartobliwie.

-Ale na jak małym poruszał się obszarze!

Obdarzył nas wiarą,a my musimy ją przenieść na cały Őwiat.

- Tak to jest z wszystkimi ideami.

-Z wszystkimi ideami?

-zerknął ku doktorowi zakonnik.

- Motywacje działania są tak złoŜone i z tak róŜnych rodzajów się inspiracji.

-Ale jest chyba jakaś różnica między wiarą.

programem?

- Oczywiście.

Programy sprawdzają się albo kompromitują dość szybko.

- Nie chce chyba doktor, żebyśmy wysadził gdzieś tutaj międzyścianami buszu?

- Nie boję się - roześmiał się Marek - bowiem, że ojciec pragnie tak samo, jak ja, żebyśmy jak najprędzej dotarli do chorych.

Objazd osad, objętych epidemią, przeciągnął się do nocy.

Wracał pod gwiazdzistym niebem bardzo zmęczony, ale tak jakby prawie szczęśliwy, był wszędzie tam, gdzie być powinni, co u belgijskiego księdza wynikało z jego religijnych obowiązków, a u Polaka

150

z prostego faktu, że dla jakichś tam względów, do których nieraz wracał bolesną myślą, postanowił być prawdziwym lekarzem, ponieważ, jak sądził, nie było ich zbyt wielu na świecie.

Wzdłuż i w poprzek drogi przemykały jakieś zwierzęta, w zaroślach odzywały się znane i nieznane odgłosy - rzeźwiący chłód nocy sywał busz, przycichły i nieruchome za dnia.

Ojciec Cyryl, wyprostowany swoim zwyczajem za kierownicą, mężnie walczył z sennością.

Zbyt był obeznany z podróżami przez rozgadany swoim głosami nocny busz, żeby otrzeźwiał go strach czy wzmożona czujność.

Trzymał wprawdzie przy nodze gotowy do strzału sztucer, ale Marek nigdy nie był świadkiem sytuacji, w której zakonnik uznałby za słuszne go uścisnąć.

Jedynym sposobem na odpędzenie senności była rozmowa, niezbyt odżywiona do momentu, dopóki ojciec Cyryl nie podjął ulubionego tematu - wciąż uważał, że powinien zaznajamiać doktora ze swoim doświadczeniem we współżyciu z miejscową ludnością, żył i pracował w Bassar od sześciu lat.

- Trudno im na przykład pojąć upływ czasu, nie rozumieją historii.

Uczestniczyłem w Lome w projekcji filmu o miejscach, w których żył i działał Chrystus.

Nawet do studentów tonie docierało.

- Widzi więc ojciec, jakie znaczenie ma tu wszelka doraźność - mruknął doktor.

- Ale jest ona tylko środkiem.

- Dla mnie jest celem.

Nie liczą na nic, uwalniając ludzi od cierpienia.

- Doktor myśli, że my robimy wszystko w nadziei na zapłatę w niebie?

^ - Nie ja to powiedziałem - zauważył Marek wesoło.

- Nie potrzebujemy w ogóle tej motywacji.

Dobroć w ogóle nie

I potrzebuje śadnej motywacji, może nawet przestaje przy niej być dobrocią.

" - Powtarzam: nie ja to powiedziałem.

- Ale doktor mnie prowokuje - ojca Cyryla zupełnie opuściła senność.

- Obowiązek wobec Boga dyktuje obowiązki wobec ludzi.

I tu

spotykam się z doktorem na ziemi, na spalonej słońcem afrykańskiej ziemi, gdzie miejsce na wszelką doraźność w uwalnianiu ludzi od cierpień.

^ - Wobec tego - a propos!

- Marek tak się oświł.

- Nie ma ojz.

ciec jakiejś sprawy do Lomé?

Kończą mi się lekarstwa.

Zwłaszcza ta ślepotę rzeczną.

Gdyby nie było ich w Lomé, trzeba by się wybrać do Akry, Szpital nie może zostać bez tych lekarstw.

**151.**

- To chyba sprawa dostatecznie ważna.

-Dziękuję ojcu.

- Mogłaby pojechać z nami madame Gaby.

-Źle znosi jazdę jeepem.

- Ale pomożesz jej w pokonaniu tych trudów nadzieją na zakupy w Lome.

Mówiła, że ma kilka sprawunków.

-Nic mi niewspominała.

Ojciec Cyryl chrząknął z zakłopotania, milczał przez chwilę udając, że prowadzenie wozu wymaga akurat wzmożonej uwagi.

- Możesz.

nie zwierzasz się panu tak, jak mnie?

- A ojcu się zwierza?

- Doktora ogarniało coraz większe zdumienie.

- Z kimś przecieś musi szczerze porozmawiać.

Pan przeważnie zajęty, albo.

-Albo co.

...zbyt usilnie dba o to, żeby uświadomić jej wszelkie negatywy afrykańskiego życia.

- Chyba ojciec rozumie, dlaczego to robię?

Ojciec Cyryl znów zamilkł na długo.

- Rozumiem, mój chłopcze - powiedział wreszcie.

- Ale myślę, że twoje usiłowania nie na wiele się zdadzą.

Mimo późnej pory w dwóch oknach "doktorówki" świeciło się światło.

W kuchni kucharka Kowu przygrzewała wciąż kolację, w jadalni Gaby drzemała przy nakrytym stole, daremnie broniąc się przed sennością.

Kiedy usłyszała odgłos zbliżającego się jeeпа, zerwała się, podbiegła do drzwi, ale zaraz zawróciła i znowu usiadła przy stole.

Wiedziała, że Marek, gdy wracał z murzyńskich osad, niepozwał jej zbliżyć się do siebie, zanim się nie wymył i nie przebrał.

Chciała mu opowiedzieć o tym, co zaszło w szpitaliku podczas jego nieobecności, a raczej - do czego nie doszło, do czego nie dopuściła.

śałowala, że ojciec Cyryl odjechał zaraz przed "doktorówką", on byna pewno ją pochwalił.

Jednak odgłosy dochodzące z głębi domu, pobrzękiwanie wiader, w których Kowu nosiła wodę do pokoju, nazywanego tu łazienką, strzępy rozmowy między doktorem a kucharką - wszystko to na powrót zaczęło ją usypiać i kiedy doktor wszedł wreszcie do pokoju, wydarzenia dnia wydały jej się tak odległe i tak błahe, że nie miała w ogóle ochoty ich już opowiedzieć.

- Gaby!

- zawołał Marek z wyrzutem.

- Dlaczego na mnie czekałaś?

- Nie wiem - powiedziała całkiem szczerze.

- I naprawdę strasznie chce mi się spać.

Będziesz musiał odprowadzić mnie do domu.

Doktor cierpliwie odczekał, a Kowu, która przyniosła wodę, przestała się krzątać przy stole i zamknęła za sobą drzwi. Wtedy powiedział cicho:

- Nigdzie już stąd nie pójdziesz.

Niech się dzieje, co chce. Cyryl i tak wszystkiego się domyśla.

I wie o nas o wiele więcej - niż my sami.

Ojciec Cyryl w ogóle bardzo wiele wiedział o ludziach. Wiącając ich sakramentem małżeńskim Gaby Petersen z Nowego Jorku z doktorem Markiem Laskowskim z Warszawy -

uśmiechała się przez cały czas. W małym kościółku w Bassar pachniały jakieś kwiaty i zioła. Przyniesione przez Abego z sawanny.

Ich woń, tak obca dla Gaby, wносиła do kościoła coś nierzeczywistego.

Wbrew europejskim zwyczajom

w bieli wystąpił pan młody, ona miała na sobie Sólta sukienkę, w której po raz pierwszy Marek zobaczył ją w Paryżu.

Kowu i dziewczyny ze szpitala płakały głośno, dopiero później dowiedzieli się, że według afrykańskich zwyczajów płacz towarzyszył zawsze obrzędowi zaślubin.

Dźwiękom fisharmonii z magnetofonu i dźwiękami bębni i dzwonki przed kościoła

- miejscowa jedność na swój sposób świętowała zaślubiny swego doktora.

- ...

ślubuję ci miłość, wierność i posłuszeństwo - imię za cieniem Cyrylem Marek.

- ...

ślubuję ci miłość, wierność i posłuszeństwo - stworzyła tak się Gaby.

Abe wyskoczył przed kościół z wrzaskiem, zagłuszającym dzwonki:

- Biała madame jest teraz madame doktor!

Madame doktor Marek wyprowadził Sonę w blask afrykańskiego słońca, pocałował ją, a cały tłum przed kościołem wydał radosny okrzyk.

- Gaby!

Bardzo pragnę.

z całej duszy pragnę, żeby się nie śmiała.

- Myśl tylko o tym - szepnęła - jestem i będę zawsze bardzo szczęśliwa.

- Moi kochani!

- zawołał ojciec Cyryl, który tak się za chwilę wyszedł z kościoła.

- śyczę wam tego z całego serca - Kołtro Beatrycze!

Złóście śyczenia nowożeńcom.

- Siostra Beatrycze iść do szkoły!

- poinformował Abe.

- Zaraz prędko, bardzo prędko iść do szkoły?

- Przecież niema już żadnych zajęć - zdumiał się ojciec Cyryl.

- jest zaproszona na weselny obiad dodał doktor.

- Abe!

Biegnij po siostrę Beatrycze.

Abe zawahał się.

- Ale Kowu ma już w kuchni dziesięć krewnych!

- Dzisiaj może nawet stu!

- Nie!

Janie chcę!

- Abe!

Wystarczy i dla ciebie.

Wśród śmiechu, gwaru, odgłosów bębnow i dzwonek cały orszak ruszył do odświętnie przybranej "doktorówki".

- Och!

-- szepnęła Gaby - dlaczego dziadek.

dziadek i ciocia Gloria nie są tutaj z nami?

Dlaczego nie widzą mego afrykańskiego wesela.

- Właściwie.

- zmieszal się Marek - mogliśmy wysłać telegram.

Czy sądzisz, że cieliby przyjechać?

- Dziadek na pewno.

- A ciotka?

- No.

ostatnio raczej niechętnie rusza się z domu.

A poza tym.

- Poza tym?



- spytał, bo Gaby umilkła.

- Poza tym chyba mam nadzieję, że tegoroku twój urlop spędzimy w Stanach.

- Wspięła się na palce, pocałowała go w policzek.

- Ty podarowałeś mi Afrykę, a ja dam ci w prezencie Nowy Jork.

Taki sam tłum zebrał się przed "doktorówką" kilkamiesiąty później.

Przed wejściem stał jeepojca Cyryla, a on sam wynosił z domu i upychał w wozie liczne bagaże.

Abe kręcił się wciąż koło samochodu, upatrując momentu, w którym mógłby nacisnąć klakson.

- Abe!

Przestań trąbić!

- zdenerwował się w końcu misjonarz.

- Przynieś lepiej z pokoju tę szarą walizkę!

- Abe też jechać do Lome!

- poprosił i zapytał zaraz chłopak.

Usłyszał to doktor, stanąwszy właśnie w progu.

- Nie zmieścisz się.

Widzisz, ile bagaży.

Abe spuścił głowę, swoim zwyczajem pocierał stopą chudą łydkę.

- Abe widzi.

Ale Abe całkiem mały.

- Nie taki znów mały - doktor potargał go za włosy.

- Pamiętaj o wszystkim, co mówiłem - dodał serdeczniej.

- Bądź rozsądny, nieprzesiaduj nad rzeką.

Pomagaj siostrze Beatrycze.

Będzie miała dużo pracy.

Czy.

zeszłego roku objął spojrzeniem gromadę Murzynek,

które płacząc i jęcząc stały opodal - kiedy wyjeżdżałem na urlop, te kobiety.

te tak zawodziły?

- Nie powiedział Abe od razu.

- Dlaczego więc teraz?

Abe podniósł głowę i patrzył swoimi błyszczącymi źrenicami prosto w oczy doktora.

- Abe mówić prawdę?

- Zawsze Abe mówić prawdę.

Masz zawsze mówić prawdę!

- Zeszły rok doktorjechać sami one wiedzieć, że wróci.

- Idźże wreszcie po tę swoją walizkę!

- krzyknął ojciec Cyryl.

- Mnie samego - zwrócił się do doktora - te babska zaczynają denerwować.

Teraz zawodzą, a z byle powodu chciałyby od razu sprowadzać czarownika,

- Jakoś do tej pory nie wchodziliśmy sobie w drogę - uśmiechnął się doktor.

Misjonarz ten temat wolał pominąć milczeniem.

- Czy madame Gaby gotowa?

- zapytał.

- Dobrze by było wyjechać, zanim zacznie się upał.

- Gaby zaraz wyjdzie - zapewnił doktor.

- O, siostra Beatrycze!

- zawołał na widok spieszącej nadchodzącej zakonnicy - przecież pośleliśmy się już

wczoraj, po co siostra wstawiała tak wcześniej?

- Chciałam jesczeczdzisz.

- szepnęła czarna dziewczyna w śnieŜnobiałym habicie; od pewnego czasu nienosiła juŜ swoichafrykańskich strojów.

Patrzyła wtwarz doktora z rozpaczą, na którąsobie tenjeden jedyny raz pozwoliła.

- Chciałam Jeszcze panazobaczyć.

-Odwróciłagwałtownie głowę i dodałainnym tonem.

- Czy moŜnazresztą spać przytych jękach?

- Głowę daję - wtrącił się ojciecCyryl, nie zaprzestając upychaniabagaŜy we wszystkiekąty niezbyt pojemnego jeepa -Ŝe skończą sięzaraz, gdy tylko odjedziemy.

Jest to jednaz form teatralnych.

- Niech ojciec da spokój - powiedział doktor z łagodnym Ŝalem.

Wprogu ukazałasięGaby zupełnie gotowado drogi.

Ani ojciecCyryl, aninawet Marek nie widzieli jej jeszcze nigdy tak promiennej.

- Zdaje się, Ŝe wreszcie zabrałam wszystko - zawołała.

- Abe!

Nie ciągnij walizki po ziemi!

- Daj tutaj, w tył wozu - skinął na chłopakamisjonarz.

Gaby podeszła do siostry Beatrycze, wyciągnęła do niej rękę.

- Dowidzenia!

-Szczęśliwej drogi!

- powiedziała czarna dziewczyna, wyprostowała się, uniosła wysoko swojąmałą głowę.

# 155.

- Do widzenia, siostró!

- Marek tak uściskał jej rękę.

- Niech doktor wraca!

- powiedziałyście.

- Niech doktor prędko wraca poprawiła się zaraz.

Kiedy oddalającego się jeepa zasłonił gęsty obłok kurzu, a Abezaczął płakać, objęła chłopaka i przycisnęła go do siebie.

- I pojechali!

- powiedziała.

Przed odlotem do Nowego Jorku było jeszcze pięć prawdziwie świątecznych dni w Paryżu.

Marek chciał zamieszkać w pensjonacie, w którym zatrzymał się przed rokiem, i Gaby -

niespodziewanie się na to zgodziła.

Stary recepcjonista poznał ją od razu.

- Och, pamiętam!

Wynajęła pani pokój na tydzień.

- Ale się nie zjawiłam - roześmiała się.

- To już nieważne.

Marek nic nie rozumiał.

- Przecież wiesz, że zawarłam z panem znajomość poza twoimi plecami.

Właściwie to pan nas wyswatał.

Teraz recepcjonista nie mógł nic zrozumieć.

- Ja?

Madame!

- Pan!

Pan!

- śmiała się.

-Wieczorem wypijemy razem szampana.

I rzeczywiście zjawiała się wieczorem w recepcji z butelką szampana.

-Bo to pan mi przecieŜ powiedział, Ő doktor lecido Togow Afryce - wyjaśniła wciŜ zdumionemu recepcjoniŐcie.

- Udałam się tam razem z nim i - niech pan sobie wyobrazi - wydałam się tam za niego, Starszy pan popijał szampana, potrząsając głowŐ; prawdopodobnie w dalszym ciŐgu nic nie rozumiał, a młoda Amerykanka i tym razem wydała mu się najdziwniejszŐ dziewczynŐ na Őwiecie.

- Chciałam mu udowodniċ - ciŐgnęła dalej Gaby juŜ trochę poddziałaniem szampana; dla starego recepcjonisty była jednak wciŜ ŐwieŐym powietrzem, które wtargnęło do zatęchłego kantorku - chciałam mu udowodniċ, Ő będę go kochaċ nie tylko w ParyŜu, alei wszystko jedno gdzie.

-Kochanie!

- przerwał te wynurzenia Marek.

-Lecimy za kilka dni do Nowego Jorku i, jak narazie, to twoje "wszystko jedno gdzie" przedstawia się całkiem najgorzej.

Na nowojorskim lotnisku czekał na nich dziadek Gaby wraz z siostrŐ jej nieŐyjŐcego ojca, ciotkŐ GloriŐ Steinbrook.

Powitaniom i uŐciskom nie byċo koŐca, cieszonosię tu z przyjazdu Gaby, jakby wracaċa skŐdŐ cudem uratowana, wyrwana z samej paszczy lwa.

Marek staċ na uboczu i czekał cierpliwie, a Ő się panie wypċacŐ ze wzruszenia.

156

- Moje drogie dziecko!

- powtarzaċa wciŜ wcale jeszcze młoda i przystojna ciocia, nie przestajŐc zerkaċ ku niemu z niepokromionŐ ciekawoŐciŐ.

-JuŜ prawie straciċam nadzieję, Ő zobaczę cię ŐywiŐ!

- I zobaczyċa ciocia!

- śmiaċa się Gaby.

-A to jest mój mąż, Marc.

Doktor Laskowski.

Ciotka Gloria chwyciła go także w objęcia, ale dziadek przyjrzałmu się najpierw zdaleka.

On jemu zresztą także.

Wysoki i silny przypominał amerykańskich starszych panów z reklam najlepszych gatunków whisky i cygar, którzy po to między innymi wzięli udział w drugiej wojnie światowej, żeby móc je teraz pić i palić w spokoju.

W jakiś nieuchwytny sposób naprawdę z epoki Hemingwaya, bezceremonialnie mu się najpierw przyjrzałwszy - wyciągnął do niego rękę.

-Więc to jest ten twój polski chłopak!

Gaby rzuciła się go ścisnąć i całować.

- Sam dziadzio widzi, że mogłam stracić głowę.

-Mogłaś.

mogłaś - mruzczał najstarszy i jedyny wrodzie pan Petersen, oddając pocałunki.

- Wiedziałam, że się wam tak spodoba!

-Ale, kochanie - zaproponował wreszcie, zmieszany.

- I posłuchajcie tylko, jak on wymawiało słowo.

to wytarte amerykańskie słowo!

- zawołała Gaby.

Cóż to jest miesiąc na to, żeby poznać Nowy Jork!

żeby móc powiedzieć, że było się w Stanach!

Marek - po ubóstwie miejsc, w których przebywał, zanim tu przyjechał, po ich spalonej słońcem, puste, jałowej przestrzeni, i po tym, co oglądał, w czym był przedtemi co bardzo kochał, nie pozwalając sobie na śądne oceny i porównania - czuł się wciąż tak, jakby go ktoś pięścią uderzył w śołądek.

Niewiedział, dlaczego nie doznawał tego uczucia w Paryżu, dlaczego nie czuł się pokonany i upokorzony jego bogactwem i pięknnością, nie przyjmował ich jako wyzwania do bolesnych zamyśleń.

Tam, nad Sekwaną, jeśli czegoś pragnął, w pogodny sposób

wyobrażał sobie, że popracowawszy jeszcze w Afryce, będzie mógł to sobie kupić.

Tutaj, choć jako mąż Gaby Petersen, dysponującej po śmierci rodziców niemałym majątkiem, mógł sobie wyobrazić wiele realniej - nie czuł z tego tytułu radości.

I niczego nie pragnął, co było najbardziej zdumiewające.

Oglądał najpiękniejsze wystawy bez owego błysku w oku, na który tak czyhała Gaby.

- Nie chcesz nic mieć?

- pytała.

- Nie, kochanie - odpowiadał (dlaczego ze smutkiem?

)- nieznajduję tunic dla siebie.

- Nie jesteś chory?

- dopytywała się Gaby.

-Nie.

Co ci przychodzi do głowy?

Nie chciał nic mieć!

Może to naprawdę choroba?

Nie afrykańska chyba jednak ani polska; ci, którzy stamtąd przyjeżdżali, rzucali się nadmiar dóbr, zastany w jakimkolwiek miejscu świata, z nigdy nienasyconym łakomstwem, o ile oczywiście mieli środki, żeby je zaspokajać.

Na co więc był chory?

I w jaki sposób powinien się leczyć, żeby przede wszystkim przysparzać zmartwień Gaby, obserwującej go wciąż z niepokojem?

Kurację - najmniej spodziewanie - rozpoczęła ciotka Gloria.

Rozwiedziona od dwóch lat, całą energię niemarnowaną już na poskramianie męża - poświęcała teraz sprawom ukochanej i osieroconej bratanicy.

Na początek wymyślił wystąpienie jej męża w UNICEF.

Marek początkowo bardzo się bronił.

Uważał, że w Afryce był zbyt krótko, żeby wypowiadać się na temat, który wymagał poważniejszych doświadczeń.

Było zapewne wielu lekarzy, dowodził pani Glorii, którzy bardziej kompetentnie i autorytatywnie mogliby zabierać głos w sprawie leczenia i opieki nad dziećmi naczernym łądzie.

- Mój drogi - nie zgadzała się z nim - właśnie ktoś, kto przybywa prosto stamtąd, wnosi powiew prawdy i autentyzmu, tak ważny w pobudzaniu pozytywnych decyzji w tej dziedzinie.

Właśnie ty, który przybywasz wprost z tego szpitaliku w Bassar.

Ale ciociu - wciąż bronię się, usiłował tartować Marek - powyjeżdżesz Bassar spędziłem pięć dni w Paryżu i ponad trzy tygodnie w Nowym Jorku.

Już właściwie przygotowuję się do wyjazdu.

Pani Steinbrook przyjrzała mu się spod oka.

- Przygotowujesz się do wyjazdu.

- powtórzyła wolno.

- A więc dlatego - zaczęła z nowym przyływem energii - właśnie ty powinieneś mówić na ten temat.

Bo czyba pragniesz powiększenia dotacji UNICEF dla swoich podopiecznych?

Skapitulował.

Skapitulował, nieprzeczuwając, że zgoda na wystąpienie przed tak poważnym audytorium może pociągnąć za sobą przygotowania inne niż poczynienie najkonieczniejszych notatek, sprecyzowanie potrzeb, o których zaspokojenie miał zamiar zabiegać.

Tymczasem ani się spostrzegł, jak znalazł się w kilku magazynach, skąd wyszedł przebrany odstóp do głów, objuczony ponadto paczkami z garderobą, która miała go upodobnić do innych tutajszych młodych ludzi, pnących się poszczęblach kariery, bo taką mu -

jak orientował się później - przypisano tu rolę.

Uważał, że powinien zjawić się w UNICEF właśnie tak ubrany, jak zwykł chodzić w Afryce, ale pani Gloria przyjęła ten pomysł ze zgrozą.

Miała w UNICEF liczących się znajomych i pragnęła, żeby mąż jej bratanicy zrobił na nich jak najlepsze wrażenie, według jej wyobrażeń oczywiście.

I tym razem ustąpił.

Przyzwyczajony do dżinsów i koszuli, nie mógł od razu przywyknąć do zakupionych garniturów i nie



czułeś w nich swobodnie.

Do diabła!

myślał.

Zrzucę z siebie to wszystko, kiedy tylko zobaczę jeepojca Cyryla.

Starając się o bezwzględną szczerą przed sobą, nie mógł zrozumieć, skąd się brała w nim ta tęsknota do prymitywu i ubóstwa, które przecież bardzo dokuczały mu w Afryce.

Czy rodził ją opór przeciwko temu wszystkiemu, co go teraz otaczało, co go teraz osaczało i co inni ludzie skłonni byliby uważać za niewątpliwą uśmiechlosu?

Amośe strach?

Przed czym?

Przed samym sobą?

Przed trąconym, czego dopracowywał się w sobie w miejscach świata, gdzie Jawi się on we właściwym obrazie i gdzie nie można powiedzieć, że się niewie, jakim jest w swej istocie.

Ale Gaby była, a raczej bywała, w tych dniach szczęśliwa.

I nie miał prawa tego nie dostrzegać, nie zdawać sobie z tego sprawy. Chodziła po sklepach, dobierając do Jego nowych garniturów odpowiednie koszule i krawaty, u jubilerów szukała spinek nie śluzjącego w wynajdywaniu właściwszych.

Wiedział, że krzywdziłby ją sądząc, iż stanowi dla niej okazję do jeszcze jednej zabawy w życie.

To nie była zabawa.

Przylapywał ją nieraz na czujnych i zatrwożonych spojrzeniach, a w nocy obejmowała go zawsze mocno ramionami i budziła się od razu, kiedy oddalał się od niej.

Za oknami, przesłoniętymi szaluzją chroniącą od światła neonów, syczał, tętnił, warczał i huczał, a tak się bawił i płakał - Nowy Jork.

Bogaty, zasobny, z wszystkimi guzikami cywilizacji, które należało tylko nacisnąć - nie miał guzika, który należałoby nacisnąć, żeby doznać ciszy i spokoju sumienia, jaki nieraz miewało się w Bassar.

Do licha!

denerwował się wtedy, a zdarzało mu się to coraz częściej.

Wszędzie można mieć spokojne sumienie, wszędzie są ludzie czekający na pomoc lekarza i można

mieć spokojne sumienie, jeśli się jej udzieli.

Przeraził się, że zaczął o tym myśleć, że jednak zaczął już o tym myśleć.

Zerwał się i poszedł do łazienki napić się wody.

Długo stał przed połyskliwą ścianą z ceramiki, luster iniklu, długo patrzył na odbicie swojej twarzy.

Kiedy wrócił do sypialni, rozbudzona i zatrwożona Gaby zapytała od razu:

- Co się stało?

- Nic, kochanie.

Musiałem napić się wody.

- Źle się czujesz?

- Przestań podejrzewać wciąż chorobę w byku tak zdrowym, jak ja.

- Bo zerwałeś się tak nagle.

- Śpij już, proszę - powiedział łagodnie.

Wystąpienie UNICEF wypadło świetnie.

Sam może nie był siebie w pełni zadowolony, ale jego nowa rodzina była nim zachwycona.

W przerwie podczas obrad pani Steinbrook zaczęła przepychać się ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

- Marc!

Kochany!

Wspaniale!

Wspaniale przemówienie!

- Ciocia bardzo łaskawa - pocałował Glorię w rękę chyba w zbyt widocznym roztargnieniu.

Rozglądał się za tymi, których opinia mogła być miarodajna, ale Petersenowie otaczali go ciasnym kołem.

- Tylko szczerza!

- zapewniała ciotka - Tylko szczerza!

Wiedziała, że muszę prowadzić cię na sesję afrykańską w UNICEF.

Co innego czytać sprawozdania, a co innego zetknąć się z człowiekiem, który przybywa stamtąd.

Marek oczekiwał wciąż bardziej kompetentnych opinii ludzi, których poznał w UNICEF przed kilkoma dniami.

Stali opodal i śmiechali się do niego, ale Saden z nich nie skierował się ku niemu.

- Mogłem mówić tylko o moich skromnych doświadczeniach - powiedział, coraz bardziej tym speszony.

- Są to jednak doświadczenia, mój chłopcze!

- Dziadek Petersen wyczuł jego niepokój.

- A one wszędzie liczą się na świecie.

- Kochanie!

- szeptała Gaby.

- Byłam taka dumna, kiedy mówiłeś!

Nie masz pojęcia, jaka siedziałam wyprostowana.

Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, że to przemawia mój mąż.

- Nie przesadzaj, Gaby - poprosił.

- Na wieczór jesteśmy zaproszeni do senatora Morrisa - obwieściła pani Steinbrook.

- Bardzo mi zależy, żeby osobiście poznał Marca.

Zawsze otoczony ludźmi, a jednak znalazł sekundę czasu, żeby mi szepnąć, jak bardzo pozytywnie ocenia jego przemówienie.

- Ale po co.

od razu.

- przeraził się Marek.

Marzył o tym, żeby po pozbyciu się zmory wystąpienia w UNICEF spędzić wieczór w domu, bez żadnych drinków, pójść wcześniej spać, a rano pojechać z Gaby do Central Parku na tenisa - Mój drogi - pani Gloria była rozczarowana, że nie wyraził entuzjazmu - trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Morris wiele znaczy w UNICEF.

- Aleś ja.

- zdumiał się - naprawdę nie potrzebuję Śadnego poparcia.

- Kochany chłopcze!

- uśmiechnęła się i był to w tym momencie jedyny uśmiech w rodzinie Petersenów, dziadek i Gaby patrzyli gdzieś w bok i nie mógł napotkać ich spojrzenia.

- Kochany chłopcze, na całym świecie nie ma jednego człowieka, który by nie potrzebował poparcia - uwierz nie całkiem jeszcze starej, ale doświadczonej ciotce.

Przyjęciu senatora Morrisa było raczej skromne i odbywało się na stojąco.

Kto chciał, mógł oczywiście przycupnąć gdzieś foteluze szklaneczką whisky w ręce, ale zadaniem Marka było krążyć wśród zebranych, zawierać znajomości i za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie.

Wyzaczyła mu pani Steinbrook i nie chcąc sprawić jej zawodu, poddał się temu Śyczeniu - nie bez przyjemności nawet, co stanowiło dla niego samego duże zaskoczenie.

Podobał się sobie w rozmowach, jakie tutaj prowadził - między innymi z ludźmi, na których opinii tak mu zależało, a którzy tak się byli przyjęciu i, być może, wiedząc, że tu będą, nie pchali się do niego tuś w przemówieniu - podobał się sobie w bezustannej konfrontacji z przedstawicielami tego wspaniałego kraju, których nie opuszczało przekonanie, że jest to absolutnie najlepsza ojczyzna, jaką można mieć, ba!

podobał się sobie w licznych lustrach, wychodzących mu wciąż naprzeciw ze ścian.

Szukał wtedy bezwiednie Gaby, żeby i w jej oczach znaleźć potwierdzenie uczuć, jakich doznawał - ale Gaby była wciąż otoczona ludźmi; prawdopodobnie i jej ciotka Gloria wyznaczyła to samo zadanie: zawierania znajomości i sprawianie dobrego wrażenia na wszystkich.

W ciągu krótkich spotkań w tym tłumie, bezustannie popijającym na stojąco i na stojąco pogryzającym miniaturowe zakąski, zdołali jednak wyrazić sobie swoje wzajemne uznanie -

ona zrobiła z niego kogoś przypominającego prawie Roberta Redforda w "Wielkim Gatsbym" i sprawiła, że naprawdę zaczynał czuć się, jakby napisał go Scott Fitzgerald w najlepszym swoim okresie, on uczynił ją tak promienną, że można było ogrzać się w jej pobliżu.

Kiedy wychodzili po skończonym wieczorze, senator Morris ścisnął ich obojw ramionach.

- Miło będzie widywać was tu częściej - powiedział.

Marek powtórzył to pani Steinbrook po powrocie do domu.

- Zdawkowa formuła gościnności.

Jak on to sobie wyobraża?

- śmiała się.

"Miło będzie widywać was tu częściej"!

Za tydzień będziemy już w Bassar.

Bardzo rozochociona drinkami pani Gloria spowaśniała natychmiast, choć uśmiechała się nadal, ale jakby z powagą i serdecznością naleśną tej chwili.

- Senator Morris ma zamiar zatrzymać cię w centrali UNICEF.

- Aleś.

wyjął Marek nie prosiłem o to.

- Wiem, że nieprosiłeś.

To bardzo piękne z twojej strony, że nieprosiłeś - pani Steinbrook pocałowała go w czoło, zapominając, że ten gest matczynej była stanowczo za młoda.

- To niespodzianka, mój drogi!

Niespodzianka dla ciebie i Gaby!

- Ciociu.

- szepnęła Gaby tym popłochem, który na przemian z wyrazem szczęścia miewała ostatnio w oczach.

- Nie cieszy się?

- pani Steinbrook nie spodziewała się takiego rozczarowania.

- Ojczy!

Oni się nie cieszą!

- Poczekaj, moja droga - odezwał się pan Petersen z wyczuwalną rezerwą w głosie.

- Zaskoczyłaś ich tak nagle.

- A jak inaczej miałam to powiedzieć?

Jak inaczej według ojca?

- Teraz młodzi lubią sami decydować o swoim losie,

-Ach, to nie dlatego- zaprzeczył Marek gwałtownie.

- Nie chciał odbierać pani Steinbrook słusznych jej zdaniem racji w załatwionej sprawie.

-Nie dlatego.

, Ja po prostu muszę być za tydzień w Bassar.

Tam niema innego lekarza.

Kolega z Lome zgodził się tylko raz na tydzień tam dojechać.

A poza tym tak się wyjeżdżana urlop.

- Mój drogi!

- Ciotka Gaby szybko zwalczyła uczucie przykrości, jaka ją spotkała.

-Na twoje miejsce na pewno znajdzie się ktoś inny.

- Ale nieprędko.

Tymczasem tam.

Słyszeliście przecie, co mówiłem przed południem na sesji.

Gaby poza tym zna to wszystko z autopsji.

Lekarz potrzebny jest tam każdego dnia.

Musi sam starać się o lekarstwa dla chorych.

- A jak dotąd żyli, kiedy ciebie tam nie było?

- zapytała z oschłą trafnością pani Steinbrook.

Marek zaczął się denerwować.

Zaczynał się denerwować, czując równocześnie absurdalną śmieszność swego uporu.

Ciotka Gaby, oni wszyscy zresztą, wszyscy Petersenowie, mogli słusznie poczytywać go za wariata -  
posada lekarza w szpitaliku w Bassar i stanowisko w centrali UNICEF w Nowym Jorku!

Kto by się wahał w wyborze?

Kto by niedoceniał.

Powiedział jednak:

- Nie wiem, jak dotąd żyli.

Posłano mnie tam, żeby było inaczej.

Mam trzyletni kontrakt i nie powinienem.

nie wolno mi go nie dotrzymać.

Są kraje, które bezustannie potrzebują pomocy i nie można pomniejszać jej tak skromnych rozmiarów.

Mówiłem przeciwko tym!

Mówiłem tylko o tym.

- Ale, Marc drogi - przerwałam pani Steinbrook z wciąż żywą nadzieją, że zdoła zmienić tok rozmowy - wszyscy są zgodni co do tego, że przemówienie było świetne,

- Ale nie tylko to powinienem był powiedzieć!

Mówimy wciąż o skutkach, skrzętnie przemilczając przyczyny.

Byłem przez dwa lata w Wietnamie.

- Marc!

- krzyknęła boleśnie Gaby!

- W Wietnamie zginął mój brat!

Przyciągnęła ją przygarnął do siebie.

- Przykro mi!

Ja byłem dwa lata w Wietnamie po zawarciu pokoju.

I trzy lata postanowiłem spędzić w Afryce.

Przyrzekłem to mojej matce.

Przyrzekłem mojej matce przez pięć lat leczyć dzieci najbardziej potrzebujące pomocy, ponieważ ona jako dziecko spędziła wojnę w niemieckim obozie dla dzieci.

Na pewno nikt tutaj nie wie i nie wierzy, że było coś takiego.

że były obozy, gdzie dzieci cierpiały sto razy więcej niż żołnierze w okopach.

To powinienem był powiedzieć zamiast zachłystywać się zachwytyami nad dobroczynnością.

I tojeszcze, Œe narody, których dzieci nie odczuły, co to jest wojna- nieznajaw pełni jej nieszczęścia.

- Marc!

O, mój BoŒe!

- szeptała Gabyz rozpaczą.

- I być moŒe dlatego, być moŒe dlatego staćje tylko na dobroczynność, a nie na zapobieganie złu.

-Stać nas było takŒe na zapobieganie złu - odezwał sięniecopodniesionymgłosem pan Petersen - mówisz do Œołnierza wielkiejwojny.

Przepraszam.

Bardzo przepraszam-Wiem, wszedł panrazemzHemingwayem do oswobodzonego ParyŒa.

Ale wielka wojna sięskończyła, a małe wciążŒ trwają.

A cierpi się i umiera tak samonamałych, jaki na wielkich - i będzie się tak samocierpiałoi umierałonatej największej, która moŒe nastąpić, jeśliŒwiat nie uruchomi sumień i umysłów wcześniej od wyrzutni.

To właśnie powinienembyłpowiedzieć ludziom, którzy mnie dziśsłuchali.

TakŒe i tobie, Gaby,oczekiwałaś, Œe kiedyś to nastąpi.

Œe wreszcie powiem ci, dlaczegozdecydowałem się na tę pracę.

Przyrzekłemmatce, Œe nigdy nie zapomnę.

Œe będę jeszcze jednym ogniwemw łańcuchu pamięci, którypowinien opasywać Œwiat, Œeby się nie rozleciał na kawałki.

Cisza, która zapadła potych słowach i trwała bardzo długo,uprzytomniła Markowi drastycznąniestosowność jego wybuchuw tym domu i wtym dniu, tak dotąd pomyślnym.

- Przepraszam - zaczął cicho, ale juŒ było za późno, pani Steinbrook łkała, głośno i rozdzierająco, jak dziecko, które niesprawiedliwie ukarano i któremu nic juŒ nie mogło wynagrodzić tej krzywdy -

-Mój BoŒe!

- wołała wśródłkań.

-I co jateraz powiem Morusowi?



Co ja mu powiem?

Wykazałyte dobrej woli w załatwieniu tejsprawy!

Tyle prawdziwej serdeczności, zwłaszcza kiedy się dowiedział, że Gaby oczekuje dziecka.

- Och, ciociu!

- rozplakała się tak że Gaby.

-Po coś to powiedziała!

Nie chciałam, żeby Marc wiedział!

Nie chciałam, żeby podejmował decyzję pod tą presją.

- Czy to prawda?

- Marek uniósł twarz Sany ku sobie.

Plakałaby rozdzierająco, żeby móc odpowiedzieć.

- To prawda?

Pani Steinbrook przycichła w swoim salonie, skinęła na ojca uznając, że w takiej chwili powinno się młodych zostawić samych.

Stanowczo marnowała się, niezasiadając w ONZ.

Nastąpił teraz okres wzmożonej korespondencji.

Do Afryki oczywiście nie pojechali.

Nie pojechał!

Bo przecież to on był tam potrzebny, Gaby mogła w spokoju oczekiwać dziecka w Nowym Jorku.

Ale i tego nie mogła jej zrobić wiedząc, że wtedy w spokoju by własnie zaznała.

- Pani Steinbrook wykazała w tych dniach maksimum taktu.

Mogła na przykład powiedzieć, że w końcu i tak po roku opuściłby Bassar, ale nie powiedziała tego.

Co dnia zdawała sprawę ze swoich starań wokół zapewnienia szpitalikowi nowego lekarza.

Nie ona ponosiła winę, że szło to opornie.

Obiecywano jej, że do Bassar zostanie przeniesiony irlandzki lekarz z Kapsztadu.

Łatwobyło się domyślić, że nie miał na to ochoty.

Tymczasem Marek pisał listy.

Najpierw do matki.

żeby zwolniła go z danego słowa.

Korespondencja z Polską wymagała cierpliwości.

Wreszcie nadszedł list ze słowami, których oczekiwał.

Któraś matka nie cieszyłaby się namiętnością, że przed synem otwiera się amerykańska kariera?

Nie napisał tego wprost, nie napisała tak wprost, jednak miała nadzieję na jego powrót do kraju po wygaśnięciu kontraktu z UNICEF.

Za bardzo znał matkę, żeby nie wiedzieć, ile ją to kosztowało.

Wprawdzie w listach, pisanych po zawarciu małżeństwa, napomykał nieraz (coś za straszne słowo!

ale nim właśnie musiał określić enigmatyczność swoich planów), że obydwójce z Gaby wybierają się do Polski, nigdy jednak nie sprecyzował, czy miałyby to być wizyta, czy też.

164

Pisał tak do ojca Cyryla.

I w tym wypadku trzeba było długoczekać na odpowiedź.

Ojciec Cyryl nie zawiodł, tak jak nie zawiodła matka.

Uważał, że decyzja doktora była słuszna, przekazywał gratulacje z powodu nadziei na powiększenie rodziny, cieszył się, że Gaby miała odpowiednie warunki w tych trudnych i ważnych dla kobiety dniach.

W tym wszystkim był jakiś ślad.

Nie wyrażony żadnym słowem, więc może nie był to ślad doznawany przez piszących.

żeby go stłumić, rzucił się w pracę w centrali UNICEF, jakby sam sobie przybywał na ratunek.

Na pewno nie wymagała aż takiej gorączkowości, wszystkobyło tu poukładane jak w pudełku, nowi koledzy patrzyli na niego z dumą - czy trzeba było tu coś zmieniać, poprawiać, reorganizować?

No, no.

myśleli.

Trzydzieści pięć milionów takich jak on!

Gaby pomału odzyskiwała spokój i pogodę.

Popłoch i niepewność jej oczach przytłumił i wygładził tenszczególny sposóbzamyślnego dalekiego patrzenia, jaki zwykle mająprzyszłe matki.

Bała sięjuŜ teraz tylko listów, które przychodziły do Marka, za bardzo na nieczekał, Ŝeby moŜna je było lekcewaŜyć.

Ale i z nich płynął spokój, zwłaszcza po wiadomości przekazanej przez Cyryla, Ŝe irlandzkilekarz z Kapsztadu podpisał wreszcie dwuletni kontrakt, za o wielewyŜszym w Bassar, niŜ w Kapsztadzie, wynagrodzeniem- Mareki z nim zaczął korespondować, czując się powołany, a nawet zobowiązany do udzielania mu pomocy przynajmniej w tej formie, choćjemu, gdy przybył do Bassar, nikt jej nie udzielił, poza Ŝyczliwąobecnością ojca Cyryla.

Pisywałnawetdo Abego i siostry Beatrycze, nie zraŜając się tym, Ŝe odpowiedzi otrzymywał tylko odniej.

- Co za leń!

- mówił do Gaby.

-PrzecieŜ umiał juŜ całkiem dobrze pisać.

Czy to moŜliwe, Ŝebyprzestałchodzićdo szkoły i zapomniał pisać po moim wyjeździe?

- ToniemoŜliwe odpowiadała Gaby.

Nic Jej to nieobchodziło, ale intensywność, z jaką czekał na listod czarnego chłopca, nakazywała przynajmniej go pocieszać.

- Na pewnochodzi do szkoły i zapewno pomagaw szpitaliku nowemu lekarzowi, tak jak pomagałtobie.

Ma więc mnóstwo zajęć, a napisanie listu, pierwszego przecieŜw Ŝyciu, wymagał czasu, i skupienia.

Zobaczysz, Ŝe wreszcie napisze.

Listu od Abegojednak wciąż nie było.

Powiniensię był z tym pogodzić, sprawa była w końcu całkiemłaha, pisał, nie pisał, trudno.

Ale chłopak obudził w nim istnąobsesję - zaczął być dla niego całą uraŜoną ambicjączarnej Afryki.

Wciąż staralsię uzyskać odniego choćby jedno słowo, a,

w nim.

cień, namiastkę przebaczenia.

Daremnie.

Ani siostra Beatrycze, ani ojciec Cyryl, proszeni o nakłonienie Abego, żeby napisał wreszcie do swego doktora, nie potrafili tego dokonać.

Zresztą coraz częściej pomijali ten temat milczeniem.

Marek zaczął więc podejrzewać, że z chłopakiem dzieje się coś niedobrego.

Wyglądało na to, że nikt nie może sobie z nim poradzić.

Zamiast chodzić do szkoły i pomagać w szpitaliku, włóczył się zapewne po mieście i okolicy, jak inni chłopcy, których trudno byłoby nakłonić do systematycznej pracy.

Marek - ku uldze Gaby - zdecydował, że ostatni raz zapyta o niego doktora Mc-Barthy'ego. Tego dnia, kiedy przyszedł list od Irlandczyka, Gaby całe przedpołudnie spędziła z dziadkiem i ciotką w Central Parku, oddychając czystym powietrzem i zaszywając ruchy, tak potrzebnego przyszłym matkom.

Wyglądała świetnie, pani Steinbrook uważała, że była jeszcze ładniejsza niż przedtem.

- Ciocia tak mnie tylko pociesza - śmiała się Gaby.

- i chcę przez to powiedzieć, że to chyba będzie syn.

Bo podobno, kiedy kobieta ładnie wygląda w tym stanie.

- Jestem pewny, że będziesz syn - wtrącił się do tych rozmów dziadek.

- Już nawet wiem, do jakiego lokalu zaproszę go w dniu jego pełnoletności.

- A nas nie zaprosisz?

- dopytywała się tartobliwie córka.

- Oczywiście.

W takim dniu powinna być przy stole cała rodzina Petersenów.

Ale niejako awansem zapraszam was dzisiaj na lody pistacjowe do tej nowej włoskiej cukierni przy Piątej Alei.

Mam nadzieję, że Marc nie wróci zbyt zmęczony.

Po co ten człowiek tak haruje, nie mam pojęcia.

- Jestnowym pracownikiem i w dodatku cudzoziemcem - Gaby przy najlSzejszym zaatakowaniu Marka zawsze od razu zaczynała go bronić.

- A poza tym.

- Co poza tym?

- zapytała pani Steinbrook.

- Poza tym.

nie chce Sądnej taryfy ulgowej dla protegowanego senatora.

- On jest przeczulony, ten twój Marc.

Poznaliby się na nimi bez tej protekcji.

Senator może tylko sprawił, że stało się to.

nie wcześniej.

Marek rzeczywiście wrócił zmęczony, ale zaczynał odpoczywać już od progu, usłyszawszy o cudownym przedpołudniu, jakie Gaby spędziła w Central Parku, o pozyskaniu nadzwyczajnej jakiejś nurse, która miała rozłożyć opiekę nad dzieckiem zaraz po jego urodzeniu,

o zaproszeniu przez dziadka całej rodziny na lody pistacjowe do nowej włoskiej cukierni.

o liście z Afryki wreszcie, czekającym na niego na stoliku w hali.

- Nie zaczynaj czytać przed obiadem - pani Steinbrook ostatnim spojrzeniem sprawdziła nakrycie stołu.

- Bella już podaje zupę.

Marek jednak rozerwał kopertę.

List był krótki.

- Od kogo?

- spytała Gaby.

- Od doktora Mc-Barthy'ego.

Pytał mnie w ostatnim liście o pewną afrykańską przypadłość i poradziłem mu.

- Marek przesunął spojrzenie po kilkunastu liniach tekstu, zbladł, złożył list wedwoje i wsunął go z powrotem do koperty, po czym znów go wyjął, rozłożył, przeczytał jeszcze raz, ręce mu drżały.

- Co się stało?

- szepnęła Gaby.

Marek nie patrzył na nią, nie patrzył na nikogo w pokoju.

- Abe.

Abe stracił wzrok.

Ślepotą rzeczna.

Dlatego.

nie napisał do mnie listu.

- Ten chłopak, który pracował przy tobie w szpitaliku?

- zapytał pani Steinbrook.

- Tak.

Tak!

- krzyknęła Gaby.

- On!

Co pisze doktor Mc-Barthy?

- zwróciła się cicho do Marka.

- Pisze - odpowiedział, wciąż nie patrząc na nią ani na nikogo w pokoju - Śnie zna szczegóły.

„ Stał się to przed jego przyjazdem do Bassar.

Ojciec Cyryl opowiadał mi, że akurat zabrakło w szpitaliku lekarstwa na ślepotę rzeczna.

Siostra Beatrycze pojechała po niego do Lome, tam tak śnie go nie było, usiłowała pojechać do Akry, ale granica z Ghaną była zamknięta, w Akrze wybuchła rewolucja.

- Rewolucja w Akrze.

- niepotrzebnie usiłował sobie przypomnieć pan Petersen.

- Kiedy to było.

- Akurat wtedy - bardzo cicho powiedział Marek - kiedy obejmowałem tu stanowisko w centrali

UNICEF, nawiązywałem znajomości, wygłaszałem nikomu niepotrzebne odczyty.

-Ty takŜe nie zdobyłbyś tego lekarstwa - zawołała Gaby.

- Nie wiem.

nie wiem - jęknął.

- Przedostałbym się jakoś do Akry,.

Mam zagraniczny paszport.

- Nie zdobyłbyś!

- rozplakała się Gaby.

- Uspokój się!

- Ciotka Gloria otoczyła ją ramieniem.

-To moŜeci zaszkodzić!

Przykra, ogromnie przykra sprawa, ale jeśli weźmie się pod uwagę, ile tysięcy ludzi umiera dziennie w takich rejonach świata.

- Przepraszam - powiedział Marek, kierując się ku drzwiom.

-Nie będę Jadłobiadu.

Zwykle zasypiali przytuleni do siebie, albo przynajmniej trzymając się za rękę, co wymyśliła Gaby - leŜeć razem w łóŜku, mówiła, i trzymać się za rękę, to dopiero szczyt bliskości!

Tej nocy takŜe tak zasnęła, z dłonią na jego ręce, ale kiedy nabrał przekonania, Ŝe śpi mocno - ostro Ŝnie, milimetr po milimetrze, wysunął rękę i uściskuje palców.

Obudziła się odrazu.

-Nie kochasz mnie juŜ tak, jak dawniej?

-zapytała.

- Co ci przychodzi do głowy?

- Natychmiast był przy niej, przytulił jej policzek do swojej piersi.

-Jak mogło cicoś takiego przyjść do głowy, kochanie?

Co innego mógł jej powiedzieć?

Wkaśdym raziena pewno nie to,śe miała rację, śe naprawdę kochał ją przynajmniej, ito dziecko mającedopiero się narodzić, ale posiadające już nurse najlepszą z najlepszych, kochał

takśe mniej tylko dlatego, śe niewidomy chłopak,którego wciąż miał przed oczyma, potykając się biegł przez sawannę.

Za opuszczonymi śaluzjami śył, tętnił,warczałi huczał, bawił się,a takśe i płakał Nowy Jork.

Wszystko jednogdzie - i tu takśe ludziepotrzebowali pomocy,ale doktor Laskowski,tak świetnie zapowiadający się w LJNICEF,wiedział, śedo końca śycia nie opuści go myśl czarnym, chudym chłopcu wza obszernych na niegoporciętach,posuwającysię zwyciągniętymi przed siebie rękoma przez światbez kolorów i kształtów, ale za to z obfitością cierpienia, przed którym nikt go nie obronił.

7977

168

Śmierć gangstera

śadna starość nie jestradością, ale pomyślcie tylko o starościgangstera.

StaryAl siedział na pierwszym stopniu schodówprowadzących narozlegle podwórze, porośłe kępamitrawy, a po brzegach, przy samympłocie, niepokonaną gęstwą pokrzywi dzikiego rabarbaru.

Dalej - zapłotem -ciągnął się sad.

Miał poza sobą piękne śycie, skoro mógł odłośyc tyle, abykupićsynowiten kawałek ziemi,skoro mógł wychować go na porządnegoczłowieka.

Jeśli osiągnął ten cel, tenjedynycel, który miał w śyciu,czy reszta warta byłamyślenia?

Przed kurnikiemgdakały kury.

Na rudym pniu starej sosny, która pozostałatu powykarczowanym lesie, siedział dzięcioł i kiedy cisza na krótkąchwilę zalegała podwórze, niby spokojna woda wypełniająca płytkistaw, słyhać było wyraźnie jegotowarzystką ofertę składaną sosnowejkorze.

Ranek był słoneczny,ostry jak blask ogromnegoreflektora, przedktórymmruśy sięoczy.

StaryAl przymknął powiekii cieszył się leśącymna nich ciepłem.

Naleśałmu się tenspokój i ten prógwystawiony na poranne słońce, gdakanie kur, dzięciołstukający w pień sosny i jeszczeodrobina czegoś dopełniająca pełni.



Przeciął się, podwinął nogawki spodni, aby promienie słońca miały dostęp do białych łydek, z których wyrwał teraz dwoma palcami kilkasterczących włosów.

W głębi domu zastukały obcasy, zaszeleściła spódnica i nie otwierając oczu powitał

Rosę - uśmiechem, który zawsze miał dla niej.

Ona tak się należała do tej części jego duszy, w której nie było miejsca na wspomnienia, w której panował dzień dzisiejszy, dobrana do niego jej młodość, jej niewinność, jej odmiennność od wszystkich znanych mu kobiet.

Miał więc i synową, pasującą do tego pięknego kawałka ziemi, do Sycia, które wybrał dla syna, a w którym idła nie znalazło się miejsce na starość.

Otworzył oczy, żeby na nią popatrzeć, żeby mieć jeszcze jedną radość tego ranka.

# 169.

Zobaczył najpierw z dotu jej piersi, ciepłe, drgające pod bluzką kobiece piersi, których prawdziwego kształtu i powabu nie krył śladem nylonowy pancierz i w którym przyszłe mleko mogło wzbierać swobodnie, jak słodki sok drzew w nabrzmiąłych pączkach.

Głowę miała ciemną i połyskującą gładkimi włosami, takie brwi i oczy ciemne pod ciemnymi powiekami.

Trochę ciemnego puszkę okrywała łote górą wargę, i tym bielsze wydawały się zęby, kiedy je ukazywała przykaśnym słowie.

- Wie ojciec co?

- powiedziała.

- Może by tak zabić koguta na obiad.

- Co to za uroczystość?

śadna.

Ale kogutów mamy za dużo, już się te młode zabierają do kur.

- Dobrze, jak chcesz.

- Bert wróci głodny.

Nie mam nic na obiad.

- No dobrze.

Ale pokaż mi, którego mam zabić.

- Wszystko jedno.

Któregoś z tych młodych.

Stary byłby łykował jak byk.

Tak - pomyślał, podnosząc się z progu - jednych ratują wady, drugich gubią zalety.

Wśród gromady drobiu najbardziej godnym nośną wydał mu się wesoły kogucik popielato brązowych piórami.

Dlaczego właśnie ten?

- zastanowił się, nie ruszając się z progu.

- Przyniosę ojcu nóż - powiedziała Rosa.

- Potrafi ojciec sam gozłapać?

Nie chciałabym biegać.

- Tym się nie martw - mruknął.

Kiedy jednak wróciła, stał wciąż w tym samym miejscu i wpatrywał się w stadko drobiu, grzebiące w ziemi pod szerokimi liśćmi łopianu. Nie, nie ten - pomyślał.

- Tenna pewno jest za chudy.

Taki wesoły, duży biega, jednej chwili nieposiedzi, skąd u takiego choćby gram tłuszczu?

U ludzi podobnie.

Ale zdarza się też, że jest inaczej.

Ten przedsiębiorca pogrzebowy, którego trzasnęli razem z Joe Witkesem, był okrągłutki jak bułka, a minutynie usiadł spokojnie.

Wciąż za czymś biegał, wciąż coś pokazywał, przynosił z głębi lokalu, rozkładał na kontuarze.

Był to prawdziwy sklep, w którym można było wybrać najwłaściwszą oprawę na tę niewiadomo jak długo trwającą drogę w mgliste zaświaty.

Zależnie od stanu majątkowego nieboszczyka i jego spadkobierców koronki na poduszkę pod głowę mogły być "prawdziwe" lub z nylonu, jakkolwiek również wysokiego gatunku.

Zabieg osobiste wokół zmarłego również dzieliły się na kilka kategorii, z uwzględnieniem fryzjera, manicurzystki i zamówionego przez opłakujących ostatniego wyrazu twarzy nieboszczyka.

Przedstawił swoje życzenia, zaznaczając, że nie jest zadrogie dla ukochanej babci, którą właśnie obydwoj stracili, a kiedy właściciel zakładu dotarł w omawianiu szczegółów do makijażu zmarłej i wznosił dłoń, aby na własnej uśmiechniętej twarzy wyjaśnić pewne tajniki specjalności - trzasnęli goi wygarnawszy zawartość kasy wraz z trzydziestoma metrami brukselskiej koronki, opuścili zakład pogrzebowy z odpowiednio strapionymi minami.

- Niech się ojciec weźmie wreszcie ten nóż - powiedziała Rosa.

- I niech się ojciec pośpieszy.

Ja rozpalę ogień.

Wypróbował ostrość noża na palcu i zszedł wreszcie ze schodów, ale przystanął zaraz na dole.

Ten rdzawy - pomyślał.

Rudawoopierzony kogut odwrócił głowę i patrzył mu prosto w twarz okrągłym oczkiem.

Prawdopodobnie pomyślał o nim właśnie dlatego, że tak patrzył, ale wydało mu się, że zaczął patrzeć, kiedy o nim pomyślał.

Do diabła!

Nie był przyzwyczajony do czegoś takiego.

Ludzie nie mają przeczuć.

Ludzie zachowują się jak głupcy.

Trzepoczą się do ostatniej chwili, jakby byli nakręceni, mówią mnóstwo niepotrzebnych słów i milkną dopiero pod lufą rewolweru, jak kukiełki na metalowych prętach.

Wdowa po kapeluszniku!

Jak ona szczebiotała, jak ona ich zachęcała do kupna sąsiedniej willi, wystawionej właśnie na sprzedaż.

Przyszli do niej, aby zasięgnąć na temat najwiarygodniejszej informacji.

Z najbliższego i najbardziej uroczego źródła powiedział Joe; wiedział zawsze, co należało powiedzieć.

Mógł gawędzić godzinami w najmniej pewnych sytuacjach, nie licząc się nerwami współnika z tą wdową rozmawiała się sprawie o prawdziwą przyjemność.

Omówił stosunki sąsiedzkie z poprzednimi lokatorami willi, niewłaściwą - jego zdaniem -

pielęgnacją ogrodu, bezpieczeństwo w podmiejskiej dzielnicy, zwłaszcza podczas długich zimowych wieczorów, a kiedy doszedł do nieuczciwości rzemieślników podejmujących się naprawy dachów, choć temat był ciekawy, uznał, że wdowa nie musi zapoznać się z nim do końca.

Gdyby wtedy umiała spojrzeć choć raz, jak ten mały rudy ptak i gdyby miała takie okrągłe oczy, a w nich całą wiedzę o Syciu, a więc także o nieodgadnionym sercu człowieka.

Skierował wzrok ku innej stronie podwórza, gdzie także grzebał w ziemi kolorowe stadko.

Młody drągał na wysokich nogach pasował wsam raz do garnka; napięzyste był może zbyt młodzieńczo nieforemny, ale nie rosł w grę tego rodzaju wymagania.

Schowawszy nóż do kieszeni zaczął zbliżać się na palcach ku kępiepokrzyw, aby pod ich osłoną podejść koguta z bliska.

Rosa znów ukazała się na progu.

Zdziwiło ją, że zabity ptak nie leży jeszcze przy ostatnim stopniu schodów, popatrzyła na dziwną postać, który przygięty do ziemi pełził przez pokrzywy, i krzyknęła zniecierpliwiona:

- Pomóc ojcu?

- Nie!

- odkrzyknął wściekły.

Kury pierzchły ze swoich ciepłych dołków wygrzebanych w ziemi.

Kogut na długich nogach przewodził im w poszukiwaniu nowego miejsca.

Gdyby mi nie przeszkodziła, już bym go miał - pomyślał.

- Wróć do domu!

- zawołał do synowej.

- Zaraz cigo przyniosę!

Oczywiście teraz trzeba go byłogonić.

Przez całe podwórze, pod przeciwległy płot, obrośnięty tak pokrzywami i dzikim rabarbarem.

Kury jakoś zrozumiały po drodze, że tonie o nie chodzi, że one najwyższej stanowią osłonę ściganego, a nie miały ochoty być osłoną rozpierzchły się na boki, gdacząc i gubiąc pióra.

Pozostali więc ściśle ze sobą - ścigający ścigany.

W jednym mgnieniu oka ocenili swoje siły i nawiązał się między nimi ten szczególny kontakt, który zerwany może być tylko w jeden sposób, znany obydwu.

Nie lubił tego.

Tamten przynajmniej przeżywał to pierwszy raz.

Na pewno pierwszy raz.

A on był już w swojej roli - więc wiedział, co to jest.

Deptać komuś popiętach.

Ten komiwojaśer na przykład, jak on dyszał!

Nie, na pewno nie mógł tego słyszeć, wyobraśalsobie tylko, jak on dyszy, i to było więcej, niż gdyby słyszał.

Nie był już młody, a przedtem nachodził się już chyba porządnie, od domu do domu, z ofertą zakupu nowego ilustrowanego wydania Biblii.

Ten bieg przez pustą aleję o zmierzchu, wzdłuż jesienno-pola, nie był napewno dla niego.

I zrozumiał w końcu, że tonie ma sensu męczyć się tak przed śmiercią.

Zwolnił - i kogut zwolnił także.

Obejrzał się nawet i przyglądał się sobie wzajemnie przez krótką chwilę napiętego zdumienia.

Rosa wciąż stała na progu, ruszył więc dalej, ale kogut spostrzegł w poręten zamiar, zdołał tylko wyrwać mu kilka piór z ogona.

Postrzępiony i śłośny, chwiał się teraz nad grzbietem uciekiniera, któremu ziemia wydała się niepewna, przeniósł się więc na płot, a stamtąd na dachkurnika, kiedy tylko jego prześladowca zbliżył się do drewnianych sztachet.

- Poczekaj, poczekaj - mrucał, zaczaiwszy się przy drabince opartej o tylną ścianę niskiego budynku.

Kątem oka spostrzegł, że

172

Rosa cofnęła się do sieni, co dodało mu pewności siebie.

Jej wzrok go obezwładniał, hamował ruchy, odbierał myślom przebiegłość.

- Poczekaj!

powtórzył.

- Zaraz będę ci?

miał'

Zatrzymał się na długi moment, aby kogut się uspokoił.

Nie był się coś spieszyć - tegoroczny drób nie wymaga długiego gotowania.

Czekał więc przy drabince, słysząc, jak uciska się w nim serce, tak samo zapewne jak serce koguta na

dachu, który powinien byłzapomnieć już o pogoni i zobaczyć nad sobą pogodne niebo, jaskrawe słońce, obfitą zielen gałęzi sosny, poruszającej się w łagodnym wietrze, i dwa małe obłoki zaplątane wśród igliwia.

Powinien to zobaczyć.

A jeśli spojrzy w dół, może dostrzeże także barwę wiejskiej trawy wabiącej cień wśród liści łopianu, imają przesmyk pod płótem, prowadzący do zakazanym rozkoszom wolności.

Przekazywał to wszystkim w myśli oczom koguta, które - zobaczywszy - miały na zawsze obraz ten utracić.

Miały go na zawsze zabrać ze sobą - tak należało to sformułować.

Gdyby jeszcze byław tym odrobina prawdy!

Przynajmniej nigdy nie miał złudzeń.

Nigdy nie usiłował sobie niczego ułatwiać.

Mógłby na przykład myśleć:

przecież każdy i tak musi umrzeć, czy nie lepiej wobec tego umrzeć w biegu lub podczas zajmującej rozmowy albo w olśnieniu spodziewanym zarobkiem, niż w łóżku, w starości, w chorobie?

Darowałby tym wszystkim ludziom - piękną niespodziewaną śmierć - Czy wiadomo, o ile wcześniejszą od tej przewidzianej bez jego nagłej interwencji?

Może byłyby tylko krótkie lata, jeszcze krótsze miesiące, zupełnie krótkiedni?

I napewno patrzył na coś przyjemniejszego niż twarz doktora zamyśloną nad wysokością honorarium, niż szczerą albo udaną rozpacz tych, którzy mieli termiń nieco odleglejszy.

PatRobinson!

Nazajutrz cała prasa była ozdobiona jej zdjęciami.

Z "MyFairLady".

ładna recenzja, Sąd ten rozwód nie przyniósł jej takiego rozgłosu.

Czekała w parku na nurse, która opiekowała się jej pierwszym dzieckiem z drugiego małżeństwa.

Na trawniku przed ławką kwitł krzak magnolii.

Napewno śpiewały ptaki.

Albo nawet tawdowa po kapeluszniku.

Joe, jako mężczyzna, mógł się podobać.

Bóg wie, co tam sobie myślała, patrząc na niego.

Taki sąsiad przepłot nie było pogardzenia dla samotnej kobiety.

Jeśli więc zabrałaby sobie obraz - no tak, ale to nieprawda.

Prawdą natomiast było, że obraz na przykład zielonej gałęzi sosny, obłoków zaplątanych w głąbi nieba owianego rósłowskością słońca - dla jakichś oczu przestawał istnieć, dla innych trwał.

Czym zasłużył nato, aby to jego oczy syciły się jeszcze jasnością tego poranka?

Najgorszą rzeczą było to, że pozwolił sobie myśleć.

Nigdy przytym nie myślał.

Tylko tyle, ile wymagało działanie.

To stwarza znakomitą jasność.

Proste wytyczenie funkcji, robota prawie inżynierska, chłodna precyzja - oto czego mu teraz brak.

Rzucił się całym ciałem ku brzegowi dachu, na którym siedział kogut, i wreszcie go miał!

Ale na krótką chwilę tylko.

Utraciwszy równowagę przy skoku, upadł razem z nim na ziemię, przygniótł go nawet, ale mimo to kogut wyrwał mu się z obolałych rąk i wrzeszcząc przez podwórze na otwartym klaksonie strachu i rozpacz.

Rosa ukazała się tym razem w oknie.

Zobaczył ją, gdy podnosił się z ziemi i wycierało spodnie pokrzwawione ręce.

Cofnęła się jednak zaraz do środka, zasłoniła firankę.

Tego się nie spodziewał.

Czuł jeszcze pod palcami ciepłe, trzepoczące się ciało.

Może on mu wcale nie uciekł, może go po prostu wypuścił?

Kogut zatrzymał się niedaleko schodów i łypał ku niemu szalonym okiem, usiłując odgadnąć, co dalej nastąpi.

Posunął się kilka kroków w jego kierunku, udając obłudnie, że wcale na niego nie patrzy.



Gdyby przynajmniej wróciło pozostałych kur, gdyby włączył się w stado.

Wciąż jednak tkwił na gołej patelni podwórza, z daleka od spokojnych towarzyszy, jakby już nie miał prawa donich wrócić powyroku, który na niego zapadł.

Nie powinien był wiedzieć.

Topsuło reguły gry.

Psuło całą robotę.

Ten mały niezgrabny ptak wiedział.

Postanowił zapędzić go pod płot, między kury, żeby - gdy będzie je gonił - wyglądało nато, że wszystkie spotka ten sam los.

Rozłożył ręce i zaczął zaganiać kogutaku kolorowemu stadku pod ogromnymi liśćmi łopianu.

Kury od razu zaczęły spłoszone gąkanie, ale kogut nie miał zamiaru zarazić ich swoim losem.

Zadziwił go.

Ludzie chętnie wciągają innych w swoje nieszczęście, mają mniej godności, każda nadzieja wydaje się im dobra.

Kogut wyminął wzburzone stadko i pognął ku pustemu kątom podwórza, ocienionemu przez wysoką ścianę stajni.

Podążył za nimi znowu byli tylko we dwóch.

I to, co się zbliżało, między nimi.

To za długo trwa - pomyślał.

Nigdy tego nie lubił.

Joe miał silniejsze nerwy.

W ogóle był silniejszy od niego.

Ale wpadł i zginął, i naniemu się to nie zdało.

A on przetrwał, wychował syna i oczekiwał się pięknej starości.

-Nigdy tego nie lubił.

Zawsze siłował skracać czas przedtem.

Kiedy długo tropili Billa Barkteya, kasjerabankuplantatorów bawełny, który zbiegł ze zgrabną walizką z róŜowegoplastiku, powiedział wreszcieJoemu, Őe chyba tegoniewytrzyma.

Billa tropiła policja i oni.

Chodziło tylko o to, kto go prędzej dosta174

nie. Doszło do tego, Őe chodzili zanim krok w krok i osaczyli go wreszcie w ieszie.

Potem się okazało, Őe róŜowa walizka zawierałapiŐamę w buraczkowe pasy, ręcznik i przybory dogolenia oraz zmianę bielizny.

Miał jeszcze na tyle siły, Őeby z nich zakpić.

Pokazał im bilet na statek do Europy, którym właśnie o tej samej godzinie odpływała Jego dziesięcioletnia córka z kufrem.

pełnym zabawek.

-Z kufrem pełnym zabawek- powtórzył.

- Matka będzie czekała na nią w Hawrze.

A więc nie lubił tego babrania przedtem.

Kogut biegał jakoszały wzdłuŜci stajni; zbliŜał się do niego ostroŐnie, z rękami opuszczonymi wzdłuŜ ciała, prawie pragnąc, aby smyrnął mu koło nóg i pognął w przeciwną stronę podwórza.

Tak teŐ się stało.

Kiedy pomykając się biegi za nim, na progu poraz czwarty ukazała się Rosa.

- Niech ojciec da spokój!

- zawołała.

- Na obiad będzie fasolaw pomidorach.

JuŜ ją namoczyłam!

Nie odpowiedział jej.

Przydybał koguta w pokrzywach i rzucił się na niego, parząc sobie twarz i ręce.

Znowu jednak zostało mu w palcach tylko kitka kolorowych piór.

- Bardzo ojciec proszę!

- zawołała Rosa.

- Przestań!

- krzyknął.

-Idź do domu!

Kogut był znów na kurniku.

Siedział w tym samym miejscu, poprzednio, idąc cięsko ze zmęczenia.

Dyszeli obaj i przydał im się ten krótki odpoczynek.

Stał, jak przedtem, przy drabinie, niewidziany przez koguta, nie słyszany chyba także.

Ostrożnie postawił nogę na pierwszym szczeblu, potem drugą na drugim.

Zielona gałąź sosny przybliżyła się do jego głowy, poczuł jej słaby, rozkołysany cień przebiegł mupo czole.

I nieboprzybliżył się także, gdy postawił nogę na trzecim szczeblu, małe obłoczki wplątane w igliwie.

Tylko nie wdawać się w te rzeczy - pomyślał.

Przechylił się gwałtownie i zanim kogut zdolał pierchnąć, miał go w swoich rękach.

Trzymając zdobycz pod pachą, zszedł z drabiny, zerknął ku oknom domu, nie ukazała się w nich jednak czarna głowa Rosy.

Podążył znów ku pokrzywom.

Ale zmienił zamiar.

Zawrócił kutej części płotu, która oddzielała podwórze od sadu.

Z drugiej strony rosły maliny.

Przyglądał się im przez chwilę; właściwie nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby się im dobrze przyjrzeć.

Różowały już, zadwa, trzy tygodnie będziemy je zrywać.

Kogut pod pachą jakby się uspokoił, ale kiedy wziął go między kolana, zaczął się znów wyrywać i krzyżeć.

Wyjął nóż z kieszeni

i długo go obracał, nie ułożył mu się w dłoni, palce do niego nieprzywykły.

I to serce kogucie, które było w jego całym ciele, jakby nie przytrzymywał ręką ściśniętego między kolanami pierza i mięsa, igrzyski kości, ale samo oszalałe serce bijące na trwogę.

- Zaraz, zaraz - szeptał.

- Zaraz się to skończy!

Musi się skończyć, więc skończy się teraz.

I tak masz więcej szczęścia niż inni:

maliny, niebo, łagodny wiatr nie najgorsze przyciągną do siebie, skoromogłeś zdobyć ten kawałek ziemi, tę odrobinę ciszy i odpoczynku na koniec.

Kogut nie przestawał wyrywać mu się spod przytrzymującej go ręki.

W drugiej tkwił nóg, niezgrabnie, ostrzeżenie góry, jakby to niebo, najniższy obłok, miało być zaraz zabite.

Oszalałe serce, ściśnięte kolanami przestawało walić aninachwilę.

Spod miękkich piór było ciepło, wilgotne ciepło, może kogut się poccił ze strachu, może to był jego zwykła właściwość.

Palce obejmowały kruchą, gnącą się we wszystkie strony szyję ptaka - zwykłą, nie zaprzestając wyrzucania ochrypłych dźwięków.

Gdyby trzymał tak Barkleya, Pat Robinson, tego sprzedawcę ilustrowanego wydania Biblii, wdowę po kapeluszniku czy przedsiębiorcę pogrzebowego, gdyby czuł miotające się ich serca i kruchość ich szyj pod palcami, gdyby.

Mały obłok, zaplątany dotąd w igliwie sosny, natrafił teraz na słońce i przykrył je na długą chwilę.

Płot i maliny pograżyły się w cieniu, ziemia stała się zamieszkała przedtem.

Czekała powrót blasku, na zapalenie małych różowych latarni wśród zielonych liści.

Więc gdyby czuł szyję tamtych pod palcami, gdyby ścisnął ich rozszalałe serca.

Zwolnił zwarcie kolan, lewa dłoń odsunęła się wzdłuż ciała.

Obłok odpływał z twarzy słońca, a mały ptak na niezgrabnych wysokich nogach, odskoczywszy na bezpieczną odległość od człowieka, patrzył zdumionym bursztynowym okiem, jak

ogromnycię kształtowała się na ziemię, przykrywając sobą srebrne, migocące słońcu ostrze noża.

1964

176

Trzechmiłych Agaty

One wszystkie chcą być kochane, młode i stare, ładne i brzydkie -brzydkie najbardziej, bo tak rzadko się zdarza, żeby ktoś zaglądał im w oczy, obejmował ramieniem, albo wyczekiwał przed domem, patrząc w ich okna.

Tak, brzydkie chyba najbardziej - na przykład Agata.

Na przykład Agata.

Nie mogłaby chyba grać Jufii nawet w najgorszym teatrze amatorskim na najodleglejszym przedmieściu, a przecież była wciąż zakochana, wciąż była zakochana, nie mogła być bez tego podniesłego stanu duszy, który ją uszczęśliwiał, choć same zakochania Agaty nie były szczęśliwe, a przynajmniej nie pozostawały szczęśliwe zbyt długo.

Wylała się dowoli po kolejnej utracie złudzeń w swoim pokoiku obok kuchni, znów była gotowa na napięcie nowego rozczarowania, ufna i przyjazna wobec losu, który nie odpłacał jej tym samym.

Kiedy Agata zaczynała śpiewać przy obieraniu ziemniaków i od rana czesała swój mysi ogonek, upinany potem misternie na czubku głowy - wiadomo było, że znów nadzieja wstępuje w jej zawsze na oścież otwarte serce.

Pan Miecio był hydraulikiem, opiekującym się z ramienia ADM-ukranami całej dzielnicy.

Usposobienie miał fantazyjne.

Człowiek - mówił - żyje raz tak, raz tak, jak popadnie.

Na całe życie tego samego nie starczy.

Agata wpatrywała się w niego wzrokiem, jakim się patrzy na świętych wołtarzach, klucz francuski wydawał jej się moją palmą w jego dłoni, a skórzana, wyszmeicowana czapeczka, której nie zdejmował przy robocie, błyszcząca wokół głowy aureolą.

Nie wiadomo kiedy to się zaczęło, ale ilekroć weszło się do kuchni, siedział już w niej pan Miecio, choć krany nie wymagały jego bezustannej opieki.

Agata promieniała.

Stawiała na stół a to śledzikaw occie, to kiełbas?

z musztardą, kotlety, albo pierśkureczka, uratowaną z pogromu podczas wizyty wczorajszych gości.

Pan Miecio, trzeba przyznać, nie był wybredny, apetytdopisywał mu zawsze, roz.

mowny stawał się już po pierwszym kieliszku i jeśli to uszczęśliwiało Agatę - Boże drogi!

-jeśli to miało uszczęśliwić Agatę, kto by miał serce i odwagę jej w tym przeszkodzić?

W takich okresach żyliśmy nie oprani, nie obsprzątani, żywieni bylejak i byle czym -

Jakieś inne, wielkie zalety Agaty pozwalały nam przetrzymać ten czas bez odwoływania się do podłej urągliwej nadziei, że to przecież nie będzie trwało zbyt długo.

W rzeczywistości - wizyty pana Mięcia stawały się coraz rzadsze, niekiedy zjawiała się doprowadzany niejako przez Agatę odsiadów, gdzie naprawiał kran, albo zgoła z ulicy, gdzie nie całkiem chyba przypadkowo go spotkała.

Agata popadała teraz w zamysłeni głębokie i posępne, wroztargnienia nieobecne, bardzo odległe od wszystkiego, czym akurat wypadło jej się zajmować.

Wieczorami, w swoim pokoiku, liczyła pieniądze.

Od czasu do czasu nad garnkiem parującą zupą rzucała bolesną sentencję o wiecznym, wszechogarniającym draństwie tego świata.

- Agato!

- mówiłam, jeśli mi się zdarzyło zaglądnąć wtedy do kuchni.

- Nie możesz wierzyć każdemu.

- Niemożna!

- potwierdzała gorzko.

- Ale jak nie można, to poco człowiek żyje?

Nie znajdowałam odpowiedzi.

Moje życiowe doświadczenie stawało się bezużyteczne wobec spojrzenia Agaty, wobec jej oczu, w których obok zwątpienia była jednak wciąż nadzieja. Czas płynął teraz w pozornym spokoju, przepłaszonym nagłymi przypadnięciami Agaty, kiedy nie wracała z zakupów, albo z kościoła, a pana Mięcia nie można było spotkać nigdzie, jakby porzucił

zędzielnicę, jakby się pod ziemię zapadł.

Usposobieniemiał rzeczywistości fantazyjne, i nie starczało mu tego samego na długo.

Trzeba więc było pana Mięcia przeboleć.

Przeboleliśmy gowszyscy razem z Agatą.

Niech no się nam tylko ten drańpokaŃe naoczy!

- mówiliśmy przystole, a Agata z trzaskiem i szczękiem zbierała naczynia, rozpogadzana. Jednak jakoś wewnątrznie kaŃdymnaszym słowem.

Pan Miecio jednak na oczy się nam nie pokazał, minęła zima, a nawiosnę Agata juŃ o nim nie myślała.

Myślała o ogrodniku, który przyszedł ściać pierwszą trawę w ogrodzie.

Sama muto zaproponowała, gdy zobaczyła go na pobliskim skwerze, dziarsko popychając maszynkę do koszenia, rozebranego do pasa i przyrumienionego juŃ ostrym, majowym słońcem.

Świadczenie usług dla ludności odbywało się wprawdzie poza godzinami słuŃbowymi i za wysokim

178

Ńywopłotem, niemniej jednak wolałabym go uniknąć; od dawna naszym trawnikiem opiekowała się wieczniopijany pan Gabryś, długoi dźwięcznie ostrzący swoją kosę przed wyruszeniem w miniaturowy obszar miejskiej zieloności - Agata jednak rozsierdziła się od razu na pierwsze wspomnienie o Gabryśiu, a to, ŃeróŃe kiedyś po pijanemu pościna, rabaty podepcze, a w ogóle kosi nierówni za wysoko, trawy tyle od ziemi zostawia, Ńe juŃ na drugi dzień chciałoby się ją kosić od nowa.

Jasne juŃ było, o co chodzi i co się znowu zaczyna.

Ogrodnik mianowicie Boguś, był co najmniej dziesięć lat od Agaty młodszy i to się wydawało jakby zagrożeniem podwójnym - taki młody, ładny chłopak i nasza poczciwa Agata!

Trawę strzygł niskopryziemi, ale choć nie zostawiał jej tyle, co pan Gabryś, prawie nad drugi dzień chciało się ją kosić od nowa.

Oczywiście Agacie.

Nam obskubanemu naszemu trawnikowi wydawało się Ńałosne, prawie nieprzyzwoite wobec natury

- naga, sucha ziemia wзираła spomiędzy króciutkich, zgilotynowanych zaraz po narodzeniu źdźbeł trawy.

Boguś ponadto śledzika nie iubił, kiełbasa z musztardą mu szkodziła, przypromiennym wyglądem, pozornie świadczącym o zdrowiu, wewnątrz - jak mówiła Agata -

coś go paliło; pozostawał więc dopodania tylko kurczak, albo cielęcina, o którą wszak było trudno, więc już prawie nigdy nie pojawiała się na naszym stole, przechowywana dla Bogusia w najodleglejszym kącie lodówki.

Tęskniliśmy za panem Mięciem - ale tylko my, Agata wpatrywała się w młodego ogrodnika z takim intensywnym zachwytem, z taką natchnioną radością, że nie istniał dla niej żaden inny czas poza teraźniejszym.

Snuła teraz plany, których piękność, rozległość i pomysłowość nie mogły się pomieścić już tylko w niej samej, musiała komuś się z nich zwierzyć, i szczęścia czasem zbyt wielkiego nie mogła udzielić samemu.

- On ma dom na wsi - mówiła, wyłączony odkurzacz.

- I ogród.

Mogła by tam założyć inspektę, albo szklarnię postawić, jakbym dostała tę płytę po matce.

- Agato.

- Zaczynałam ostro, ale nie dość jednak ostro, bo Agata wybuchła nie dając mi dojść do słowa:

- Pani to sobie od razu myśli.

- Nie, nie - wycofywałam się w popłochu.

- Nic sobie nie myślę, Agato.

Na szczęście spłaty po matce nie dawało się załatwić tak prędko, rodzina w takich sprawach przestaje być rodziną, każda złotówka wywołuje namiętności, godne pióra Szekspira.

Agata jedną niedzielę spędzała teraz na wsi swego miłego, gdzie oglądała miejsca pod inspektę i szklarnię, a drugą na swojej, u brata, z którym wyklócała się przynależną jej część spadku.

Obiady jadalіśmy w restauracji, a niedzielne kolacje zamierzaliśmy także spożywać poza domem, żeby uniknąć opowieści Agaty, którymi nas raczyła po powrocie z obydwu wypraw.

Nie zdążyliśmy jednak podjąć tej decyzji, bo Agata.

co drugą niedzielę zaczęła mieć wolną, tylko do brata jeździła wytrwale, choć młody ogrodnik zdawał się już tracić nadzieję na rychłą realizację zapisu.

Później, kiedy przestał już przychodzić, a przechowywana dla niego cielęcina nadawała się już tylko do psa, brat Agaty stał się jedynym winowajcą utraty jej szczęścia.

Odzyskaliśmy Agatę na wszystkie niedziele, nawet nakłaniana do wycieczki na wieś, pomiod albo



świeże jajka, nie dała się na nią namówić.

- Nic od niego nie chcę - mówiła.

- Poniczko od niego nie pojedę.

Niech się udławimo jakrzywdą, niech mu kością w gardle stanie!

- Agato -mówiłam - na pewno Agata odzyska swoje pieniądze.

Imośe w bardziej odpowiednim momencie.

Milkłam pod jej spojrzeniem i odwracałam szybko głowę.

Ogrodnik pamiętany i opłakiwany był bardzo długo.

Jesień przeszła spokojnie, już nawet zaczęło się nam zdawać, że jesteśmy, karmieni troskliwie, prawie rozpieszczani przez Agatę, gdy któregoś zimowego dnia.

Trudno mi do dziś zapamiętać twarz tego człowieka, gdy poraz pierwszy stanął na progu naszego domu.

- Pan Gustaw - powiedziała Agata.

Najnowszy miły naszej Agaty miał zapadłe, spłoszone oczy, wklęsnięte policzki i łysiejące skronie.

Strzepnął topniejący śnieg z lekkiego paletka, wytarł nos w brudną, wstydliwie chowaną dłoń chusteczkę.

Rozejrzał się po przedpokoju.

- Takie zimno na dworze, taki śnieg - mówiła Agata drobniutko.

Nastawiała już wodę na herbatę, otwierała kredens.

Pan Gustaw, zaproszony do kuchni, usiadł przy stole, chrząknął, zakaszłał, obciągnął za krótkie rękawy wyswieconej marynareczki, jakby krępował go widok chudych nadgarstków własnych rąk.

- Niech pan Gustaw się rozgości, niech pan Gustaw się ogrzeje - mówiła Agata.

180

Pan Gustaw znowu zakaszłał, podciągnął x tak już wypchane nękolanach spodnie i -

jak przedtem poprzedpokoju - tak teraz rozejrzał się po kuchni, jakby taksując wartość sprzętów, a poprzeznie zamożność domu.

Agata otwierała już lodówkę, wyjmowała z niej wszystko, co tam było tego dnia, ale pan Gustaw - i

wtedy po fazpierwszy usłyszeliśmy jego cichy, jakby onieśmielony własnym brzmieniem, głos - panGustaw podziękował.

- Tylko herbatęwypiję - powiedział.

- I ch-wilę posiedzęw takimładnym, ciepłym domu.

Nie wiem, dlaczego nieusposobiło tonas, przychylnie do panaGustawa.

Agata z rozczarowaniem zamknęłałodówkę, a my zaczęliśmy prawie czule wspominać pana Mięcia, obdarzonego tak znakomitym apetytem, nie kryjącego się z tym, że usposobienie miał

fantazyjne, że nie starczało mu tego samego na długo.

I Bogusia wspomnieliśmy także, Bogusia o gładkich, opalonych policzkach, gęstejczuprynie i łakomym, młodzieńczym sprycie w niebieskich oczach.

- Chwilę sobie tylko posiedzę -powtórzył pan Gustaw.

Wycofaliśmy się do siebie, choć nieraz zdarzało się nam uczestniczyć w wizytach, składanychAgacie przez jej kolejnych miłych -przynajmniej w tych pierwszych,kiedy mieliśmy nadzieję wywnioskować,kto zaczyna bywać w naszym domu.

Tym razem jednaksprawa wydawała się od początku nieobliczalna w sposób tak jasni zdecydowany, że szkoda było czasu na jakiegokolwiek dociekania.

Ogarnął nas nie tylko niepokój, ale jakaś ćmiącaprzykrość, że takioto osobnik o spłoszonych oczachsiedzi w naszej kuchni, że nie chcenawet nic jeść, że ma za krótkie rękawy u wyraźnie nie jego marynarki, wstydzi się swoich chudych nadgarstków i wypchanych na kolanach spodni, że jest taki, jaki jest, że to w ogóle jest możliwe, takieistnienie, takie życie, dlaczego jeszcze nie zmienione, nie zwalczone,nie pokonane.

Pan Gustaw zaczął odtąd przychodzićwieczorami.

Staraliśmy sięwtedy zawsze być w domu, bo choć różne budził w nas uczucia,pierwsza nieufność okazała się najsilniejsza, zwłaszcza że Agata nicbliższego onimnie wiedziała, a pytana odpowiadałaniejasno, milknąc w pół zdania.

- Gdzie go Agata poznała?

- usiłowałam się dowiedzieć.

Agata nie patrzyła na mnie.

Łamała palce w stawach aże trzeszczały.

- Czy można wtaki czas odmówić człowiekowi trochę tegociepła.

181.

- AleŜ Agato - mówiłam - to przecieŜ.

to przecieŜmoŜe być.

złodziej.

Agata podnosiła na mnie małe, wyblakłe, bolesne oczy.

- To co ja zrobię, proszę pani?

Co ja zrobię, jak złodziej?

Odchodziłam pośpiesznie, pokonana racją najwyŜszą tego pytania, na które nie mogło być odpowiedzi.

Zaczęliśmy teraz zamykać drzwi, a nawet pokoje, zawstydzeni tym, ale jednak pewni, Ŝe przezorność to konieczna i, Ŝe tylko ona pozwoli nam wyjść cało z nowego szaleństwa Agaty.

Zastanawiała nas cisza, trwająca w kuchni podczas tych wizyt.

Z ciekawości, którą sobie później wyrzucałam, a tak Ŝe z podejrzliwego niepokoju, którego niepotrafiliśmy zwalczyć, zachodziliśmy od czasu do czasu do kuchni, Ŝeby na własne oczy zobaczyć, Ŝe to jednak było moŜliwe - pan Gustaw z jednej strony stołu milcząc popijał

herbatkę, a Agata z drugiej, cicha, uspokojona i jakaś dziwnie godna, wpatrywała się w to jego milczenie.

Nie mogliśmy zrozumieć, co to znaczy - nie chciał jeść, nie rozglądał się za kieliszkiem, nie zaczynał rozmowy o pieniądzach, nie interesował go spadek Agaty, co to było?

Coto mogło znaczyć?

- Agato - zaczynałam porażnie wiadomoktóry - to napewnozłodziej' Po cóŜ byinnego tu przychodził?

Itego juŜnie powinnam była powiedzieć, tego juŜmi powiedziećnie było wolno.

Agatamilczała bardzo długo, a potem ściereczka odkurzu przejechała po moim biurku i nagle podniosła ją do oczu.

- Tak - powiedziała bardzo cicho.

- Poco?

Tego samego dnia wieczorem usłyszeliśmy, jak krzyczał w kuchni - wszystkim nasze podejrzliwe dociekania objawiły w ustach Agaty całą swoją krzywdzącą niestosowność.

- Niech wreszcie coś zje!

- krzyczała.

-Niech wreszcie coś powie!

Po co tu przychodzi?

śeby taksiedzieć i patrzeć?

śebysię rozglądać po kątach.

Pan Gustaw wstał, zdjął z wieszaka w przedpokoju swoje lekkie paletko, podniósł do góry kołnierz.

- To ja już pójdę- powiedział.

Ana dworze, jak pierwszego dnia, kiedy się tu zjawił, padał śnieg, rzucony ostrym wiatrem o szyby.

Gdy pan Gustaw otworzył drzwi, gwałtowny powiew wdarł się do wnętrza, Agata skoczyła do progu, nie wiadomo po co, śeby je przytrzymać, stanąć w nich, zagrozić drogę temu, co się miało stać- ale pan Gustaw wyszedł, wyminął ją

i wyszedł, wiatr zatrzęsł drzwi, wycofał się poza nie i zrobiło się cicho, zupełnie cicho, jeszcze ciszej niż cicho i nawet płaczu Agatynie usłyszeliśmy tego wieczora.

Po iluś tam długich, zwłaszcza wieczorami, dniach - przyszła do mnie i stanawszy przy biurku powiedziała, śe odchodzi.

I, śebym jej nie zatrzymywała.

Ona rozumie, śe nie powinna tak nagle, śe należało się wcześniej wypowiedzieć -ale nic na to nie mogła poradzić, musi odejść, zaraz, jeszcze tego samego dnia.

Zrozumiałam, śe na nic tu się nie zdadzą moje perswazje, czy prośby, więc tylko zapytałam, kiedy już była przy drzwiach:

-1 dokąd, Agato?

Dokąd?

Nie odpowiedziała.

Spakowała się i odeszła zaraz popołudniu, wysprzątawszy przedtem mieszkanie tak, jak to miała w zwyczaju, do ostatniego pyłku, do najjaśniejszego blasku wszystkich podłogi i garnków.

Nasz dom stał się od razu pusty, obumarły, bez kuchennych woni i dźwięków, bez swojej codzienności.

Wróci - myśleliśmy, patrząc na siebie.

Ale niewracała.

Któregoś dnia pod koniec zimy spotkałam ją na ulicy.

Z kim?

Agata - z panem Gustawem.

Nie mogłam go poznać od razu, bo paltomiał teraz inne, stosownie do pory roku, policzki wypełnione i zupełnie nowe spojrzenie, które zmusiło moje oczy do przecięcia - Agata wyglądała teraz tak, jakby inaczej, mizerniej, ale lepiej, nie; umiałabym określić, na czym to polegało, musiałam odwzajemnić uśmiech Agaty - Niech pan idzie nas wstąpi - powiedziała.

- To niedaleko stajni - I piec już teraz mamy, jak się patrzy, i okno podwójne.

Człowieku - Już sam, to mu się nie chce do niczego przyłożyć ręki, a we dwoje wszystko od razu łatwiejsze.

Dotknęła leciutko ramienia pana Gustawa, pogładziła rękaw jego płaszcza.

- Wszystko od razu łatwiejsze. Obiecałam, że przyjdę, nie teraz, ale przyjdę na pewno, żeby zobaczyć, żeby przyrzec się z bliska szczęściu Agaty.

Bo one wszystkie chcą być kochane - myślałam wracając do domu - młode i stare, ładne i brzydkie, wszystkie, każda z nas.

To niema rady.

niech nie będzie nato rady, niech tak zostanie, niech tak trwa.

Ostatni rozdział

Uważałem się za znawcę problemu.

Od szeregu lat publikowałem artykuły o tematyce młodzieżowej, a że mój własny wiek coraz bardziej zdecydowanie przechodził w stateczną dojrzałość, mogłem zdobyć się na odpowiedni dystans potrzebny do bezstronnej obserwacji.

Ten obiektywizm mąciła mi nieco bardzo agresywna obecność w moim życiu istoty nastoletniej, która pełniła w nim podwójną rolę:

była moim synem i niezaprzeczalnym natchnieniem - o czym oczywiście wiedział -

wszystkich moich dydaktycznych wystąpień.

Kiedy więc pewne poważne wydawnictwo zaproponowało mi wydanie moich artykułów w obszernym zbiorze, pomyślałem - i tym razem niewolny od mego "natchnienia" - o zamknięciu tomu rozdziałem, który nie był jeszcze napisany, a który miał dotyczyć mojej własnej nastoletniej przeszłości.

Pobrawszy więc zaliczkę od wydawcy, udałem się do miasta mojej młodości, wcale nie tak odległego, jeśli się już zdecydowało na podróże.

W drodze ułożyłem sobie szczegółowy plan owego wspomnieniowego rozdziału, w którym widziałem szereg wypunktowanych odpowiedników, korespondujących cienko, a wyrafinowanie poszczególnymi artykułami, rozprawiającymi się o wymyślnym zjawiskiem, zwanym ogólnikowo młodzieżą współczesną.

Poprzyjeździe i po odnotowaniu dziwnego postrzeżenia, że miasto mimo niewątpliwego rozwoju jest jakby mniejsze od moich wspomnień - udałem się, pozdrawiając znajome domy, jak żywych, tylko trochę postarzałych przyjaciół, do budynku mojej dawnej szkoły.

I ona była mniejsza, niż sobie zawsze wyobrażałem, tak mała, że dobudowano do niej nowe, wspaniałe skrzydło, duże i nowoczesne, przy którym ona sama wydawała się starą trochę śmiesznie doczepionym skrzydełkiem.

Rzeka była inna, czego zupełnie nie mogłem już jej wybaczyć, ponieważ rzeka była zawsze najprawdziwszą dumą i najprawdziwszym niebezpieczeństwem wszystkich chłopców tej szkoły.

Płynęła nieopodal budynku groźna i ciemna, podbita grząskim mułem dna.

Przez wiele lat szczyliśmy się tym, że któryś z nas się w niej utopił, ponieważ nigdy nie było pieniędzy na ogrodzenie dla szkoły i podczas wszystkich przerw ciągnęliśmy zawsze na brzeg, już choćby tylko dlatego, że nie wolno nam było tego robić.

Teraz rzeka płynęła skromna igrzeczna w rygorystycznie uregulowanym korycie i nie trzeba byłowcaie tak wysokiej siatki wokółszkoły, aby uniemożliwićprzesiadanie nad jej brzegiem.

Po prostunie mogłaosiwić niczyjej wyobraźni.

Główne wejście do staregobudynku było zamknięte, więc skierowałem się ku szerokimschodownemu skrzydła, Śalując, Śe nie owionie mnie owa skondensowana woń szkoły, którą spodziewałem się odnaleźć tylko w wąskim, ciemnym korytarzu,gdzieobijaliśmy sobieboki, pędząc na przerwę,lub po skończonych zajęciach.

- W tej nowejczęści szkoły powitała mnie cisza i czyste powietrze dobrze wentylowanego pomieszczenia.

Lekcje dopiero co się zaczęły we wszystkichklasach i broniąca ichspokojuwoźna zatrzymała mnie w drzwiach.

- Do pana dyrektora - powiedziałem, pragnąc moje spotkanie zeszkołą rozpocząć od oficjalnej wizyty.

-Pandyrektor na lekcji - staruszka była stanowcza, więc przystanąłem pełen respektu przy jej krześle.

I nagle uderzyło mniecoś wjeJrysach i głosie, właśnie owa nadmierna"waŚność", która zawszepokrywała zbyt miękieserce naszej pani woźnej.

- Pani Figus?

- krzyknąłem.

Staruszka trzepnęła mnie w ramię.

- Toś ty z naszej szkoły?

-A z jakiej by innej?

Niepamiętamnie pani?

- i nie chcąc naraŚać pamięci starej woźnej na zbyt wielki wysiłek przedstawiłem sięjej z imienia inazwiska, z wszystkich przezwisk oraz z wszystkichławek, w których siedziałem w tej szkole.

Pamiętała mnie.

- Popatrz,popatrz - powiedziała.

- Tak wyrosłeś.

Przyzwyczailem się juŚ do tego, Śe mówiono mi: Posunąłeś się,stary!

- a w najlepszym razie: Jak ty się dobrze trzymasz!

Aona powiedziała: Wyrosłeś!

I dodała zaraz: -Ja syna zastępuję, musiał wyjechać na dwa dni.

Nie pamiętasz Bronka?

Pewnie go pamiętałem, musiałem go pamiętać, wydawało mi się, że wszystko pamiętałem tamtych lat.

- Przecież to ty go popchnąłeś wtedy do rzeki, nie przypominasz sobie?

Mato się nie utopił.

- Utopił się Środka!

- krzyknąłem.

- I nikt go nie popchnął.

- A, to było innym razem - staruszka poprawiła się na krześle.

- A Bronka uratował pan profesor od gimnastyki.

Już nie żyje - westchnęła.

- Bardzo przykro - bąknąłem, nie zdając sobie sprawy, ile by teraz mógł mieć lat czciogodny profesor.

- A wtedy te warkocze Krysi Pastulance to te były obciążały - oświadczyła pani Figus.

- Nawet nożyczki odemnie pożyły.

Tylko czekałam, żebyś się przyznał, że to ja ci je dałam.

- Ale się nie przyznałem!

- Nie - staruszka znowu trzepnęła mnie w ramię.

- Anoga już cięnie boli?

- Noga?

- zdziwiłem się.

- Bo przecież złamałeś nogę, kiedy zeskoczyłeś wtedy z pierwszego piętra.

Miałeś zostać po lekcjach - zaraz, za co to było?



Nie pamiętam.

- Schowałem okulary panu profesorowi od matematyki - szepnąłem.

-Właśnie!

Panu profesorowi od matematyki.

TeŜ nie ŜyjeMilczałem, patrząc na jasny parkiet nieskazitelnej podłogi korytarza.

Staruszka znowu dotknęła mojej ręki.

- A jak ukradliście samochód doktorowi, pamiętasz?

-TojuŜ nie ja-krzyknąłem.

-To Wacek,jego syn!

- Ci.

- staruszka wymownie spojrzała po zamkniętych drzwiachklas.

-Dlaczego tak krzyczysz?

-Bo pani tytkona mnie!

Tylko ja i ja-innych pani nie pamięta?

- A pamiętam, pamiętam.

Wszyscy byliście do siebie podobni.

Tylko ty się tu zjawiłeś, więc sobie przypominam.

A co teraz robisz?

- Jaktó - co robię?

- bąknąłem.

-Czekam na dyrektora.

- Ale tak wogóle?

Z czego Ŝyjesz?

Zadźwięczał dzwonek i był to najsympatyczniejszy z dzwonekówświata po najdłuŜszej na świecie lekcji.

Otworzyły się drzwi klas, nakorytarzu zrobiło się od razu gwarno i tłoczno, ktośmnie popchnął, ktoś kopnął w kostkę, a do pani Figus dopadł zdyszany młodzieniec.

- NoŚyczki!

- wyszeptał.

-Na sekundę noŚyczki!

Sięgnęła ręką w głąb przepastnej kieszeni fartucha, i mrugnęła domnie.

-Nie bójsię.

Oniteraz obcinają tylko tarcze-Poczekaj, zaraz cięzaprowadzę do pana dyrektora.

-Nie!

- krzyknąłem.

-Nie!

Przypomniałem sobie, Śemam umówioną inną wizytę na mieście.

-I kiedy gnałem po schodach, czułemna swoich piecach zdumione spojrzenie starej woźnej, która takbardzo lubiła łobuzów wszystkich pokoleń.

1976

186

Czarny warkocz

Moja matka przezcałe swoje Śycie - a umarła mając osiemdziesiątdwa lata -nosiła czarny, gruby i cięŚki warkocz.

Po ojcu była Onnianką, więc ten warkocz miał czerń głęboką, aŚ wpadającą w granat, jak warkoczewszystkich dziewcząt spod obydwu szczytów ormiańskiej góry Ararat.

Kiedy byliśmy dziećmi- starszymój bratZygmunt i ja - czekaliśmy kaŚdegoranka na ową piękną chwilę, kiedymama się cesała.

Walczyła zwykle długo z bogactwemswoich włosów,aŚ wreszcie poskramiała je, zaplatając zwinnymi palcami długi, sięgającypoza kolana warkocz, zawiązany zawsze na końcu aksamitną tasiemką.

Pozostawał poza nią puszysty pędzelek, który biegliśmy całować, gdy mamaruchem głowy przerzucaławarkocz z piersi na plecy.

Wiele miałam prawdziwie pięknych chwil w Syciu, ale wspomnienie tej właśnie najbardziej grzeje serce.

Mama bardzo lubiła opowiadać o swoim dzieciństwie i młodości, w przeciwieństwie do ojca, który - nawet pytany - skąpych udzielał na ten temat informacji.

Stąd Syciemamy sprzed progumoiich narodzin jest mi bardziej znane i pamiętam z niego więcej szczegółów, niż nawet z mego własnego dzieciństwa i młodości, nie wspomnianych zbyt chętnie ze względu na tragedię ojca i tę najgorszą z bied, jaką był upokarzający i ukrywany inteligencki niedostatek, który nasza rodzina przeżywała przez dziesięć przedwojennych lat, Mama urodziła się w Chorostkowie pod Tarnopolem w tzw.

Galicji, wchodzącej w skład c.k. Austrii, której - przy prawdziwie patriotycznym wychowaniu, jakie odebrała, nie wspominała źle.

Dziadek bowiem, choć Ormianin, był gorącym patriotą polskim i ponoć, żeby nie służyć w austriackim wojsku, zmienił nazwisko na Isakowicz na Isakiewicz.

W każdym razie, ilekroć zjawiał się we Lwowie na jakichś ormiańskich uroczystościach kościelnych, arcybiskup Isakowicz (poprzednik arcybiskupa Teodorowicza) zawsze mówił do niego: mój drogi kuzynie, co wciąż wspominała cała rodzina.

A był dziadek raptem zwykłym gorzelnikiem w majątku hrabiego S.

,o jedną stację kolejową od Tarnopola.

Skąd się tam wziął, skąd przybył - tego mama albo nie wiedziała, albo nie mówiła o tym zbyt chętnie, bo była to opowieść niewesoła.

Dziadek Ziańko - Zenon miał na imię - i jego brat Grzegorz wcześniej zostali sierotami, wychowywali ich jacyś obcy ludzie chyba już na uchodźstwie w Polsce, gdzie wielu Ormian znalazło schronienie przed tureckimi prześladowaniami.

Wskazywałby na to fakt, że dziadek - poza kilkoma wyrazami i pacierzem - po ormiańsku mówił już nie umiał.

Synów jednak ochrzcił w obrządku ormiańskim, godząc się, żeby trzy córki - pomalce Marii Czownickiej - chrzczono w obrządku rzymskokatolickim.

Wandzia, moja mama, była jedną z nich, drugą pod względem starszeństwa; poniej przyszło jeszcze na świat dwóch braci i najmłodsza siostra.

Ze wszystkich dzieci mama chyba najbardziej wdała się w swego ojca, dziedzicząc po nim wiele cech, co w dziadku budziło uczucie jakiegoś wzruszającego współnictwa - tylko mama wypełniał z wieczora lampę naftą i niósł ją na drugie piętro, gdzie były pokoje babki i dziewcząt.

Bomama lubił aw łóŚkuczyciać,a dziadek sam był namiętnymczytelnikiem.

Prenumerował, jak tow tamtych latachbyłow zwyczajuj, ksiąŜki w jakiejś księgarni weLwowie, poŜyczał jez biblioteki w pałacu, dbał, Őeby w domu zawsze było coś do czytania.

Prawdę mówiać, z całej piątkidzieci tylkojedna Wandzia umiałato docenić.

Dziadekzresztą miał i inne pasje.

Jedną z nich była muzyka.

Grałna fortepianie i skrzypcach, nagitarze i cytrze, na trąbce - właściwienua kaŜdym instrumencie, który wpadł mu w ręce.

Tańczył' KaŜdy balw Chorostkowieotwierała hrabina - z dziadkiem'Jeździł świetnie nałyŜwach, rzeźbił w drewnie, no i niestety - grał w karty.

Ale z ato, jakmówiłsam o sobie, nie zagładał do kieliszka.

Gorzelnik,mający kaŜdej chwili do dyspozycjinieograniczoną ilość alkoholu, piłytko wino, sprowadzanew beczułkachz Dalmacjii,cow ck Austrii -Dalmacjawnchodziłw jej skład - nie było Őadnym luksusem.

Dziadek lubił chyba takŜe.

pleć piękną.

StądteŜ Őadnanauczycielka,sprowadzana zwykle z Tarnopola lub Lwowa, a ucząca całą piątkędzieci (do szkoły było daleko), nie zagrzewała długo miejsca w domułsakiewiczów.

Babka była zazdrosna i panie zmieniały się często, adzieci uczyły sięgrać tona fortepianie, tona cytrze, francuskiego lubniemieckiego,zaleŜnie od kwalifikacji pozyskanej akurat siły pedagogicznej.

Mamiezresztąjęzyk niemiecki tak naprawdę przydał się 188

tylko raz w Őyciu.

- Podczas wojny (pierwszej światowej oczywiście), kiedy jej męŜa,a mego ojca, wcielono do austriackiego wojska,a pułkstacjonujący gdzieś na Morawach, dokąd rodziców zaniósłpodczas wojennej ucieczki,miał być wysłanyna front włoski - mamazapakowała ojca do łóŜka, a sama udała się na dworzec, odnalazłw tłumie kłębiącego się wojska samego pułkownika i oświadczyła munieskazitelną niemczyzną, Őe.

mąŜ źle się czuje i na front - nie pojedzie.

Po czymśtakim mogło nastąpić tylko rozstrzelanie.

Ale nie nastąpiło.

Może pułkownik nie miał już czasu nadać toku sprawie, bolokomotywa wyrzucała na boki kłęby pary i pociąg drżał już całym swoim elastycznym, a może wzruszająca wydała mu się ta zapłakana bruneteczka z warkoczem dziewczęcemu przerzuconym przez ramię - dość, że ojciec przeleżał kilka dni w łóżku, a potem jakby nigdy nic, udał się do intendencji, w której

"pisał" jako jednoroczniak (w naszym wojsku podchorążym) i w dodatku okularnik, z zezwoleniem mieszkania na mieście z siostrą i kilkumiesięcznym synkiem.

A front włoski był jednym z najgorszych frontów w pierwszej wojnie światowej, co zresztą odnotował sam Hemingway, pasjami lubiący bić się w Europie, mówiło się potem w rodzinie, że mama uratowała ojcu życie, z czego oczywiście była bardzo dumna.

Ale zanim do tego doszło, było cudowne dzieciństwo, a później panieństwo w Chorostkowie - kiedy dziś o tym myślę i współczesną przykładam do tych dni miarę, wydają mi się prawie bajkowe.

Trudno wyobrazić sobie dziś kierownika gorzelni, który mógłby zapewnić swojej rodzinie -  
licznej!

- taką stopę syciową.

Albo więc hrabia Stak hojnie wynagradzał swoich pracowników, albo teś czasy były takie i na wielmożna było sobie pozwolić w syciowej i zasobnej Austrii - na służbę i domowe nauczycielki, pięknie urządzone mieszkanie, na przyjęcia wyprawiane często i hucznie.

Dziadkowie mieszkali w nowym domu przy gorzelni.

Wybudowany solidnie i - jak na tamte czasy i galicyjskie miasteczko - całkiem okazałe, odgradzał sobą ogród od zabudowań gorzelni.

Miał trzy kondygnacje - na dole była ogromna kuchnia, spiżarnia i pomieszczenia gospodarcze oraz pokój, w którym się jadało, gdy nie było gości, na pierwszym piętrze w dużym pokoju dziadkowie urządzili salon z królującym w nim fortepianem, w mniejszym była

"gościnna" jadalnia, na drugim piętrze znajdowały się pokoje babki i dzieci, dziadek miał swój pokój na terenie gorzelni, gdzie nie sięgała czujność babki, więc grywano tam w karty nieraz do rana.

Byłam w tym domu tylko dwa razy.

Pierwszy raz w drodze do Zaleszczyk na wakacje u ciotki Maryni, siostry ojca - mogłam mieć wtedy najwyżej pięć lat, i drugi raz, kiedy miałam lat dziewięć i kiedy akurat podczas naszego pobytu umarła babka.

Dziadek zresztą teś już od kilku lat nie żył i był to zupełnie inny dom niż ten, zachowany w wspomnieniach mamy.

Przede wszystkim- Śycie towarzyskie!

Dziś trudno sobie wyobrazić, Őeby w takiej miejsciniemoŐna było tak się bawić,tak

"bywać",rewizytować się, urządzaćmajówki w lecie i kuligi w zimie.

Dopopisowych przyjęć naleŐały zawsze świąteczne śniadania.

PoniewaŐłączyło się to z ogromem pracy - choć była kucharka, babkatorty i ciasta piekła zwykle sama- panienieraz buntowały się i przysięgały,Őe następne świąta urządząbardzo skromnie.

Był zwyczaj, Őe po niedzielnej sumie całęgonoznajomychspotykało się na plebaniiu księdza Głowińskiego.

i tam właśniezaprzyjaźnione panie ogłaszały swój bunt kulinarny.

Őe tobez sensu!

Tyle pracy, a potem trzeba namawiać wszystkich do jedzenia!

Trzeba z tym skończyć raz na zawsze!

- Najgłośniej zarzekała się zawsze serdeczna przyjaciółka babki, chrzestna matkamojej mamy

- piękna i zalotna wiedenka, Őonaplenipotenta dóbrFreiera- I potemprzychodziły świąta i wszyscy pierwszego dniazjawiali się u Freierów.

Atam indyki zkasztanami i pieczoneprosięta, ryby i wędlinywszelkich gatunków, dziczyzna, torty,kremy, smakołyki.

Widzisz!

mówiła babka do dziadka,gdy wracali z przyjęcia.

Ładniebym wyglądała, gdybymjej uwierzyła!

Bo następnego dnia zbierano się u dziadków.

I babka serwowała z dumą swoje słynne dania:

auszpiki- z indyka, prosięcia, gęsich wątróbek i cielęcych móŐdŐków, pasztety i paszteciki na zimno i na gorąco, musy z kur ("Moussede Yolaille") i raków, szyneczki Lukullusa, nie licząc wędlin, rybipieczystego zaleŐnie od sezonu.

Na deserpodawano torty: słynnywiedeński tort Sachera, tort Fedora, tort Dobosz, tort z białej czekolady (nawetnie wiem, co to jest) migdałowy zwykły i Katalani, hiszpański, kruchy z marmoladą morelową, pistacjowy zwany tortem"Vert-Vert".

Tak.

Mam do dziś ksiąŜkę kucharską babki, odziedziczoną pomamie, która umiała jeszcze wszystkie tetorty robić, ale potem zapomniała w okresie biedy - własnej (bezrobocie ojca) i ogólnej (wojna).

Ja robię juŜ tylko na święta orzechowy i kruchyz morelami, nazwany na cześć mamy tortem

"Wanda".

Reszta - pozostaje w przepisach.

i 90

Między świętami odbywały się oczywiście pomniejszych przyjęcia, zwłaszcza gdy młodzieŜ podrosła i po "łyśwach" (dziadek za gorzelnią urządził szluzgawkę) całą gromadą ciągnęła do dziadka.

Zasiadał wtedy do fortepianu grał wszystkie najmodniejsze tańce - znut, albo ze słuchu, bo ten miał naprawdę znakomity - Po nuty dla siebie i mamy, gdy umiała juŜ dobrze grać, wybierał się zwykle aŜ do Lwowa.

Którejś zimy, ubrany w czarne futro z krymowym (karakulowym) kołnierzem i taką

czapkę, wszedł na dworcę do lwowskiego tramwaju.

Usiadli nagle widzi, Ŝe na przeciwległym krańcu długiej, ciągnącej się wzdłuŜwozu, pustej ławki siedzi jego brat Grzesio w takim samym futrze i czapce, i z taką samą po hiszpańsku przyciętą bródką i wąsami, Ormianie zresztą wszyscy byli do siebie podobni.

Ot, bisurman!

pomyślał dziadek.

Nie mógł napisać, Ŝe się wybiera do Lwowa, pojechalibyśmy razem.

- Ale uśmiechnął się jednak do młodszego brata, a on uśmiech oczywiście odwzajemnił.

A Ŝe takie niespodziewane spotkanie było jednak czymś bardzo radosnym, wstał z wyciągniętymi ramionami skierował się do brata, który tak Ŝe ruszył ku niemu.

ZbliŜali się tak do siebie manifestując rodzinne uczucia, a Ŝe się okazało, Ŝe to wcale nie Grzesio uśmiecha się i podają zwyciągniętymi ramionami do dziadka, ale on sam.

do swego odbiciaw lustrze, zdobiącym w tamtych latach lwowski tramwaj.

Na potańcówkach bywali teŜ gorzelnicy praktykanci, przysyłano do dziadka na przeszkolenie.

Zdarzali się wśród nich "obywatelscy synowie" - młodzi ziemianie z Kongresówki, którzy w dobrach

hrabiego S.

pogłębiali swoją gospodarską wiedzę.

Jeden z nich "asystował" mamie, kiedy z podlotka całkiem wyraźni stawała się panna na wydaniu.

Zawsze był przy mamie, gdy chodziło się na łódki (staw) w lecie, na grzyby do Dębiny jesienią, wreszcie zimą naślizgawkę tańce po niej.

Był to światowy i uroczy chłopak i mamie tak się śmiały do niego oczy.

Ale między spotkaniami z konkurentem wciąż namiętnie oddawała się lekturze - co w rezultacie stało się przyczyną fiaska wcale już wyraźnych matrymonialnych planów.

Kiedy bowiem w swoim pokoiku na drugim piętrze pochłaniała "Nędzników", czy "Hrabiego Monte Christo", młodszy brat mamy, Janek, cicho podchodził pod drzwi i pukał, delikatnie i wytwornie.

Mama słowiczym głosem wołała: Proszę!

a on wpadał wtedy do pokoju i parskał triumfalnym śmiechem.

Któregoś dnia wszak się te dowcipy mamie się sprzykrzyły i kiedy odezwało się delikatne pukanie, najpierw się w ogóle nie odzywała, a w końcu wrzasnęła; Zabieraj się stąd, gówniarzu!

I pocałuj mnie w dupę!



Wyładowawszy złość na braciszku, powróciła do lektury, ale zastanowiło Ją, że zamiast idiotycznego śmieszku, za drzwiami trwałaśmiertelna cisza, a potem powolne kroki zeszyły na dół i umilkływstępując w ogród.

Zerwała się wyjrzała przez okno - zupełnieśmartwiałaśzobaczyła, jak ścieśką między dwoma rzędami bukszpanówpomyka ów czarujący obywatelski syn z Kongresówki, który -tak odprawiony-miał się potem nigdy już w domu przy gorzelni niepojawić.

Dziś taki incydent wyjaśniono by jednym telefonem.

Ale w tamtych czasach, mój Boże!

Panna nigdy by się nie przyznała, że z jej ust wyszły takie epitety, a młody człowiek - że je usłyszał.

Nie wyszła więc mama z ziemianina z Kongresówki, czego ona nie ślaowała, bo wkrótce "trafił" jej się ktoś inny, długo śmiertelnie była zakochana, a w końcu oddała rękę mojemu ojcu, który odbił ją tamtemu panu.

A czasy były wciąż migdałowe i pistacjowe, Austria pękała od wspaniałego i taniego śarcia, babka posyłając któreśz dzieci do sklepu mówiła: Masz tu pięć centów, biegnij do Sławy po pomarańcze.

-Staraśydówka Sława (nie wiem, czy to było nazwisko, czy imię)zawsze miała pomarańcze i w ogóle wszystko, cała miasteczko zaopatrywało się u niej.

Jeśli zjawiali się niespodziewani goście, a w domu było akurat dawno po świniobiciu i spiśarniaświeciła pustkami, ratunek można było znaleźć w sklepie Sławy, o ile oczywiście był już zamknięty i jego właścicielka nie chrapała pod betami.

Zdarzyło się tak właśnie któreśz zimowej nocy, kiedy "z kolei" przyjechał narzeczony starszej siostry mamy.

Na strychu wisały tylko kabanosy-To znaczy - powinny były wisieć, bo gdy poszło się po nie, okazało się, że wcale ich tam nie ma.

Wracając ze strychu ukraińska dziewczyna, pomocnica kucharki, wciąż jednak nadeptywała na coś naschodach.

Poszła po świecę i wtedy zobaczyła, że były to kawałki kabanosów rozwłócone i ponadgryzane przez koty.

Ponieważ jednak nic innego nie było w domu, babka przycięła je sztywnie, ozdobiła grzybkami i korniszonami i w takim garniturze pojawiły się na stole.

O tym, Śedostał na kolację kabanosyniedojedzone przez koty,aJeszcze w dodatku podeptane przez Olesię - wuj dowiedział się dopiero poślubie.

Ostatni konkurent mamy niemusiał dojeŚdŚać do swojej ukochanej.

Był namiejscu.

Chyba w 1908 roku nastał do Chorostkowa nowynauczyciel, Władzie Krzycki - szatyn

"słusznego" wzrostu, młodziutki i całkiem niewinny, o czym świadczyłchoćby fakt,Śe po ślu192

bie z moją mamą przez cały tydzień spał osobno, czemu połoŚyławreszcie kres młodszą siostrą mamy, Maneczka, całkiemjesczewtedy smarkata, która oświadczyła: Dosyćtego!

PrzenoszęzeczyWładka do pokoju Wandy!

- i tak oto uzyskaliŚmy,brat mój i ja,szansę na pojawienie się na tymŚwiecie.

Kiedy ojciecwkroczył w Śycie mamy, nie była ona - jak JuŚwspomniałam - uczuciowo wolna.

Ten Kazik, jedynak u swojejmatki wdowy, z okazałą kamienicą w Tarnopolu, pojawiał się potemprzezcałe Śycieprzy najbliższych sprzeczkach rodziców.

Mamamówiła- ale nie zawsze Śartem -ja miałam innego!

Dlaczego niedawałŚmi spokoju?

Kazik, choć tak bardzo kochał, jakoś się jednaknie deklarował, moŚe właśnie ze względu na tę kamienicę powinien był według Śyczenia matki - oŚenić się z panną odpowiedniozamoŚną, a Wandzia Isakiewiczówna nie miała posagu, dziadkowiez trudem gromadzili dla trzech córek skromną wyprawę (kaŚda dostała m.

in. meble dotrzech pokoi, własnoręcznie rzeźbione przezdziadka według sprowadzanych z Wiedniawzorów).

Władzie Krzycki, jak zawsze bezinteresowny, za posagiem się nieoglądał.

Ukończywszy seminarium nauczycielskie w Zaleszczykach.

zjawił się wChorostkowie i od razu stał się w tej mieściniejakbyanimatorem kultury.

Z dziadkiem, akompaniującym mu nafortepianie, grywał na skrzypcach pieśniSchuberta, załoŚył teatr amatorski,w którym oczywiście zaczęła występowaći mojamama.

Ztakimwarkoczem.

CzyŚ moŚna było sobie wyobrazić inną Anielęw "Ślubach panieńskich"?

Bo ojciec uwielbiał Fredrę.

Sprowadził ze Lwowa 13-tomowe wydanie Gebethnera i Wolffa, zawierające wszystkie jego sztuki (.  
Jedynе zupełne wydanie dzieł znakomitego poety" - głosił napis na stronie tytułowej).

Mam do dziś jeden z tomów tego wydania, podpisany ręką ojca.

Jak inni młodzi ludzie, zaczął nowy nauczyciel bywać w domu przy gorzelni, gdzie ani tańczyć, ani jeździć na łyśwach - na ślizgawce za gorzelnią - się nie nauczył, ale za to wyjątkowo zdolny okazał się - do kart.

Naszcześnie, nie grał nigdy tak namiętnie, jak dziadek, który psuł zwykle córkom wszystkie bale.

Bo jak tu się bawić, kiedy wiadomo, że w pokoju za salą balową dziadek gra - i przegrywa!

Natychmiast ojciec mój, niestety, był zupełnie doniczego, nie umiał tańczyć, deptał po palcach, mama wstydziła się za niego.

Odzyskiwała dobry humor, gdy ojciec dosiadał konia.

A jeździł często, odkąd zapisał się do "Sokoła".

Kiedy Chorostków wystawił banderę dla uczczenia pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem - ojciec.

wyglądał na koniu wspaniale w pięknym mundurze z kurtką przewieszoną przez jedno ramię -  
i mama wreszcie to dostrzegła.

Po ślubie rodzice przenieśli się do jakiejś innej miejscowości.

w której pobyt mama wspominała bardzo dobrze.

Milutka Litka i Nastka odciążyła ją od zajęć domowych, a Sycie towarzyszył jej tutaj.

Zaprzyjaźniono się od razu i z księdzem i ruskim popem, ludziewokół byli serdeczni.

Ojciec miał ukochanego koguta, którego Nastka przynosiła mu zawsze rano do łóżka na dzień dobry.

Tego koguta i trochę rzecz) osobistych zabrali rodzice ze sobą.

gdy wybuchła wojna i zaczął się zbliżać rosyjski front.

Wrócili do dziadków (kogut przeżył w Chorostkowie całą wojnę i piał tak, że było go słychać w najdalszych punktach miasteczka), a stamtąd w miarę posuwania się frontu - do Gródka Jagiellońskiego, gdzie mieszkał brat dziadka Krzyckiego.

Tam jednak niedługo popasali, mama spodziewała się dziecka, nie wiadomo dlaczego zdecydowała się dalej uciekać w tym stanie, skorociała rodzina nieruszyła się z miejsca.

W Gródku Jagiellońskim została na peronie cały bagaż rodziców, w tłoku i panice dostali się do pociągu "do figury" i tak wyruszyli w nieznane.

Brat mój, Zygmunt, późniejszy nauczyciel fizyki i wieloletni dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Kole, urodził się "po drodze" w Nowym Sączu.

Matka potych przejściach długo nie mogła urodzić, w mieście było śladnego lekarza, więc ojciec mój pobiegł nadworec, gdzie wyładowywano rannych z frontu, i - w błocie i krwi -

uknął przed lekarzem wojskowym, prosząc go, żeby poszedł razem z nim do rodzącej.

W trzydzieści cztery dni po porodzie trzeba było jechać dalej.

Dopiero gdzieś na Morawach rodzice zatrzymali się na dłuższą chwilę i przez kilka spokojnych miesięcy nawet wtedy, kiedy ojca powołano do wojska.

Na front włoski ze swoim pułkiem, jak już wspomniałam, dzięki mamie nie pojechał, a w osiemnastym roku, gdy Austria odzyskała Galicję i zaczęła organizować polskie szkolnictwo na tych terenach, skorzystał z pierwszej okazji, żeby się "reklamować".

Zdecydował się pojechać do Siennowa pod Przeworskiem, gdy tylko zaproponowano mu szkołę.

W tej szkole, już "za Polski", przyszła nam świat, w tej szkole w dwudziestym roku podczas potsko-ukraińskiej walki o Lwów znaleźli schronienie dziadkowie Isakiewiczowie i Krzyccy, tam też dziadek Ziańko niespodziewanie zmarł.

Nigdy nie lubił się leczyć.

Z musu poddawał się badaniom jakiegoś sławnego profesora z Wiednia, który przyjechał do Chorostkowa do hrabiny.

Biegł wtedy do go

rzelnik z pałacu i zadyszany wołał; Pani hrabina prosi!

Pan profesor przyjechał! Profesor zapisał dziadkowi jakieś lekarstwo, które zrobione w aptece okazało się drobnymi kuleczkami we wcale okazałym pudełku.

Dziadek miał to lekarstwo regularnie zażywać, ale zażył raz, drugi, trzeci i zapomniał o nim.

A tu po jakimś czasie biegnie znów lokaj z pałacu: Pani hrabina prosi!

Pan profesor przyjechał!

- Dziadek przypomniał sobie o lekarstwie, wygarnęła całą zawartość pudełka na dłoń, połknął, popił wodą i popędził do pałacu.

Profesor znalazł dziadka w doskonałym stanie.

Zażył pan całe lekarstwo?

- spytał.

Zażyłem - wyznał dziadek, bo to była prawda.

No, widzi pan - uśmiechnął się profesor - od razu znać poprawę.

Serce jak dzwon, oko błyszczące!

Od tej pory nie brał dziadek żadnych lekarstw i umarł całkiem samodzielnie właśnie w Siennowie, gdzie też został pochowany.

Napogrzeb przyjechała hrabina S.

, która tak się w ucieczce przed Ukraińcami zatrzymała się opodal w swoim majątku rodzowym.

Kiedy mama dziękowała jej za obecność na pogrzebie dziadka, powiedziała: Jak bym mogła nie przyjechać?

Przecież to był mój ulubiony danser!

Przed śmiercią dziadek zawołał mamę i szepnął: Pamiętaj, Wandziu, jeśli tam coś jest, to przyjdę i ci powiem.

Nie przyszedł.

W Siennowie moi rodzice spędzili dwa albo trzy lata; właściwie wiem dlaczego tam wyjechali - zawsze wspominali Siennów z rozżewnieniem. Kiedy po wielu, wielu latach - bodajże w 1970 roku - odwiedziłam Siennów, pan Michał Piątek, były kierownik szkoły, który nastąpił zaraz po moim ojcu i dosłużył się tam emerytury, zawołał: Pan Krzycki miał takie piękne pismo!

Zaraz panicoś pokaże!

- i przyniósł przechowywany przez niego zeszyt w twardej oprawie, w którym mój ojciec kaligraficznym pismem odnotowywał wszystkie wydarzenia od pierwszego dnia powstania Państwa Polskiego.

- Prawie oszalały z patriotycznego szczęścia oddał podczas zbiórki skarb państwa - prócz ślubnych obrączek - całe posiadane złoto: zegareczek, bransoletkę, wyjściowe kolczyki i pierścionki mamy, swoją dewizkę i te złote guldeny, ofiarowane przez dziadka Krzyckiego jako prezent ślubny.

Raz tylko mama wspomniała o tymw okresie bezrobocia ojca, kiedy w domu nie było nawet złotówki.

JuŜ nigdy potemnie poruszałatego tematu.

Z Siennowa wywieźliśmy dwa cennenabytki: młodocianą naszaniańkę - Kaśkę uroczonego kundla Mirtka.

Razem z nimi przenieśliśmy się do Grzybna aŜ pod Toruń, gdzie ojciec popadł od razu w zatarg z księdzem Niemcem, który po niemiecku głosił kazania.

i uczył dzieci religii.

W końcu ojciec uzyskał prawo nauczania religii,ale to oczywiście nie poprawiło stosunków z proboszczem.

Szkołabyła tuŜ przy kościele i przed kaŜdym pogrzebem trumnę z nieboszczykiem stawiano nam pod oknami, gdzie czekała, aŜ ksiądz wyjdzie z plebanii, a nie wychodził bardzo długo.

Porachunkite wyrównywaļ jedynie Mirtek, który zwykļ się czepiać zębami księŜowskiej sutanny.

gdy proboszczosobiście - z brewiarzem wdłoni - zaganiał swoje bydło z pola do obory.

Mirtek uwielbiał ten rodzaj zabawy.

Trzymając w zębach spódnice Kaśki, jeździł swoim futrzanym tyłeczkiem popodłódze, gdy Kaśka tańczyła razem z nami wokół studni, wybudowanej przez niapośrodku kuchni z sosnowych polan.

Czasem oddawała się jednak poważniejszym zajęciom.

Kaśka, a nie ojciec, nauczyła czytać mego brata, co on - namiętny poŜeracz ksiąŜek - dodziś wspomina z wdzięcznością, Jana naukę czytania bylam jeszcze za maļai dopraszaļam się tylko czytania na gļos, a Kaśka spełniała rolę dzisiejszej telewizyjnej "dobranocki".

Kiedy ojciec wygrał konkurs na kierownika nowej 7-klasowej szkoły w Kole (do dziś najbardziej okazały budynek w tym mieście), Kaśka juŜ tamz nam ijechać nie chciała.

Tęskniła do rodziców, do Siennowa i trzeba ją było w końcu wyprawić do domu.

Płakaliśmy oboje z bratem, jak bobry.

Po utracie Kaśki moja mama nigdy juŜ nie chciała mieć tzw- pomocy domowej.

Dopóźnej starości wszystkim robiļam samai prawdę mówiać, nikt jej nie potrafił dogodzić.

Kiedy juŜ po wojnie (tym razem drugiej, oczywiście) przyjeŜdżałam z WybrzeŜa do rodziców,

zawsze usiłowałam pomóc, a Śemówiło się, iŚ nic nie potrafię (a potrafiłam, przysięgam! szczyciłam się i szczyć tym, Śe jestem całkiem niezłą gospodynią) - brałam się za czynności najprostsze.

Siadałam na krześle, które potem stało się przyczyną śmierci mamy, przysuwałam sobie koszyczek z ziemniakami i bardzo starannie zaczynałam je obierać.

Jeszcze nigdy nie widziałam - mówiła mama - Śeby ktoś siedząc obierał kartofle.

Kulinarne talenty mamy zostały w Kole należycie ocenione.

W byłej Kongresówce nie pieczono nigdy tortów, tylko placki droŚdŚowe a mamana pierwsze świąta wystąpiła odrazu z dziesięcioma tortami z kucharskiej ksiąŜki babki.

Drzwi się więc dosłownie niezamykały, aŚ ten nadmiar gości rozproszyłam w końcu ja - we własnej pięcioletniej chyba osobie.

Mianowicie, usłyszawszy raz, jak biedna mama wzdycha zaŚywając w kuchni proszek od bólu głowy:

Mój BoŚe!

Śeby oni juŚ wreszcie poszli, tak mnie strasznie boli gło wa! - wkroczyłam do pokoju i obwieściłam ku przeraŚeniu bawiącego gościa ojca: Mama mówi, Śebyście juŚ wreszcie poszli, bo mamę strasznie boli głowa.

Pierwsze lata w Kole były pogodne i szczęśliwe.

Mieliśmy piękne mieszkanie z duŚą łazienką (był to pierwszy budynek w Kole z kanalizacją; w ratuszu, w którym później zamieszkaliśmy, stale była zepsuta), gdzie mama szorowała nas po zabawach na rozległym dziedzińcu wokół szkoły.

Ojciec zarządził, Śeby wzdłuŚ płotu dzieci szkolne zasadziły akacje.

My teŚ mieliśmy swoje drzewko ze starannie pielęgnowanym pod nim klombem.

Dziś są to juŚ stare drzewa i lekroć jestem w Kole, patrzę na nie ze wzruszeniem.

Sprawunki załatwialiśmy w sklepie pani Biefickiej przy ulicy "rTo.

ruńskiej.

Były tam zawsze czekoladowe cukierki Braci Hłowieckich (fabryka, która z powodzeniem konkurowała z Wedlem); kiedy jednak niezmiennie dostawaliśmy je w paczkach od św.

Mikołaja, zaczęliśmy słusznie podejrzewać, Śe kryje się w tym jakiś szwindel, ja o cztery i pół roku młodsza od brata, skłonna byłam wyobraŚać sobie Śe św.

Mikołaj nie chcąc obciążać się ogromnym woremna dalekądrogę znieba,zakupy robił na ziemi, właśnie w pobliskim sklepie pani Bielickiej.

Brat mój jednak uważał, że to po prostu ojciec kupuje cukierki, a św.

Mikołaj to w ogóle lipa, wmawiana dzieciom, żeby przy tej okazji dać im kilka nauk.

Kiedy wygadał się z tym przed mamą, wcale nie uznała za słuszne zaprzeczać, powiedziała tylko, że skoro jesteśmy tacy mądrzy, to już nic nie będziemy dostawać na św.

Mikołaja.

Mama zresztą jakoś bez przesady traktowała sprawy religijne.

Nigdy na przykład nie chciała się zgodzić, żebyśmy pętały kwiatki w oktawie Bożego Ciała.

Ja szalałam, widząc, jak inne dziewczynki w krakowskich strojach podążają do kościoła z koszyczkami pełnymi kwiatkami, a lenie wskórałam nic u mamy.

Kiedy przystępowałam do pierwszej Komunii i wszystkie moje koleżanki z mamami udawały się na tę uroczystość do klasztoru oo.

Bernardynów, moja była akurat chora, co zresztą zdarzało się jej niezmiernie rzadko.

Poszła ze mną natomiast do fary na bierzmowanie i nigdy tego nie mogła odświeżać.

- Siedząc w pierwszej kościelnej ławce zobaczyłam bowiem, jak biskup w asyście księży zatrzymuje się przed jej córką zaraz potem powstaje jakieś zamieszanie i bieganina, klerycy pędzą

do zakrystii i wynoszą stamtąd śnieżne ręczniki, którymi ktoś, kogoś gwałtownie wycierają - jej dziecka pośród tego wszystkiego nie widać, więc mama rzuciła się na ratunek w obawie, że może



197.

zasłabłam z przejęcia, czy teŜ długiego stania w kościele.

Tymczasem wcale nie zasłabłam, wprost przeciwnie - kiedy biskupowi podano naczynie ze św.

olejami, Ŝeby zanurzył w nim palce, nim zdąŜył touczyńić, ja w niezwykłym przypiływie energii i pomysłowości wpakowałam w nie obydwia paluchy, a Ŝ chlapnęło' Mamamało nie zemdląa ze wstydu.

Poszturchiwała mnie przez całą drogę do domu ile dowie się powstrzymała, Ŝeby w dniu bądź co bądź takuroczystym nie spuścić mi porządnego lania.

Bijała nas zwykle ręcznikiem, albo kuchenną ścierką, co było dla nas szczytem upokorzenia.

Obrywaliśmy przeważnie za zbyt późny powrót do domu, gdy łowiliśmy rybki w rowach, albo ślizgaliśmy się na podmokłych, a zamrzniętych w zimie łąkach.

Dziś te tereny wokół szkoły są zabudowane i wszystko inaczej tam wygląda, ale teŜ

napewno dzisiejsze dzieci są mniej szczęśliwe, pozbawione zabaw, wędrówki przygód.

Choć owiele młodsza od brata, włościłam się stale za nim, co w końcu nie zawsze go cieszyło, chłopcy śmiali się z niego, Ŝe siostra za nim lata.

Przeskakiwał więc nieraz wysoki płot wokół szkoły i uciekał przede mną.

Ale ja, jak piesek, szarpałam pod płotem dziurę i z rykiem gnałam za nim.

Przystawał wtedy i czekał na mnie, a kiedy się z nim zrównywałam, dawał mi kilka potężnych klapsów w nadziei, Ŝe zawrócę do domu.

Gdzie tam!

Biegłam dalej, mimo Ŝe wciąż się zatrzymywał, Ŝeby mi spuścić lanie.

- Nigdy nie miałam o to do niego Ŝalu, wspominając tylko piękne chwile.

On nauczył mnie pacierza i kolęd, które śpiewaliśmy krąŜąc do upadłego wokół choinki, on - tak, jak jego przedtem Kaśka - nauczył mnie czytania.

Rodzice chętnie chyba patrzyli, jak ich obowiązki wobec młodszeo dziecka przejmuje starszy syn.

I Ŝylibyśmy sobie w tej szkole, jak u Pana Boga za piecem, gdyby nie to, Ŝe panu inspektorowi bardzo się podobala - bunda naszego ojca.

Było to długie futro, nieodzowne dawniej w podróŜach.

Paninspektor uznał, Ŝe bunda bardzo by mu się przydała na polowania.

PoŜyczył więcjã raz-oddãł.

PoŜyczył drugiraz- oddãł.

PoŜyczyłporaz trzeci - i nieoddãł.

Mijały miesiące, bundanadobre zadomowiła się upana inspektora.

Mama błagała ojca: nie upominaj się!

Ale on się jednak upomniał.

Paninspektor, owszem, bundę oddãł, ale w Jegooczach ojciec, jako kierownik szkoły, nie miał juŜ tylu zalet, codawniej.

Stosunki wyraźnie zaczęły się psuć- i ojciec przyjął propozycjękandydowania w wyborachna burmistrza miasta Koła.

Wybrano go nim - na nieszczęście.

Poprosił w MinisterstwieOświaty o bezpłatny urlop i przeprowadziliśmy się do ratusza, gdzie kanalizacjabyla wiecznie zepsuta, a myszy skakały pogło-wie, mama

- nim weszła dokuchni - stukała zawsze w drzwi laskã, Ŝeby je wypłoszyć.

Kotanie mogliśmy trzymać, bo Mirtek sobie tego nie Ŝyczył.

Zaczęli teraz bywać u nas inni goście, którym takŜebardzo smakowały galicyjskie torty mamy.

Poza tym ojciec jeździł niekiedyw sprawach miasta do Warszawy, skãd przywoził nam babki śmietankowej pãczki od Bliklego, a mamie nuty, jak dziadek dawniej zeLwowa, ale nie były to juŜ walce Straussa, czy pieśni Schuberta, tylko operetki Kalmana, albo piosenki ówczesnych gwiazd kabaretu.

Ojciec w ogóle lubił podróŜować.

Z Siennowa naprzykład dwa razyjeździł do Wiednia i Budapesztu,z Koła najczęściej wybierał się doŁodzi - gdzie było województwo -do Warszawy, lub Poznania.

Mama siedziała w domu,bo ktoś musiał zostać z dziećmi, moŜezresztã nawet nie przepadała zapodróŜami.

Uwielbiała zatokino a teraz mogła chodzić na film kaśdego tygodnia(raz na tydzień zmieniano program, co utrzymało się chyba w Kole do dziś), bo z ratuszabyło bardzo blisko do budynku starego teatru przy dwóch - spalonych potem przez Niemców - synagogach.

i w ratuszuwięc moglibyśmy Śyc, jak u Pana Boga za piecem, alezaczął się słynny kryzys i wraz z nim manifestacje bezrobotnych, którym-ubogieprzecieŚ miasto - nie mogło zapewnić zatrudnienia.

Uruchomić pieniądze na ten cel, rozpocząćjakieś roboty publiczne mogłotyłko starostwo, czy ówczesny sejmik, który był formą samorządu powiatowego, Starosta jednak, gdy ojciec łączył

się z nim telefonicznie wtakich wypadkach,kazał zwykle rozpędzać manifestacjeprzy pomocypolicji; miejska komenda i areszt mieściły się na parterze ratusza.

Ojciec nigdy tych rozkazów, czyrad, nie posłuchał, aŚ raz, gdy manifestacjaszczególnieprzybierała na sile, poszedł z bezrobotnymi do starostwa, Śeby razem z nimi domagać się rozpoczęciarobót.

To wystarczyło.

Starosta stracił do ojca całą sympatię i zrobiłz niego groźnego "komunistę", niegodnego piastowania jakiegokolwiekstanowiska.

Kiedy skończyła siętrzyletniakadencja i nadeszłynastępne wybór;', kazał - pod jakimś pretekstem, lub zgoła bez niego

- zamknąć dwóch radnych, o których sięwiedziało, Śe będą głosowaćna ojca.

Zamiast na sali obrad na pierwszym piętrze, siedzieliw areszcie nadole, przeraŚeni takimi objawami praworządności.

-Ojca jednak mimo to na burmistrzaznów wybrano.

Ale według obowiązującej ordynacji wyborczej wybór tenmusiał zatwierdzić wojewoda.

I nie zatwierdził.

Nie musiał się tłumaczyć, dlaczego.

Ojciec zresztą jeszcze wtedy nie za bardzo się tym przejął.

Oczywiście, nie mógł się pogodzić z krzywdą iniesprawiedliwością, jakago w jego ukochanej Polsce spotkała, nie tak sobie wyobraŚał Śycieistnosunki społeczne w kraju po odzyskaniu niepodległości - aletrudno, wszystkie idee realizowane są przez ludzi, a ci w końcu bywają róŚni; ojciec złoŚył podanie w Ministerstwie Oświaty i WyznańReligijnych z prośbą o powrót do nauczycielstwa po bezpłatnymurlopie, jakiego mu udzielono.

i teraz dopiero nastąpiłobolesne rozczarowanie - do nauczycielstwawrócić munie pozwolono, Dostał nawet pismo z ministerstwa,przechowywane potem w papierach rodzinnych -tzw.

wilczybilet, w którym wyraźnie napisano, że "niemożna uczyć na całym terenie katolickiej Polski".

Mój ojciec, który miał prawo nauczania religii, który nigdy nie pozwolił się spać bez odmówienia pacierza! Wydawało się to niemożliwe, wołające o pomstę do nieba!

Rozpoczęło się więc pisanie próśb o ponowne rozpatrzenie sprawy-do ministra, do prezydenta, do marszałka.

Nie rozpatrzyli, nie pomogli.

Nastąpiło dziesięć lat inteligentnej, skrywanej nędzy i upokorzenia, walki nie tylko o chleb idąc nad głową, ale i o naukę - w Koleb było tylko prywatne gimnazjum (z bardzo wysokim czesnym), z którego nas wciąż wyrzucano, gdy chesne niewpłynęło do szkolnej kasy.

Nie chcę tego tu opisywać, przypisałam te przeżycia bohaterowi mojej książki

"Powróć do miejsc nieobecnych"; w tym wspomnieniu interesuje mnie tylko mama, jej cierpienie, jej oddalenie się od ludzi, którzy bezpośrednio lub pośrednio byli autorami coraz to nowych objawów naszej tragedii.

Przestała wychodzić z domu.

Nie chciała nikogo widywać, z nikim rozmawiać.

Zaczęła intensywnie, obsesyjnie prawie tęsknić do Małopolski, wyobrażając sobie, że tam nic podobnego nie mogłoby się wydarzyć.

Zapomniała, że pan inspektor, od którego zaczynał się ciąg naszych nieszczęść, był właśnie Małopolaninem.

Myślę, że w tamtych latach tęskniła również do nieznanych jej przecież miejsc wszelkiej szczęśliwości u stóp ormiańskiej góry Ararat.

Dziś to wszystko należy do przeszłości, ostatecznie zamkniętej jej śmiercią- Wojna, na szczęście, obeszła się z nią nie najgorzej.

Brata i mnie wywieziono wprawdzie na roboty przymusowe do Niemiec, ale cóż to znaczyło przy cierpieniu innych matek?

-- Powojnie przeżyła mama jeszcze ponad dwadzieścia lat we względnym dobrobycie i spokoju.

Cieszyła się naszymi sukcesami,

o zmartwieniach przynajmniej moich nie wiedziała.

Nigdy nie wciągałam rodziców w moją smutkę.

Pisałam do nich tylko o dobrych sprawach i dobrych ludziach, których los pozwolił mi spotkać.

Przy śmierci mamy, niestety, nie byłam i do dziś rozrywa mi się serce na tę myśl.

Spadła z tego chybliwego krzesła w kuchni, naktóymja przysiadalamobierając ziemniaki; mimo próśb, Œeby tegonie robiła, weszła na nie, chcąc postawić coś na górnej półce w spiŒarni.

Spadłai złamała nogę w biodrze, a potem umierała długowszpitalu z nogą na wyciągu, a ja nie mogłam wciãŒ przy niej siedzieć, bo miałam jakieś swoje waŒne sprawy (jakie sprawy mogą być waŒne, kiedy umiera matka?

) i nie wiem, nie wiem, nie wiem, costoło się z jej warkoczem, który jej tam w szpitalu przed śmierciã obcięto.

Dziś, kiedy to piszę, samajestem niemłodą kobietą i myślę coraz częściej o tym miejscu, które juŒ mam pod wysokimi drzewami nasopockim cmentarzu, ale- choćto bez sensu, bo i świat moŒe ladamoment rozpaść się na kawałki- tak bardzo mi wciãŒ

Œaltegokruczego, ormiańskiego warkocza mojej matki.

1983

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)